

Rebecca Baldwin

*Wizyta*  
(A Royal Visit)

Przekład  
Małgorzata Tomal

Widok z okien gabinetu był jednym z najbardziej zachwycających w całym pałacu. Siedzący przy biurku książę Theodorik von Hazloe und Gottfreund przyglądał się pofalowanym wzgórzom, czerwonym dachom domów, nad którymi rozpościerało się bezchmurne jesienne niebo. Zbocza nad doliną gęsto porastały winnice. Dały w tym roku wyjątkowo obfite plony. W tej chwili, kiedy książę podziwiał widok za oknem, trwała praca przy produkcji wina. Nikt nie musiał go przekonywać, że będzie to najlepszy szampan w Europie. Cały świat znał szampana z Batawii, najwyborniejsze, najwytrawniejsze i najsubtelniejsze w smaku dzieło europejskiej sztuki winiarskiej. Szampan był dla mieszkańców Batawii nie tylko ich największą chlubą, lecz również podstawą gospodarki księstwa.

Nie tylko o szampanie rozmyślał tego popołudnia książę Theo, spoglądając na malowniczy krajobraz za oknem. Był to ciemnowłosy mężczyzna o wyrazistych rysach, który mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie odcisnięte na twarzy ślady wielu trudów i znoju. Mimo że miał dopiero trzydzieści cztery lata, w jego ciemnych lokach srebrzyły się siwe nitki, a twarz przecinały głębokie bruzdy. Rozchylony kołnierzyk wojskowej bluzy pozwalał dostrzec niewielką bliznę, biegnącą od szyi aż do ciemnego zarostu na klatce piersiowej, pamiątkę

po kuli, która dosięgła go w bitwie z wojskami Bonapartego.

Chłodny powiew wiatru, zwiastujący nadchodzącą zimę, dmuchnął w stos papierów leżących na biurku. Księżę zniecierpliwiony przytrzymał je ręką, by nie rozfrunęły się po pokoju.

- Czyżby drogi kuzyn był zmęczony? - z głębi fotela stojącego przy bogato rzeźbionym kominku dobiegł go stłumiony głos. Zza oparcia widać było jedynie eleganckie spodnie i błyszczące lakierki.

Przez twarz księcia przebiegł grymas niezadowolenia.

- Wciąż tu jesteś, Johannesie? - spytał, starając się ukryć rozdrażnienie.

Mężczyzna usadowiony w fotelu pochylił się do przodu i spojrzał na księcia. Podobieństwo łączące hrabiego Johannesesa von Hazloe z kuzynem było uderzające, choć jednocześnie wiele ich różniło. Johannes był oszałamiająco przystojny. Żadne trudy i zmartwienia nie wyryły zmarszczek na jego gładkiej twarzy, a pięknie ufryzowanych loków nie tknęła siwizna. Ciemnoszare oczy wyrażały teraz rozbawienie.

- A gdzież indziej miałbym być? - zapytał strzepując niewidzialny pyłek z galowego munduru.

- Na wygnaniu bądź pod pręgierzem - odparł bez wahania Theo.

Johannes podniósł się z fotela z kocią gracją i skłonił przed kuzynem.

- Z największą przyjemnością oddałbym życie za ojczyznę i zginął śmiercią męczennika - odrzekł nie tracąc kontenansu, z którego zresztą

słynał, po czym dodał: - Mam jednak wrażenie, drogi kuzynie, że skoro dotychczas się mnie nie pozbyłeś, zapewne nigdy tego nie zrobisz.

Podszedł do sekretarzyka stojącego po drugiej stronie gabinetu i nalał dwa kieliszki madery. Następnie dostojnym krokiem przeszedł po dywanie i podał księciu wino.

- Nie obawiaj się, nie jest zatrute - powiedział z czarującym uśmiechem. - Wcale nie marzę o tronie. Cała ta nudna biurokracja, ekonomia, finanse... nie, to nie dla mnie. Ja umiem wydawać pieniądze. Zarabianie nie jest moją mocną stroną.

Theo przyjął kieliszek.

- Jak to się dzieje, że choć wiele mam ku temu powodów, nie potrafię tobą gardzić? - zapytał z westchnieniem.

- To dlatego, że jestem taki czarujący - odparł Johannes z niekłamana dumą. - Wiesz przecież, że to największa z moich zalet.

- Gdyby nie ta twoja karygodna zazdrość, z pewnością lepiej potrafiłbym ją docenić. Doprawdy, Johannesie, przecież moglibyśmy połączyć nasze siły dla dobra kraju. Gdybyś tylko zechciał działać ze mną, nie przeciwko mnie.

- Gdyby nie ten drobny przypadek, że urodziłeś się przede mną, ja byłbym władcą Batawii - odparł Johannes. - I nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy. Tak zostałem wychowany. Mój ojciec gardził twoim ojcem; to już tradycja rodzinna. Poza tym sam musisz przyznać, że dzięki mnie twoje życie jest znacznie ciekawsze.

Theo znów westchnął.

- Bacz tylko, żeby nie stało się zbyt ciekawe. Inaczej podzielisz los swojego ojca i skończysz na szubienicy - stwierdził lodowatym tonem.

- Zdrajca? *Moi?! -* wykrzyknął Johannes z udanym oburzeniem. - Podejrzewasz mnie o zdradę tylko dlatego, że jestem w opozycji? - pokręcił głową z dezaprobatą.

- A myślałem, że wierzysz w postęp i demokrację. Co by na to powiedział twój idol, pan Jefferson?

- Poradziłby, żebym cię powiesił - uciął Theo. - I wierzaj mi, zrobię to, jeśli tylko przyłapię cię na jakimś niegodziwym czynie, który w jakikolwiek sposób zagrozi dobru i bezpieczeństwu naszego kraju. Na Boga, Johannesie, czy nie dość wycierpieliśmy przez ostatnie dziesięć lat pod panowaniem Bonapartego?

- Przemawiasz jak prawdziwy bohater wojny o niepodległość - rzucił z lekceważeniem hrabia. - Ale wiesz przecież, że nie każdy jest stworzony do walki partyzanckiej, wałęsania się po polach, krycia się po lasach i do całej tej zabawy w żołnierzy. To zbyt wyczerpujące.

- Trudno to nazwać zabawą - rzucił gniewnie książę.

- I nie można powiedzieć, że bardzo się starałeś pomóc nam w usunięciu tego głupca, kuzyna Bonapartego, z tronu. Przez swoją ignorancję omal nie zrujnował naszych winnic.

- Ja z nim nie kolaborowałem - zaprotestował Johannes. - Jedyne udawałem, że z nim współpracuję, po to, by mieć dostęp do informacji.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że byłem bardzo przydatny. Można śmiało powiedzieć, że mam talent do szpiegostwa - zakończył i z udaną skromnością spuścił wzrok na swoje wypielęgnowane dłonie.

Theo musiał przyznać w duchu, że to prawda. Johannes miał wręcz niezwykły talent do zdobywania poufnych informacji, zgłębiania tajników politycznych, ujawniania cudzych tajemnic i szerzenia plotek. Jego wrodzona ciekawość połączona z zamiłowaniem do intryg powodowała, że bywał w pewnych warunkach niezwykle pożyteczny. I choć sam być może miał zakusy na tron Batawii, był jednak zbyt dumnym przedstawicielem rodziny von Hazloe, by ze spokojem patrzeć, jak korona księstwa trafia w obce ręce, a zwłaszcza jeśli jest to producent mydła z Ajaccio, kuzyn Napoleona, nad którym Bonaparte zlitował się i uczynił marionetkowym władcą maleńkiego państewka.

Theo z obrzydzeniem spojrzął na pokryte adamaszkiem ściany gabinetu, którym ozdobiła pałac żona uzurpatora. Co prawda z mebli i z kotar usunięto już emblematy Bonapartego, wizerunki pszczół i inicjały cesarskie. Lecz brak funduszy nie pozwalał pozbyć się wielu innych śladów imperium napoleońskiego i kapiące złotem meble wciąż straszyły głowami i pazurami rozwścieczonych lwów i krokodyli. Najpierw należało odbudować rząd i gospodarkę Batawii. Od dzieciństwa uczono go, że dobro jego podwładnych i całego księstwa jest ważniejsze od jego własnych potrzeb i wygod.

Bonaparte tkwił na Wyspie Świętej Heleny od ponad dwóch lat,

tymczasem Theo nie zaznał jeszcze ani chwili spokoju. Ciężyły na nim liczne obowiązki: odbudowa księstwa i zniszczonych winnic. Pragnął doprowadzić kraj do dobrobytu, jaki panował tu przed najazdem wroga. Na szczęście plony w tym roku były obfite, mógł więc mieć nadzieję, że osiągnie cel i wreszcie odpocznie. Pozwoli mu to również zastanowić się nad poczynaniami Johannesesa. Baczenie przyjrzał się kuzynowi, który właśnie podziwiał swoją sylwetkę w złoconym lustrze nad serwantką. Czuąc na sobie uważny wzrok księcia, Johannes poprawił naramienniki i odwrócił się.

- Nie podoba mi się twój wyraz twarzy - powiedział znużonym tonem. - Zaraz pewnie każesz mi się tłumaczyć z czegoś, co zrobiłem, albo, o co mnie posądzasz.

- Tym razem obawiam się tego, co dopiero zamierzasz zrobić - odparł Theo. - Właśnie się zastanawiam, co mam z tobą począć. Wiem, że dniem i nocą marzysz o zajęciu mojego miejsca. A teraz mam niejasne przeczucie, że znów spiskujesz przeciwko mnie.

Johannes lekko się skłonił.

- Gdybym tylko miał choć odrobinę tego twojego daru, tego zmysłu do jednania sobie pospólstwa, możesz być pewien, że zajmowalibyśmy dokładnie odwrotne pozycje. Niestety, brakuje mi poparcia zwykłych ludzi, a jest ono nieodzowne, by mogło dojść do przewrotu. Szczególnie w tak małym państwie, gdzie wszyscy wszystkich znają - westchnął z żalem.

Księżę właśnie miał mu odpowiedzieć, kiedy rozległ się dostoyny dźwięk dzwonów kościelnych. Zerknął na stojący na kominku zegar, pozostałość po rządach Bonapartego.

- Dzwonią na mszę. Dziś Święto Dziękczynienia - powiedział Johannes. - Wiesz, że arcybiskup nas zruca, jeśli się spóźnimy. Ale, ale, drogi kuzynie, nie możesz pokazać się w takim stanie - dodał, zapinając mu kołnierzyk munduru, po czym cofnął się o krok i z dezaprobatą pokręcił głową. - Jeśli chcesz, by traktowano cię jak księcia, musisz wyglądać jak księżę.

Choć Theodorik był wdzięczny Bogu za obdarowanie Batawii bogatymi plonami tego lata, wiele wysiłku kosztowało go skupienie uwagi na wielogodzinnych kazaniach starego arcybiskupa. A ponieważ w maleńkim księstewku wszyscy doskonale się znali, mógł być pewien, że wielu ziomków podziela jego stosunek do kazań. Z trudem udało mu się ukryć uśmiech, kiedy ponad głowami wiernych rozległo się donośne chrapanie kapitana straży miejskiej. Dopiero po chwili żona śpiącego zdołała przywołać go do porządku. Wszystkie pióra u jej kapelusza trzęsły się z oburzenia.

Theo gratulował sobie w duchu, że mimo wielu kłopotów, które ciążyły na jego barkach, przynajmniej od jednego był wolny: od żony. Zdarzało się nawet (choć miał wówczas okropne wyrzuty sumienia), że tęsknił za dawnymi, dobrymi czasami, kiedy krył się przed wojskami



Bonapartego, prowadząc walkę partyzancką. Sprawy życia i śmierci były bliższe jego naturze niż praca, która pochłaniała całe dni. Jak bardzo męczyły go te nie kończące się ceremonie, te stosy dokumentów do przejrzenia i podpisania! Dlatego ostatnią rzeczą, której teraz mógłby pragnąć, była żona. Ożenić się znaczyłoby podporządkować się kolejnym ograniczeniom, kobiecej...

- Co więcej, przemawiam tu w imieniu wszystkich obywateli Batawii. To sprawa najwyższej wagi: potrzeba nam księżnej, która da nam dziedzica! - donośnym głosem zakończył swoją kwestię arcybiskup.

Dzięki sile samokontroli udało się księciu zachować spokój i nie skoczyć na równe nogi. Jedynie jego oczy zrobiły się okrągłe z zaskoczenia i przerażenia, a dłonie zacisnęły się na modlitewniku.

- Słusznie... - dał się słyszeć szept jednego z wiernych, po czym zewsząd rozległy się głosy poparcia, a nawet głośniejsze wyrazy aprobaty dla słów kapłana.

- Chcemy księżnej! Daj nam dziedzica!

- Niech książę Theodorik się ożeni!

- Theodoriku, daj nam potomka!

Siedzący u boku księcia Johannes rzucił mu szydercze spojrzenie.

- Jak widzisz, nie wystarczy być bohaterem - mruknął. Najwyraźniej zakłopotanie kuzyna sprawiało mu przyjemność.

Theo rozejrzał się wokoło. Wszystkie oczy z napięciem i wyczekiwaniem wpatrzone były w niego.

- Wstań i przemów do swojego ludu - łaskawie rozkazał arcybiskup.

Trudno jest przeciwstawić się woli człowieka, który zna nas od niemowlęctwa. Posłuszny więc nakazowi wstał, próbując palcem rozluźnić nagle przyciasny kołnierz munduru.

- Hm... Świadom jestem obowiązków, jakie spoczywają na mnie, waszym władcy... Obiecuję, że zrobię wszystko... aby wypełnić ten... obowiązek. Jeśli Batawianie pragną mieć księżną, to ją będą mieli. Ożenię się, gdy tylko spotkam właściwą kandydatkę.

W kościele zgromadzili się prawie wszyscy mieszkańcy Batawii. Wrzask, który dobył się z ich gardeł, mógłby z powodzeniem obudzić rycerzy spoczywających w grobowcach, wzdłuż ścian świątyni. Pani Desfontes grająca na organach poczęła energicznie uderzać w klawisze. Wszyscy radośnie zaintonowali hymn narodowy, zaś towarzysze broni księcia unieśli go w górę. Kiedy znalazł się na dziedzińcu, gdzie ustawiono świąteczne stoły, czterysta gardeł ryknęło na cześć umiłowanego władcy.

Kościół opustoszał. Jedyne Johannes pozostał w ławce, z zaciśniętymi ustami, zapatrzony gdzieś w dal i bezwiednie ścisnął w rękach modlitewnik.

Było już ciemno, kiedy Theo zataczając się, przekroczył próg sypialni. Jego służący jeszcze nie wrócił z uroczystości, lecz przy łożu

księcia paliła się lampka, a piżama wisiała na oparciu krzesła. Podobnie do innych pałacowych komnat, również sypialnia była prawie pusta. Uciekając z Batawii, kuzyn Bonapartego zagrabił niemal wszystkie cenne przedmioty. Przyzwyczajony do spartańskich warunków Theo nie zwracał na to uwagi.

Zza otwartych okien dobiegały odgłosy hucznej zabawy. Książę rozpiął mundur i niedbałym gestem rzucił go na krzesło. Odetchnął z ulgą, uwolniony od sztywnego odzienia. Ostatnio czuł niechęć do mundurów. Podeszedł do stolika, na którym stał dzban z wodą i miska. Nalał do miski wody i wzięwszy mydło w dłonie, spojrzął w lustro. Przez chwilę zdało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w ciemnościach. Z żelazną dyscypliną, której nauczyły go lata żołnierki, opanował odruch zaskoczenia i wziął do ręki brzytwę, udając, że zamierza się golić. Jednocześnie bacznie śledził cienie odbite w lustrze. Starał się dociec, czy to, co przykuło jego uwagę, to migotanie płomienia palącej się świecy, czy też coś o wiele bardziej groźnego. Wtem z cieni wynurzyła się ludzka postać i zrobiła krok w jego stronę. Theo odwrócił się z szybkością błyskawicy gotów do walki.

- Wasza Wysokość! - rozległ się głos mówiący, z wyraźnym angielskim akcentem. - To tak się przyjmuje starego przyjaciela?

Oczom księcia ukazał się wysoki, jasnowłosy mężczyzna, odziany w strój podróżny. Wydając okrzyk radości, zupełnie nie licujący z książęcą godnością, Theo odrzucił brzytwę i szeroko rozwarł ramiona.

Mężczyźni gorąco się uściskali.

- Wychodzisz z wprawy, przyjacielu! Widziałem cię w lustrze! - wykrzyknął książę, klepiąc przybysza w plecy.

Pułkownik Randolph Rodney, do niedawna żołnierz 21 Pułku Piechoty Jego Królewskiej Mości, cofnął się o krok, by przyjrzeć się przyjacielowi.

- Pokój rozleniwił nas obu. - Roześmiał się. - Jeszcze dwa lata temu poderżnąłbyś mi gardło, a pytania zostawił na później. Jak się miewasz? Mój Boże, teraz nareszcie wyglądasz jak prawdziwy książę!

- Ty też nieźle się prezentujesz, chociaż z trudem poznałem cię w cywilnym ubraniu.

- Wybacz mi ten brak elegancji. Nie zdążyłem dojechać na mszę, bo powóz zepsuł się pod Calais. Pomyślałem więc, że cię zaskoczę, jak w dawnych, dobrych czasach. Pamiętasz, jak się zjawiłem w zamku Bembreck, kiedy stary le Clerc zapędził was w kozi róg? - zachichotał. Był o kilka lat starszy od księcia, nieco mocniej od niego zbudowany i bardziej nerwowy. W niebieskich oczach błyszczała radość.

- A ja ci mówię, że bez twojej pomocy wymknęlibyśmy się z tej pułapki. Chociaż rzeczywiście, pomocą nie wzgardziliśmy. - Theo jeszcze raz poklepał przyjaciela po plecach. - Wiesz, obaj zasłużyliśmy na kieliszeczek brandy. Wypijemy za stare, dobre czasy i... za równie dobrą przyszłość.

- Nie odmówię - odparł Randolph. - Przemykanie się przez

pałacowe sale bardzo mnie odwodniło. Wiesz, twoja straż pozostawia wiele do życzenia.

Gospodarz wyjął z szafki butelkę batawiańskiej brandy i wzruszył ramionami.

- Dzisiaj jest święto. Wszyscy się bawią, nawet mój kuzyn Johannes. - Napelnił dwa kieliszki i jeden podał pułkownikowi.

- Ach więc on wciąż tu jest? - spytał Randolph, siląc się na obojętny ton.

- Tak i wciąż jest niezwykle ambitny. Sądzę jednak, że pozbawiłem go pazurów. Wojna kosztowała go sporo energii. Zresztą to dotyczy nas wszystkich.

Pułkownik kiwnął głową, marszcząc czoło.

- Gdyby nie to, że jest to twój rodzony kuzyn, radziłbym pozbyć się go. Tacy jak on są niebezpieczni.

- Niebezpieczne jest tylko to, co mówi, nic więcej. Przewrót jest sprawą męczącą. A Johannes jest najbardziej leniwym człowiekiem jakiego znam - odparł Theo lekkim tonem i nalał przyjacielowi drugi kieliszek brandy.

Rozsiedli się przed kominkiem.

- Och! - odezwał się naraz Randolph, podnosząc kieliszek i podziwiając barwę płynu w świetle świecy. - Prawie już zapomniałem jak przejrzyste, klarowne i wyborne są alkohole produkowane w Batawii. W Anglii byłby teraz zbyt na takie wyroby.

- Właśnie myślę o tym jak poszerzyć nasze rynki zbytu - przyznał Theo. - Pewnie zdziwiłbyś się, jak bardzo się zmieniłem. Zmieniłem się w kupca, nic tylko interesy, rachunki... Bo tak po prawdzie właśnie taka jest moja rola. Muszę dbać o to, by szampany i wina z Batawii uświetniły każdy elegancki stół w Europie.

Rozmowa zboczyła na dawne czasy, które widziane przez pryzmat lat i zwycięstw nabrały nowych wymiarów. Wojna bywała straszna, krwawa i okrutna, lecz teraz, kiedy zniknęła połowa zawartości butelki brandy, zdała im się jednym z najszcześniejszych okresów w życiu. A kiedy cała butelka została opróżniona, przyjaciele wpadli w nastrój sentymentalny.

- Co się stało z tamtą ciemnowłosą dziewczyną z St. Micral? - zapytał Randolph. - Była taka piękna...

Theo westchnął tęsknie i wzruszył ramionami.

- Słyszałem, że wyszła za mąż. Wiesz, kiedy człowiek jest na tak odpowiedzialnym stanowisku, niewiele jest okazji do spotkań z kobietami. Szczególnie w miejscu, w którym wszyscy tak dobrze cię znają. Wystarczy porozmawiać z piękną dziewczyną, a już wszyscy będą plotkować o tym całymi tygodniami.

- Batawia przypomina pod tym względem angielskie wioski. - Pułkownik roześmiał się. - Musisz jednak przyznać, że właśnie to pomogło nam w wojnie z Francją: nasz wywiad był tak powszechny, że objął prawie całą ludność.

- Bardzo jesteśmy zobowiązani wam Anglikom za to, że przysłaliście nam wtedy oddziały pomocnicze - powiedział książę. - Lecz teraz znowu potrzebuję twojej pomocy, Randolphie.

- Wystarczy jedno słowo, a przybędę na wezwanie, sir! - zawołał pułkownik w uniesieniu.

- Widzisz, wszyscy chcą, bym się ożenił, żebym dał im potomka.

Theo wyglądał na tak przybitego, że Randolph wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Chcą cię usidlić, co? Dziękuję gwiazdom, że nie jestem na twoim miejscu.

- Oczywiście, muszę poddać się woli mego ludu - ponuro skonstatował książę, wyciągając nogi i opierając stopy o kratę kominka.

- Poza tym, rzeczywiście muszę mieć potomka. Na samą myśl o tym, że moim dziedzicem miałby zostać Johannes, robi mi się słabo. - Przeczesał palcami ciemne, lekko posiwiałe włosy i dodał: - Ale zanim poddam się małżeńskiej niewoli, pragnę jeszcze nacieszyć się życiem.

- To prawda, nie można powiedzieć, że wiesz najprzyjemniejsze życie. Ani krzty radości - stwierdził pułkownik. - Kiedy ostatnio byłeś na łowach czy wyścigach? Kiedy ostatnio zagrałeś w karty?

Książę pokręcił głową zafrasowany.

- Nie pamiętam. Tyle miałem spraw na głowie, że na nic innego nie starczało mi czasu. Przeglądałem stosy papierów, organizowałem

spotkania, martwiłem się pleśnią i pasożytami atakującymi winorośle. Wiesz, że prawie wszystko trzeba było budować od podstaw. Batawia okrutnie ucierpiała w czasie wojny.

Pułkownik Rodney przyznał mu rację. Obaj mężczyźni zapatrzili się w ogień.

- Problem polega na tym, że w dzisiejszych czasach nieczęsto zdarza się spotkać księżniczkę - odezwał się po chwili Theo. - A jeśli nawet się to uda, okazuje się, że albo jest wyznawczynią innej wiary, albo nie interesuje jej małe i biedne księstwo, takie jak Batawia. Choć sam kraj odżywa dzięki obfitym plonom, fortuna rodziny von Hazloe została w dużym stopniu uszczuplona.

Dobre wychowanie nie pozwoliło pułkownikowi komentować tych słów, jednak omiótł wzrokiem ubogi wystrój sypialni. Wiedział, że prywatne zasoby książęcej rodziny nie są zbyt wielkie. Kuzyn Bonapartego skutecznie się do tego przyczynił, wywożąc ze sobą cały tabor wypełniony skarbami.

- Jest na to tylko jedna rada - powiedział. - Ożeń się z dziedziczką wielkiej fortuny.

Theo uśmiechnął się smutno.

- A która dziedziczka by mnie zechciała? Żadna rodzina w Europie nie zechce połączyć się z jakimś nic nie znaczącym rodem maleńkiego państwa.

- Czy musi być to panna królewskiej krwi? - zapytał pułkownik.



Książę pokręcił przecząco głową.

- To raczej nie wchodzi w rachubę. Wiesz przecież, że choć moja matka pochodziła ze znakomitego rodu, nie płynęła w niej królewska krew. Nie ma więc w naszej rodzinie tradycji wiązania się z rodami królewskimi. Niestety nie mogę poślubić Batawianki, jako że z niemal wszystkimi jestem spokrewniony lub w jakiś sposób skoligacony, nie mówiąc już o tym, że wszystkie panny w odpowiednim wieku znam od dzieciństwa. Taki związek byłby jak kazirodztwo. - Przełknął duży łyk brandy i kontynuował ponurym tonem: - Na moim stanowisku nie żeni się z miłości. Uczono mnie tego od dziecka. Muszę myśleć przede wszystkim o interesie państwa i dobrej opinii za granicą. Jedyne, na co mogę mieć nadzieję, to to, że moja wybranka nie będzie zbyt odrażająca ani głupia. Muszę się jednak spieszyć. Batawianie domagają się księżnej i dziedzica. - Theo wzdrygnął się. - Mam dziwne przeczucie, że jeśli nie uporam się szybko z tym problemem, to arcybiskup i radca stanu sami znajdą narzeczoną. Jakąś niemiecką księżniczkę, nieprzyzwoicie bogatą i... zezowatą.

Obaj panowie zamyślili się głęboko. Nagle pułkownik się wyprostował.

- Na Jowisza, chyba mam! Angielka!

- Gdzie? - ocknął się z zadumy książę i rozejrzał wokoło.

- Theo, ożeń się z Angielką. Nic prostsze. Wiara mniej więcej ta sama, ścisłe kontakty handlowe, majątek... To nie powinno przedstawiać

dla ciebie większych trudności, przecież studiowałeś w Oksfordzie, mówisz niezłe po angielsku, na pewno lepiej niż ja po francusku czy niemiecku. Jesteś dość przystojny. A z tego, co widziałem, wiesz, jak przemawiać do kobiet, aby zyskać ich sympatię. Jedź do Anglii i zostań gwiazdą londyńskiego sezonu. Jestem przekonany, że Londyn pełen jest panien na wydaniu, dla których szczytem marzeń jest zostać księżną. A ty... ty jesteś bezkonkurencyjny: młody, przystojny, bohater wojenny, pan i władca księstwa. No i masz styl, czar... Musisz go tylko ujawnić.

- Jesteś szalony, Randolphie - wykrztusił Theo, kiedy wreszcie mógł wydobyć z siebie głos po salwie śmiechu.

- Ani trochę, bracie! Wszystko mam porządnie poukładane w głowie. A mówiąc poważnie, to znam nawet pewną damę... To moja kuzynka, lady Luiza Coldstone, najstarsza córka starego Coldstone'a, piękna dziewczyna, powszechnie uznana piękność. Jasnowłosa, zgrabna, no i odziedziczy fortunę. Członkowie rodu Coldstone'ów stawiają siebie wyżej od rodziny królewskiej, co nie jest zupełnie bezpodstawne, gdy zważyć ich koligacje. Luizę wychowano jak królową, więc będzie z niej doskonała księżna.

Promieniejąc z radości podparł swoje argumenty sześciocyfrową liczbą rocznego dochodu panny Luizy.

- Prowadź mnie do niej! - wykrzyknął Theo ze śmiechem.

- Ależ Theo, ja mówię poważnie! - oburzył się Randolph. - Lady Luiza to najlepsza kandydatka. Możesz być pewien, że stary Coldstone

niczego bardziej nie pragnie, jak związku córki z prawdziwym księciem. To dumna rodzina. Poza tym Luiza jest doskonale wykształcona. Mówi trzema językami, czyta łacińskie teksty. Nie musiałyby się też uczyć nowej roli, po prostu stałyby się księżną. Każda kobieta, wychowana w zamku Coldstone, w dodatku córka powszechnie znanego człowieka, bez trudu przeistoczy się ze zwykłej księżniczki w księżną von Hazloe. - Pochylił się ku przyjacielowi. - Tak naprawdę, to Coldstone'owie stoją nawet wyżej od rodu von Hazloe - dodał prostodusznie.

- Przerażasz mnie - rzucił kpiąco książę.

Wstał z fotela i nieco chwiejnym krokiem podszedł do okna. Na placu przed kościołem wciąż jeszcze trwała huczna zabawa. Nie po raz pierwszy poczuł się uwięziony w swoim pałacu, z ciężarem obowiązków spoczywających na barkach.

Ponad dziesięć lat minęło od studiów w Oksfordzie, lecz wciąż z tkliwością wspominał studenckie czasy i Anglię. Zawsze miał słabość do Anglików, a szczególnie do tamtejszych kobiet. Z pewnością związek z kobietą pochodzącą z kraju, który po upadku Napoleona stał się gospodarczą potęgą, byłby bardzo korzystny. Zacieśniłby kontakty handlowe, które książę zamierzał nawiązać z Anglią. Statki angielskie pływały przecież po wodach całego świata. Mogłyby transportować bawiański szampan do najodleglejszych zakątków na kuli ziemskiej. Wina z Bawarii z powodzeniem konkurowałyby z francuskimi trunkami, gdyby tylko ludzie ich skosztowali.

Z nostalgią powrócił myślami do pięknych budynków uniwersyteckich Oksfordu, smukłych wieżyczek kościołów i kaplic i do beztroskich czasów studenckich, kiedy to odpowiedzialność za losy Batawii spoczywała jeszcze na ramionach ojca. Wspomnienia, w połączeniu z dużą dawką brandy, wprawiły go w stan błogości. Dlaczego nie miałby pojechać teraz do Anglii, skoro prędzej czy później i tak musiałby to zrobić? Przy okazji załatwiania interesów handlowych mógłby rzucić okiem na tę pannę Luizę Coldstone.

- A więc dobrze, zrobię to! - zawołał, odwracając się od okna.

- Co? - zapytał pułkownik, wyrwany z zadumy. Butelka brandy omal nie wysliznęła mu się z ręki.

- Pojadę z tobą do Anglii. Poszukam sobie żony wśród angielskich piękności. Tak, tak właśnie uczynię! - oświadczył książę zdecydowanie, podchodząc chwiejnym krokiem do krzesła. - Może to rozwiąże wszystkie moje kłopoty. Poza tym zasłużyłem sobie na odpoczynek. Od dwóch lat nie miałem wakacji. Połączę więc przyjemne z pożytecznym.

- To doskonały pomysł - poparł go pułkownik.

- Wznieśmy toast za powodzenie tego przedsięwzięcia.

- Z radością - odparł Theo. - Bo coś mi się zdaje, że kiedy zostanę już mężem jakiejś pięknej i bogatej damy, wszelkie zbytki i figle będą absolutnie zakazane. A więc za Anglię i za żonę!

Stojący za drzwiami komnaty mężczyzna skrzywił się gniewnie.

- Za Anglię i za żonę, też coś! - wysyczał wściekle Johannes von

Hazloe. - O nie, drogi kuzynie, nie będzie żadnego potomka. Żaden bachor nie odsunie mnie od tronu. Nigdy na to nic pozwolę!

2

Powszechnie uznany w Londynie był fakt, że rodzina Coldstone'ów żyje na poziomie nie ustępującym królewskiemu. I choć dobre wychowanie nie pozwalało o tym mówić, ich rodowód miał o wiele dłuższą historię, a dobra były znaczniejsze od tych, którymi pochwalić się mogła stosunkowo młoda dynastia królewska o niemieckim pochodzeniu. Korzenie rodu tonęły gdzieś we mgle starożytności, zaś tytuły od tylu wieków towarzyszyły rodzinie, że obecny książę Coldstone był co najmniej dwudziestym drugim w kolejności. Ponieważ każdy z jego poprzedników pomnażał rodzinne bogactwa dzięki doskonałemu zarządzaniu i korzystnym mariażom, obecny książę był jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Oczekiwano więc od jego następcy, hrabiego Seabrighta, by również podwoił swoje dziedzictwo. Jak dotąd potrafił udowodnić, że jego przynależność do rodu nie jest przypadkowa: ożenił się z majątną panną, która wkrótce urodziła mu dwóch zdrowych synów. Trzecie dziecko było właśnie w drodze i miało przyjść na świat zimą. W takiej sytuacji ród mógł być spokojny, bowiem obecny książę zapewnił mu ciągłość na kilka kolejnych pokoleń.

Książę i jego żona mogli być również dumni ze swojej najstarszej córki, Luizy. Jako uznana piękność, jasnowłosa i bladolica lady Luiza Coldstone już drugi sezon królowała w salonach. Choć już sama fortuna zapewniła jej popularność wśród londyńskiej socjety, jej niezwykle powab zwielokrotniał jeszcze szeregi starających się o jej względy. Zajmowała bezsprzecznie najwyższą pozycję wśród panien na wydaniu, których roczny dochód wynosił powyżej dziesięciu tysięcy funtów. Zdobyła sobie jednak przydomek „Panna Lodowate Serce”. Nienaganne manieri, klasyczna uroda, zgrabna figura w połączeniu z właściwym Coldstone’om chłodem dawał efekt nieprzystępności i dostojności. Wrodzoną rezerwę i iście królewski sposób bycia spotęgował jeszcze dwuletni pobyt na słynnej pensji panny Ridgely w Bath. Luiza była godną reprezentantką dumnej rodziny, dla której przynależność do rodu stanowiła sens życia. Oczekiwano, że w odpowiednim czasie poślubi właściwego kandydata, by w ten sposób pomnożyć rodzinny majątek, na razie jednak rodzice cieszyli się powodzeniem swojej córki, której serce pozostawało niewzruszone.

- Zapewniam cię, Luizo, że nic bardziej nie pociąga dżentelmenów jak nieprzystępność damy - zapewniała ją najlepsza przyjaciółka, panna Ingersoll.

Elegancki świat, w którym obracali się Coldstone’owie, nie mógł pojąć, co łączyło piękną i wyniosłą Luizę z kimś takim jak Anna Ingersoll, córka kupca trudniącego się handlem winami. Pan Ingersoll

nie krył wcale swego skromnego pochodzenia ani źródła pokaźnej fortuny. Już dość zdumiewające było to, że dziewczęta mogły zaprzyjaźnić się na pensji panny Ridgely, lecz całkiem niepojęte - że ich przyjaźń przetrwała, kiedy dziewczęta skończyły szkołę i weszły w dwa różne światy. Teraz w pokoju dziennym londyńskiej rezydencji Coldstone'ów czytały list, który Luiza właśnie otrzymała od kuzyna Randolpha.

Ci, którzy dostąpili zaszczytu i zostali zaproszeni do Coldstone Castle, prastarej siedziby rodu w Cotswolds albo do londyńskiej rezydencji przy Grosvenor Square, czuli się przytłoczeni majestatem obu tych posesji. Ich wnętrza zostały urządzone tak, by mogły spełniać wiele funkcji związanych z polityczną działalnością gospodarzy. Nawet pokój dzienny, uważany przez rodzinę za wyjątkowo przytulny i ciepły, był ogromną komnatą z łukowatymi sklepieniami. Toteż nie był jej w stanie ogrzać kominek mogący pomieścić czterech rosnących mężczyzn. Coldstone'owie uważali, że ciepło osłabia wolę, należy więc utrzymywać w domu chłód, bez względu na to, czy na zewnątrz panują arktyczne mrozy czy upalne lato. Na szczęście panna Ingersoll nie należała do osób dających się łatwo onieśmielić czy zniechęcić. Zamiast czuć się przytłoczona przez majestat lodowato zimnej komnaty, po prostu mocniej otuliła się wełnianym szalem.

*- Książę uważany jest za przystojnego i dość niezwykłego mężczyznę. Ma nieskazitelne maniery i ujmujący charakter. Sądzę, że*

*londyńskie damy znajdą w nim atrakcyjnego towarzysza...* - przeczytała Anna niskim głosem i podniosła rozbawiony wzrok na przyjaciółkę.

- To brzmi jak opis księcia z bajki.

- Zapewne autor listu chciał zaintrygować nas osobą księcia - odparła chmurnie Luiza.

- Może ciebie, bo jeśli chodzi o mnie, to już sama myśl o jakimś księciu nudzi mnie straszliwie. Poza tym, to dla mnie zbyt wysokie progi, natomiast dla ciebie wręcz stworzone.

Luiza obdarzyła ją jednym ze swoich rzadkich promiennych uśmiechów.

- Och, gdyby tylko mama cię słyszała. Moi rodzice uważają, że nikt nie może dorównać Coldstone'om. No, może z wyjątkiem któregoś z książąt rodziny królewskiej.

- O mój Boże, tylko nie któryś z braci księcia regenta - Anna zabawnie zmarszczyła nosek. - Nie dość, że są starzy, to w dodatku straszni z nich nudziarze.

- Dość śmiała charakterystyka, lecz jakże prawdziwa - zaśmiała się Luiza. - Nawet moi rodzice muszą to przyznać. Och, Anno, co by powiedziała panna Ridgely, gdyby wiedziała, że jesteśmy wierne feministycznym ideałom panny Wollstonecraft?

Panna Ingersoll pokiwała głową.

- Niestety nasze pole działania jest ograniczone - odpowiedziała. - Idee feminizmu brzmią wspaniale i musimy uczynić, co w naszej mocy,



by wcielić je w życie. Nie jest to jednak łatwe.

- Szczególnie dla mnie - westchnęła Luiza. - Nadejdzie przecież taki dzień, kiedy będę musiała wyjść za mąż. Jak bardzo chciałabym być na twoim miejscu, Anno. Mogłabym wówczas tak jak ty postanowić, że na zawsze pozostanę panną, by walczyć o prawa kobiet.

- Ciii... - uciszyła ją przyjaciółka. - Gdyby ktokolwiek odkrył nasze zamiary, zrobiono by wszystko, by położyć kres naszej przyjaźni. Chyba nie sądzisz, że mój ojciec zmienił opinię na temat kobiet?

- Prawdopodobnie nic by go do tego nie zmusiło. Ale dlaczego małżeństwo ma pozostać jedyną dla nas drogą? Dlaczego mężczyźni mają tak niskie mniemanie o kobietach? Czemu musimy wyjść za mąż, jeśli chcemy w ogóle prowadzić jakieś życie? Dlaczego nie mogę poślubić kogoś z miłości? Och, jakie ty masz szczęście, Anno, że możesz sobie postanowić, że nigdy nie wyjdiesz za mąż, i oczekiwać, że twoje postanowienie zostanie uszanowane.

- To prawda. Lecz jeśli sądzisz, że ojciec nie próbował postawić na mojej drodze tylu mężczyzn, ilu tylko się dało, to wcale go nie znasz. Postanowiłam też nigdy nie poddać się temu szaleństwu, które nazwano miłością.

- To dlatego, że nigdy nie spotkałaś osoby, która wywołałaby w tobie to niesamowite uczucie - przekonywała ją Luiza. - To nie ma żadnego związku z naszymi zasadami i postanowieniami. Mój Boże, przecież nawet panna Wollstonecraft wyszła za mąż za pana Godwina.

- W mojej sytuacji z pewnością nigdy nie spotkam swojego pana Godwina. Widzę, że pod tą twoją lodową maską kryje się wulkan namiętności, ja zaś jestem zimna jak lód. Poza tym tobie nie brak konkurentów, choćby i bez królewskiego pochodzenia. - Szerokim gestem wskazała przepiękne bukiety kwiatów, które zajmowały każdy wolny kąt komnaty. Były to świadectwa uczuć, jakie budziła panna Luiza w swoich niezliczonych wielbicielach. - Tyle tu kwiatów, jakby miano za chwilę kogoś pochować. I wciąż nadchodzą kolejne, nawet teraz, kiedy tu siedzimy.

Luiza niechętnie zerknęła na kwiaty.

- Tak, powinno mi to schlebiać - mruknęła. - Gdyby chociaż odrobinę mi na którymś z nich zależało.

- Wciąż jeszcze się nie zakochałaś? - zapytała Anna.

- Nic a nic - stwierdziła Luiza. - Mamę zaczyna to już wyprowadzać z równowagi. Ona uważa, że powinnam choćby *tendre* wobec któregoś z tych dżentelmenów, nawet jeśli okaże się on całkiem niezdatny na męża.

- Może sir Gervais Mordaunt?

- Nie.

- Lord Westerbrook?

- O nie!

- Pan Quingley?

- Bój się Boga, nigdy! - wykrzyknęła Luiza. - Czy uwierzysz, że on

pluje, kiedy mówi?

- Och, to rzeczywiście nie sprzyja ideałowi kochanka - stwierdziła Anna. - Skoro tak, chyba będzie to musiał być ten książę z dalekiego kraju. Możemy tylko mieć nadzieję, że okaże się odrobinę znośniejszy od naszych panów.

- Dlaczego kobieta musi wychodzić za mąż za księcia z królewskiego rodu? Oni są okropnie nudni. - Uśmiechnęła się, lecz po chwili spoważniała. - Niestety, w moim wypadku miłość jest wykluczona. Coldstone'owie nie żenią się z miłości. Małżeństwo to dla nich interes. - Wzruszyła ramionami. - Więc równie dobrze może to być ten bawiański książę. - Spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę.

Anna westchnęła.

- Chodzi o Randolpha, prawda?

Luiza splonęła rumieńcem i zaczęła szarpać frędzle szala.

- Och, Luizo, tak mi przykro! - zawołała Anna.

Jej przyjaciółka nie należała do osób, które dzielą się z innymi swoimi przeżyciami. Dziedziczce Coldstone'ów nie wypadało otwierać przed kimś serca. Anna już chciała ją pocieszyć, lecz przyjaciółka gwałtownie jej przerwała.

- To naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Wiesz przecież, że papa nigdy nie zgodziłby się, bym oddała rękę komuś, kto nie ma żadnej pozycji w świecie. Poza tym Randolph nie zdaje sobie sprawy... Na pewno wciąż traktuje mnie jak małą kuzyneczkę. O Boże, żeby tylko

nikt się o tym nie dowiedział.

Anna już chciała powiedzieć, że miłość, która tak łatwo się poddaje, jest niewiele warta, lecz w tym momencie do pokoju weszła mama Luizy.

Księżna Coldstone urodziła mężowi pięcioro potomstwa, lecz zachowała nienaganną figurę i urodę. Anna wstała, by powitać matkę przyjaciółki, a lady Coldstone uśmiechnęła się do niej serdecznie. Bardzo lubiła pannę Ingersoll, choć Anna nie mogła się poszczycić szlachetnym urodzeniem. Gdyby jednak przyjaciółka córki była również piękna, księżna odnosiłaby się do Anny mniej życzliwie. Z początku, kiedy dowiedziała się o przyjaźni między dziewczętami, jej stosunek był dość krytyczny. Córka nie powinna zadawać się z byle kim. Okazało się jednak, że maniery panny Ingersoll są nienaganne. Ojciec Anny rzadko pojawiał się w towarzystwie, co można mu było poczytać za plus. Najgorsze podejrzenia, że pan Ingersoll zechce wykorzystać przyjaźń córki z Luizą, okazały się bezpodstawne, choć księżna nie mogła zrozumieć, dlaczego pan Ingersoll pozostawał obojętny na pokusy wielkiego świata i wcale nie imponowały mu honory i tytuły. Jej mąż nieraz jadał z nim w klubie obiady i uważał go za człowieka obytego, doskonale wykształconego i świetnego fachowca w sprawach interesu. Księżna podejrzewała, że najgorszą wadą panny Ingersoll jest poczucie humoru. Sama była go pozbawiona i oczywiście potępiała je u innych. Jednakże musiała przyznać, że Anna jest dobrze ułożoną panną bez

cienia wulgarności, tak często cechującą mieszczaństwo. Poza tym miała zbawienny wpływ na Luizę. Nie pozostało więc nic innego, jak zaakceptować tę przyjaźń i pozwolić córce spędzać czas w towarzystwie przyjaciółki.

- Droga Anno! - zawołała, pozwalając dziewczętom usiąść. - Jak to miło z twojej strony, że zechciałaś dotrzymać dziś Luizie towarzystwa. Ostatnio nie była w najlepszym humorze, prawda, skarbie? - Księżna dotknęła ramienia córki.

- Nic mi nie jest, mamó - odparła nieco zniecierpliwionym tonem Luiza.

- Widzę, że czytacie list od Randolpha. Poznaliśmy księcia Batawii, kiedy przebywał w Wiedniu. Cóż to za dżentelmen! A do tego bohater wojenny. Oczywiście, bardzo cieszymy się na jego przyjazd.

Głos księżnej był nienaturalnie podekscytowany. Rzuciła Annie porozumiewawcze spojrzenie ponad głową Luizy.

- Sądząc po tym, co pisze pułkownik Rodney, to niezwykle interesująca osoba - powiedziała Anna, podając księżnej list. - Brak słów, by opisać wszystkie jego zalety.

Księżna z wdzięcznością skinęła głową.

- Przyjedzie do Londynu jeszcze w tym tygodniu. Och, mój Boże, tyle spraw trzeba dopilnować. Chyba należałoby wyprawić bal na jego cześć, nie sądzisz, kochanie?

- Jak sobie życzysz, mamó - odparła znudzonym tonem Luiza.

Księżna rzuciła córce wymowne spojrzenie.

- Luizo, życzyłabym sobie, byś choć raz wykazała odrobinę entuzjazmu wobec mężczyzny - odparła z westchnieniem. - Oboje z ojcem uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, byś mogła poznać odpowiedniego dżentelmena. W przyszłym roku twoja siostra Jane wchodzi w świat, a ty, mając tylu konkurentów... Miałam nadzieję, że...

Anna, widząc rumieniec na twarzy Luizy, pośpieszyła jej z pomocą i zapytała księżnę o zdrowie męża, dzieci, a szczególnie wnuków. Księżna zaś jak każda babcia, zakochana w swoich wnukach, z przyjemnością zaczęła opowiadać o małym Geraldzie i Charlesie. Panna Ingersoll świetnie grała rolę osoby niezwykle zainteresowanej dziećmi. Nie padło już ani słowo na temat oczekiwanej wizyty znakomitego gościa. Wychodząc Anna poprosiła tylko przyjaciółkę, aby jak najszybciej odwiedziła ją w domu przy Berkeley Square. Obie czuły potrzebę szczegółowego przedyskutowania całej sprawy.

Papo, czy wiesz coś na temat Batawii? - zapytała Anna ojca przy kolacji. - Coldstone'owie uważają, że tylko książę byłby odpowiednią partią dla Luizy. Ostatnio myślą o księciu Batawii.

Spożywali właśnie wspólny posiłek w domu przy Berkeley Square. Co prawda ich rezydencja nie mogła się równać z pałacem Coldstone'ów, lecz nie należała też do zwykłych miejskich domów. Była to okazała kamienica w stylu palladiańskim, o eleganckiej linii i

najnowocześniejszych rozwiązaniach technicznych. Pan Ingersoll był gorliwym zwolennikiem najnowszych osiągnięć techniki, a że dzięki pokaźnej fortunie nie ograniczały go względy finansowe, mógł pozwolić sobie na takie luksusy, jak oświetlenie gazowe, centralne ogrzewanie i system kanalizacyjny. W efekcie dom Ingersollów był przytulniejszy, cieplejszy i lepiej oświetlony niż rezydencja Coldstone'ów.

- Sądzę, że będą naciskać na Luizę, by zainteresowała się tym księciem - mówiła dalej Anna. - W dodatku Jane wkrótce kończy pensję i wejdzie w świat, a za nią czeka już Catherine. Jak długo jeszcze księżna pozwoli Luizie zostać panną?

Dawid Ingersoll myślał właśnie o partii wina reńskiego, które zalegało w magazynach w Wapping i czekało na transport.

- Co takiego? Lady Luiza, mówisz? - zapytał, czule spozierając na córkę.

Anna uśmiechnęła się do ojca.

- Batawia, papo. Co wiesz na temat Batawii?

- Najlepszy szampan w Europie. Wytrawny, mocny, klarowny, po prostu wyborny - bez wahania odparł pan Ingersoll. - Ale chyba będziesz miała sposobność sama się o tym przekonać. Książę Batawii wkrótce przyjeżdża do Anglii. Chce wprowadzić wino batawiańskie na zagraniczne rynki. Jeśli cię to interesuje, z pewnością będziesz miała okazję go spotkać. Ze swojej strony mam zamiar ubiegać się o licencję na import szampana przez naszą firmę. - Uśmiechnął się szeroko. -

Chcesz powiedzieć, że księżna Coldstone zamierza rzucić Luizę w ramiona tego księcia? - zapytał po chwili.

- Na to wygląda - odparła Anna. - Wiesz przecież, że obowiązkiem Luizy jest korzystnie wyjść za mąż. Ale jakiś obcy książę... Na pewno jest zadufany w sobie i nudny i pewnie ma wystającą szczękę typową dla Habsburgów.

Pan Ingersoll pomyślał, że Luiza sama jest nudna i zadufana w sobie. W przeciwieństwie do Coldstone'ów korzenie jego rodziny nie kryły się we mgle dziejów. Niemniej kolejne pokolenia Ingersollów były już od kilku wieków skrzętnie notowane w rejestrach parafialnych londyńskiej dzielnicy handlowej City, jak i w księgach rodzinnej firmy. Od lat Ingersollowie trudnili się handlem win. Każde pokolenie mnożyło majątek, więc interes kwitł. Dawid Ingersoll dostrzegł ogromny potencjał tkwiący w firmie. Rozbudował ją tak, że całkowicie zdominowała rynek winny w Anglii. W ten sposób stał się jednym z najbogatszych ludzi w kraju. Tak jak Coldstone'owie był dumny ze swojej rodziny. Wzruszył teraz ramionami i powiedział:

- Uważaj, żebyś sama nie zakochała się w tym księciu. Pamiętaj, że zostałam wychowana w duchu idei demokratycznych. Zbyt dużo wydałem na twoją edukację, byś miała to teraz zmarnować oddając serce jakiemuś księciu, który wszystko, co ma, odziedziczył i który nie ma pojęcia, co to praca.

- No wiesz, papo! - oburzyła się Anna. - Skąd w ogóle przyszło ci



do głowy, że mogłabym zwrócić uwagę na księcia Batawii? Nawet go nie znam.

Pan Ingersoll z uśmiechem przyglądał się córce, myśląc, jak bardzo podobna jest do matki. Chociaż Anna nie była skończoną piękną, to jednak odznaczała się swoistym urokiem. Wszystko w niej żyło: lśniące kasztanowe włosy wijące się wokół trójkątnej twarzyczki, szare błyszczące oczy i małe ruchliwe usta. Była zgrabną młodą kobietą, a miła powierzchowność dopełniała oliwkowa cera o delikatnej różowej karnacji. W dodatku odznaczała się niezwykłą inteligencją i miała mnóstwo zdrowego rozsądku. Jeśli cokolwiek mogło martwić ojca, to tylko ta dziwna przyjaźń z Luizą. Pan Ingersoll obawiał się, by splendor, którego zakosztowała córka, nie przewrócił jej w głowie tak, że zapomni o wartościach wpajanych jej od dzieciństwa. Poświęcił mnóstwo pieniędzy i czasu na jej wychowanie i wykształcenie. Kiedy po ukończeniu pensji wróciła do domu, nie zmieniła się, jak się tego obawiał. Nie pragnęła przynależeć do innego, lepszego świata. Jednak ku jego zdumieniu zaczęła głosić idee feministyczne, według których kobieta winna mieć takie same prawa jak mężczyzna. A to już zupełnie nie mieściło mu się w głowie. I choć był człowiekiem uczonym, liberalnym, demokratą w każdym calu, córka nie była w stanie zmienić jego tradycyjnych poglądów. Na szczęście, po kilku burzliwych debatach ustalili, że mają na tę sprawę całkowicie odmienne zdania.

- Czy po to tyle płaciłem na twoją naukę? - pytał rozżalony. -

Miałaś być wszechstronnie wykształconą, miłą panienką a nie jakąś feministką z głową nabitą bzdurami.

Pan Ingersoll liczył tylko na to, że po pewnym czasie spędzonym w domu rodzinnym, Anna powróci do równowagi psychicznej. Córka natomiast uznała, że ojciec ma średniowieczne poglądy i nic, i nikt nie jest w stanie ich zmienić. Intuicja podpowiadała jej, by nie dzielić się z ojcem postanowieniem pozostania do końca życia panną. Gdyby mu to wyznała, z pewnością dostałby ataku apopleksji. Bardzo go kochała, więc nie pozostawało jej nic innego, jak pozwolić mu jeszcze długo żyć w zdrowiu i nieświadomości.

Pan Ingersoll, który słynął z tego, że przemienił mały sklep winiarski w świetnie prosperującą, największą firmę handlową w Anglii, doskonale zdawał sobie sprawę, że przed jego córką drzwi najelegantszych salonów na zawsze pozostaną zamknięte. Jak wielu kupców nie cenił przedstawiciele wyższych sfer z powodu ich dekadencji, rozpusty i rozrzutności. Z tych samych też powodów co Coldstone'owie miał pewne wątpliwości co do zasadności przyjaźni Anny z Luizą. Na szczęście Luiza okazała się rozsądną młodą panną, a jej ojciec, książę Coldstone, dość przyzwoitym człowiekiem jak na przedstawiciela wyższych sfer. Poza tym obu panów łączył wspólny problem: ich córki.

Anna skończyła szkołę już dwa lata temu i jak dotąd nie zakochała się w żadnym odpowiednim dżentelmenie. Zdawać się mogło, że

całkowicie zadowala ją prowadzenie domu i bieganie po mieście z przyjaciółmi w bliżej nieokreślonych celach. Zupełnie nie w głowie było jej małżeństwo. Choć pan Ingersoll był człowiekiem postępowym, z niecierpliwością oczekiwał, kiedy córka się ustatkuje i założy rodzinne gniazdo. Z tą myślą spojrzął teraz na zegar stojący na kominku i zmarszczył brwi.

- Czyżby nie smakował ci befszytk, papo? - zapytała zaniepokojona Anna, mylnie odczytawszy wyraz niezadowolenia na twarzy ojca. - Specjalnie przypomniałam kucharzowi, żeby go nie przesmażył.

- Och, nie, wszystko jest pyszne - szybko odparł ojciec. - Myślałem tylko o Briggsie. Powinien tu już być w sprawie tego załadunku. Chodzi o wino reńskie, pamiętasz? Espil przysłał nam dwadzieścia skrzynek popłuczyn, a nie wina. Trzeba to szybko załatwić.

- Ach, pan Briggs - powiedziała z niechęcią. - Czy mam powiedzieć majordomusowi, żeby wprowadził go do twojego gabinetu?

- Nie trzeba. Kazałem go wprowadzić do jadalni. To bardzo elegancki młody człowiek, ten Jeremy Briggs. - Tu uważnie spojrzął na córkę. - Nie sądzisz? - dodał po chwili, kiedy nie doczekał się odpowiedzi.

- Tak - odparła obojętnie. - Pan Briggs to przeciętny dżentelmen.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa drzwi się otworzyły i służący zaanonsował gościa.

- Pan Briggs.

Anna rzuciła ojcu ostrzegawcze spojrzenie, ten jednak, unikając jej wzroku, serdecznie powitał gościa, gestem zapraszając go do wejścia.

Jeremy Briggs był dwudziestoczteroletnim młodzieńcem, lecz wyglądał, jakby skończył pięćdziesiąt i miał wkrótce umrzeć. Był wysoki i tak chudy, że zachodziła obawa, iż zaraz się złamie. Jego trupi wygląd podkreślała jeszcze czerń stroju, rozjaśniona jedynie bielą koszuli. Z powagą wkroczył do jadalni, niosąc z namaszczeniem teczkę. Uśmiechnął się, ukazując wielkie zęby.

- Dobry wieczór, panno Anno, dobry wieczór, sir - rzekł pogrzebowym tonem i skłonił się głęboko.

Anna starała się jak mogła, ukryć obrzydzenie, które budził w niej asystent ojca. Jak zwykle widząc łysy czubek jego głowy i okalający go kędzierzawy wianuszek, zastanawiała się, kiedy Briggs do reszty wyłysieje.

- Panie Ingersoll, przygotowałem faktury, o które pan prosił. Ośmieliłem się również napisać odpowiedź na list pana Espila z dwudziestego dziewiątego marca i...

- Tak, tak, dobrze, mój chłopcze - przerwał Ingersoll, wkładając na nos okulary i wskazując na teczkę. - Chciałbym rzucić okiem na papiery, jeśli można. Anno, może pan Briggs napiłby się kawy albo coś zjadł.

- Proszę usiąść, panie Briggs - powiedziała grzecznie Anna. - Czy jadł już pan kolację?

- Och, tak, zjadłem u siebie samotny, kawalerski posiłek. Lecz nie

odmówiłbym filiżanki kawy z pani najśłodszych rączek.

Pan Ingersoll wziął teczkę i zatonął w stosie dokumentów, raz po raz chrząkając i kręcąc głową. Obowiązek zabawiania gościa spadł więc na Annę. Ten zaś usiadł przy stole i nie spuszczał oczu z dziewczyny. Wyglądał jak pajak czekający na swoją ofiarę.

- Widzę, że miewa się pani dobrze - podjął bezbarwnym głosem. - I jak zwykle pięknie pani wygląda.

- Dziękuję - odparła bez entuzjazmu. - Każę podać kawę. - Zadzwoiła na służącego.

- To uprzejmię z pani strony - odparł piskliwym głosem Briggs, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Robił wrażenie, jakby ktoś go uderzył w ciemię i pozbawił rozumu.

Nawet jeśli jest geniuszem w interesach, pomyślała Anna, zupełnie brakuje mu osobowości i charakteru. Wszelkie próby ojca, by zainteresować córkę swoim asystentem, spełzły na niczym i tylko ją denerwowały. Czyż ojciec nie pojmował, że nie pociąga jej człowiek, który nie ma zupełnie poczucia humoru? Nie mówiąc już o tym, że przypomina jej mumie egipskie, które widziała w Muzeum Brytyjskim. Zresztą nawet mumie były od niego ciekawsze.

- Panno Anno, ośmielam się żywić nadzieję, że pozwoli mi pani towarzyszyć jej na koncercie muzyki dawnej, który odbędzie się w Anthenum w następny wtorek. Z tego, co słyszałem, wielki Biloxi ma grać na czeleście, a pani tak kocha muzykę.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że za chwilę spocona dłoń Briggsa spocznie na jej ręce. Na wszelki wypadek cofnęła więc czym prędzej dłoń. Na szczęście, w tej samej chwili, dyskretnie kaszlnąwszy, wszedł do jadalni Addle i postawił przed nią tacę z kawą. Tak więc tym razem została wybawiona z niezręcznej sytuacji i spokojnie mogła zająć się srebrnym dzbankiem i porcelanowymi filiżankami. Rozmowa w obecności służby była wykluczona.

Pan Ingersoll zakasłał i pomachał papierami.

- Jeremy, tu chodzi o 4800 litrów tego *vin ordinaire* z St Eliphas...

Briggs wstał i podszedł do pracodawcy. Moment ten wykorzystwała Anna i czym prędzej uciekła z jadalni, rzucając majordomusowi pełne wdzięczności spojrzenie.

Luiza z pewnością ma swoje problemy, a ja mam swoje, pomyślała, biegnąc do swojego pokoju.

Oczywiście, zdajesz sobie sprawę z tego, że będą nas czekały pewne trudności - powiedział Johannes do kryjącej się w cieniu postaci.

Już dawno zapadła noc. Po pożegnalnych uroczystościach ku czci księcia Theodorika i towarzyszącej mu eskorty, którzy mieli wyjechać następnego ranka, zmęczeni Batawianie położyli się wreszcie spać. Chłodny wiatr rozwiewał rozsypane konfetti i suche kwiaty. Nad głowami rozmawiających siedział zadumany Alois Obrońca, wpatrzony marmurowym wzrokiem w otwarty dziedziniec pałacowy.

Johannes i jego towarzysz celowo ukryli się w cieniu posągu.

- Masz tylko dobrze odegrać swoją rolę, to wszystko. Resztą zajmie się ktoś inny z eskorty księcia. Kiedy wreszcie pozbędę się Thea, zostanę księciem Batawii - rozmarzył się Johannes.

Jego rozmówca kiwnął głową.

- Nikt nie będzie nic podejrzewał. Wszystko stanie się za granicą, a pańska koronacja odbędzie się zaraz po tym.

Johannes ciasniej otulił się płaszczem i bacznie rozejrzał wokoło.

- Nie możemy pozwolić sobie na najmniejszy błąd - syknął. - To moja głowa spadnie, nie twoja, jeśli powinie ci się noga.

- Wszystko się uda, Wasza Wysokość. Nasz plan jest doskonały, pracowaliśmy nad nim od miesiący.

- Dobrze więc - odparł Johannes.

- Kiedy znów się spotkamy, będę miał zaszczyt służyć Waszej Wysokości, księciu Batawii.

Z tymi słowy zniknął, równie nagle, jak się pojawił, nie zostawiwszy po sobie nawet śladu stopy na żwirze.

Johannes odwrócił się i różnym krokiem pomaszerował do swojego apartamentu, nucąc coś pod nosem. Próżność zawsze była jego największą wadą.

Wygląda na to, że cały Londyn przyszedł obejrzyć lwa - szepnął pułkownik Rodney do księcia Theodorika, obserwując tłum gości.

- Jakiego lwa? - spytał Theo, rozluźniając sztywny kołnierzyk wyjściowego munduru. Czuł się tak, jakby cały ten rynsztunek z medalami i ozdobami, który włożył na przyjęcie w ambasadzie Batawii, przygniatał go do ziemi.

- Ty jesteś tym lwem. Wszyscy przybyli tu tylko po to, aby cię zobaczyć - wyjaśnił pułkownik Rodney z rozbawieniem.

Księżę pomyślał, że przyjaciel dobrze się bawi. Lecz on nie musiał stać przez wiele godzin, ściskając dłonie setkom gości. Bolała go ręka, szczeka od ciągłego uśmiechania się i stopy wciśnięte w eleganckie wojskowe buty. Na przyjęcie przybyła cała londyńska śmietanka. Ambasada po brzegi wypełniona była gośćmi.

- De facto czuję się jak lew w cyrku, na którego gapią się setki ludzi - powiedział z goryczą. - Już zacząłem się zastanawiać, czy nie mam czegoś na nosie.

Pułkownik wziął dwa kieliszki batawiańskiego szampana z tacy podanej przez lokaja i podał jeden księciu.

- Powinieneś się do tego przyzwyczaić. Przecież to zrozumiałe, że na ciebie zawsze będą skierowane wszystkie oczy. Jesteś bohaterem, panem i władcą, a do tego przystojnym kawalerem, który jak wieść



niesie, szuka odpowiedniej żony. Taka gratka nie zdarza się często. Będziesz bohaterem sezonu. - Pułkownik upił łyk szampana. - Mógłbym ci wskazać wszystkie panny na wydaniu, ich mamusie, swatki i cały tłum pochlebców. Czekają tylko na jedno twoje skinienie.

- Nic takiego nie miało miejsca, kiedy byliśmy na studiach - stwierdził Theo. - Wówczas nikt nie interesował się jakimś studentem z zagranicy.

- Wtedy nie byłeś jeszcze panującym władcą, lecz obdartym studenciną z jakiegoś państewka okupowanego przez Bonapartego. To niesamowite, jak wszystko się zmienia.

- To prawda - przyznał Theo, pociągając łyk szampana. - Spójrz, zbliża się baronowa Hertzwig, nasza ambasadorowa. Jej wzrok mi mówi, że muszę poznać jakieś kolejne osobistości.

Sunęła ku nim wielka, dostojnie wyglądająca dama z pękiem pawich piór wpiętych w turban. Towarzyszyły jej jakieś dwie młode panny.

- Uwaga, zbliża się arystokracja - zażartował pułkownik Rodney. - Oto moja kuzynka Luiza Coldstone we własnej osobie.

- Chyba jesteśmy w pułapce. Nie uda nam się wymknąć - mruknął niezadowolony książę.

- Jeszcze nie wszystko stracone. Możemy udać, że ich nie zauważyliśmy i wycofać się do sali karcianej. Co prawda natkniemy się tam na Carletonów, no ale przecież trzeba zamienić słówko z regentem.

- Ten, kto ucieka z placu boju, musi szykować się na wojnę - rzucił filozoficznie książę i obaj panowie odwrócili się na pięcie i ruszyli w stronę sali karcianej.

- Prowadź, Rodney, jesteśmy na twoim terytorium.

- Nie obawiaj się, panie, twój wierny sługa na pewno cię nie zawiedzie.

Wąskim korytarzem dotarli do sali koncertowej, a z niej na taras wychodzący na ogród ambasady. Dochodziły z niego odgłosy krzątania - lokaje roznosili tace z napojami i kanapkami - a także szmer rozmów, brzęk kieliszków i ciche dźwięki grającego w sali balowej kwartetu smyczkowego. Książę z przyjemnością stwierdził, że choć ambasada Batawii jest niewielka, cieszy się sporą popularnością.

- Przypomnij mi, żebym nadał Hertzwigowi medal, choć bardziej należy się pani Hertzwig. To ona jest tu gwiazdą - powiedział Theo, wyjmując z kieszeni munduru cygarniczkę i częstując przyjaciela. - Zdaje się, że udało im się nawiązać stosunki dyplomatyczne z połową świata.

- To batawiański szampan jest główną atrakcją - odparł pułkownik zza chmury dymu. - Baron mówił mi, że ludzie pchają się do ambasady tylko po to, by skosztować waszych win.

- To wspaniała wiadomość - ucieszył się książę. - Batawia będzie miała...

Urwał w pół zdania, bo jego uwagę przykuł dźwięk otwieranych i

cicho zamykanych drzwi balkonowych na drugim końcu tarasu. Oczom mężczyzn ukazała się młoda panna w satynowej sukni koloru żonkili. Nie zdając sobie sprawy z ich obecności drżącymi rękami wygładziła sukienkę. Po chwili na taras wytoczył się otyły mężczyzna.

- A więc tu się schowałaś, ślicznotko! Czemu uciekasz przede mną, skoro jasne jest, że oboje tego pragniemy...

Stojąca w cieniu panna wyprostowała się dumnie.

- Przeliczył się pan! - rzuciła gniewnie. - Proszę zachować swoje wysiłki dla niewiasty, która je doceni!

Najwidoczniej słowa te nie ostudziły zapału jej towarzysza, bo gwałtownie przyciągnął kobietę do siebie.

- Pan się zapomina! - wykrzyknęła oburzona.

- O nie, to ty zapominasz, kim jestem! - syknął mężczyzna.

W tym momencie światło z okien padło na twarz napastnika, ukazując opaskę na oku. Był to książę Cumberland, brat regenta, syn szalonego króla Jerzego. Na jego obrzmiałym, czerwonym jak burak obliczu odcisnęło piętno hulaszczce życie. Książę cieszył się złą sławą rozpustnika.

Pułkownik Rodney zawahał się. Sprawa była dość delikatnej materii, chodziło tu przecież o brata regenta. Lecz książę Batawii nie wahał się ani przez chwilę. Obrażano damę, a to wystarczający powód, by wkroczyć do akcji. Odrzucił cygaro i podszedł do walczącej pary.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał chłodno.

- To nie pańska sprawa! - burknął książę Cumberland. Wtem światło padło na twarz Thea. - Wasza Wysokość, - dodał potulniej. Nie pozostało mu nic innego, jak się wycofać. Miał bowiem do czynienia z koronowaną głową i wyższym rangą oficerem. Wymruczał przeprosiny i wyswobodził pannę z uścisku. - Zresztą mała strata - stwierdził. - Ta mała śmierdzi sklepem, jeśli mam być szczery.

- Ta dama chyba dość jasno dała panu do zrozumienia, że pańskie zaloty są jej niemiłe - odparł Theo. Zręcznym ruchem złapał przeciwnika za ramię, obrócił go i pchnął w przeciwną stronę.

Książę zachwiał się, lecz po dość krótkiej chwili, zważywszy na litry wypitego wina, udało mu się odzyskać równowagę.

- Jak śmie pan dotykać członka rodziny królewskiej?! - ryknął wściekle.

- Radzę uważać. - Randolph postąpił krok w przód. - Chyba nie chciałby książę zostać wyzwany przez jego wysokość księcia Theodorika? Jest on jednym z najświetniejszych strzelców w Europie.

Przez chwilę ich przeciwnik nie wiedział jak zareagować, po czym cofnął się o krok i uniół ręce w obronnym geście. Na palcach błysnęły sygnety i pierścienie.

- Proszę wybaczyć, nie poznałem Waszej Wysokości.

- Nie jest pan tu mile widziany. Proszę odejść - chłodno zażądał książę Theodorik.

- Jak pan śmie tak się do mnie zwracać! - ryknął oburzony do

żywego Cumberland. - Jestem bratem regenta.

- A to jest ambasada Batawii i jest pan na moim terytorium - odparł Theo nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Żegnam pana.

Pokonany Cumberland odwrócił się i ruszył do drzwi. Tu jednak rzucił wrogowi ostatnie spojrzenie i warknął:

- Nie zapomnę ci tego, panie!

- Zadbam o to! - odpowiedział Theo.

Brat regenta rzucił mu zjadliwe spojrzenie i wyszedł.

- Trzeba szepnąć słówko baronowej Hertzwig. To niestosowne zapraszać tych braci regenta - mruknął pułkownik Rodney. - A już szczególnie tego obrzydliwego Cumberlanda. Podobno zamordował pierwszą żonę.

Gdy tylko Theo upewnił się, że napastnik odszedł, zwrócił się ku pannie.

- Czy nic się pani nie stało? Może mógłbym w czymś pomóc?

Dziewczyna postąpiła ku niemu. W świetle dochodzącym z wnętrza domu księżę ujrzał młodą, dość wysoką kobietę o ciemnych włosach i szarych oczach, które rzucały groźne błyski.

- Pomóc?! - powtórzyła, nerwowo szarpiąc wachlarz. Ton jej głosu wcale nie wskazywał na to, że przed chwilą była w tarapatkach, lecz że jest bardzo rozgniewana. - Nie potrzebuję pańskiej pomocy. Ani przez chwilę jej nie potrzebowałam. Sama świetnie poradziłabym sobie z tym wstrętnym człowiekiem.

- Chciałem jedynie pomóc - wyjąkał Theo, zaskoczony jej reakcją.

- Typowo męskie zachowanie. Wszyscy mężczyźni uważają, że kobiety są słabe i bezbronne - warknęła. - Jeśli tak bardzo chce mi pan pomóc, proszę mi pokazać, jak stąd wyjść. Och, jak ja nie cierpię tych przyjęć i tych wszystkich ludzi. A wszystko przez tego wątpliwej dostojności księcia.

Słowa te wywołały konsternację u „wątpliwej dostojności księcia”.

- Anna? Anna Ingersoll?! - wykrzyknął jego towarzysz.

- Randolph? - zawołała zdumiona dziewczyna. - Randolph we własnej osobie, czy to możliwe? Och, dzięki Bogu, choć jedna znajoma twarz! Jakim sposobem dałeś się zaciągnąć na to potwornie nudne przyjęcie?

Pułkownik Rodney wyciągnął ku niej rękę z figlarnym błyskiem w oku.

- Anno, najmiłsza, czarująco wyglądasz. Ale odpowiadając na twoje pytanie... - Skłonił się, by ucałować jej dłoń. - Jestem tu, ponieważ towarzyszę mojemu przyjacielowi, księciu Theodorikowi von Hazloe und Gottfreund. Wasza Wysokość, niech wolno mi będzie przedstawić moją starą przyjaciółkę, pannę Annę Ingersoll.

Księżę Theodorik i Anna spojrzeli na siebie, po czym księżę niechętnie wyciągnął dłoń.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość - powiedziała panna Ingersoll, podając mu rękę i zadziwiając księcia po raz kolejny, tym

razem niezwykle mocnym jak na niewiastę uściskiem. - Nie chciałam Waszej Wysokości urazić.

- Mam taką nadzieję - odparł chłodno. Nie przywykł do tego, by kobiety, które wyratował z opresji, odpowiadały mu niewdzięcznością i oszczerstwami. - W moim kraju młodym pannom towarzyszą wszędzie przyzwoitki, dzięki czemu nie dochodzi do takich scen.

- Zaś w moim kraju nie zaprasza się gości, którzy zagrażaliby swoim aroganckim, ordynarnym zachowaniem.

- Szach i mat - zachichotał pułkownik Rodney. - Jesteście siebie warci. - Odchrząknął. - Panna Ingersoll i moja kuzynka, lady Luiza Coldstone są przyjaciółkami od serca od czasów szkolnych.

Niestety, ta wiadomość nie na wiele się zdała. Theo zdążył już bowiem zwątpić w dobre maniery panny.

Ze swej strony Anna przyglądała się księciu z rosnącą ciekawością. A więc to ten mężczyzna ma być pretendentem do ręki Luizy. Zrobiło jej się żal przyjaciółki. Musiała przyznać, że księżę ma miłą powierzchowność, wyczuwała jednak, iż jest to jeden z tych konserwatywnie myślących mężczyzn, którzy uważają kobiety za bezsilne istotki, potrzebujące męskiego wsparcia.

Opinia księcia na temat panny Ingersoll wcale nie była dla niej bardziej pochlebna. Choć uznał ją za dość atrakcyjną pannę, to jednak nie w jego typie. Nie lubił kobiet o ciemnych włosach, a jej maniery pozostawiały wiele do życzenia. Ludzie, z którymi się stykał, odnosili

się do niego z szacunkiem, natomiast ta bezczelna pannica zachowała się wręcz obraźliwie. A on usiłował przyjść jej z pomocą. Naraz przyszła mu do głowy stara maksyma: „Żaden dobry uczynek nie ujdzie ci na sucho”.

- Nie wiedziałem, że Angielki są takie... twarde - powiedział.

Anna przygryzła wargę. Zdawała sobie sprawę, że nie zachowała się jak przystało na damę, jednak nie co dzień zdarzało się być napastowaną przez wulgarnych staruchów, a następnie wybawianą z opresji przez aroganckich książąt.

- Może wrócimy na przyjęcie? - taktownie zaproponował pułkownik Rodney.

- Tak, sądzę, że powinniśmy - zgodził się Theo, wygładzając rękawiczki. Niewychowana pannica, pomyślał.

Randolph podał Annie ramię.

- Muszę przyznać, Anno, że wyglądasz olśniewająco. Bardzo mi przykro z powodu tej okropnej sceny - dodał szeptem.

Panna Ingersoll pokręciła z niechęcią głową i uśmiechnęła się smutno.

- Wiesz, czasem zdaje mi się, że niektórzy wysoko urodzeni mężczyźni, wiedząc, iż mój ojciec jest kupcem, traktują mnie jak... folwarczną dziewczkę, z którą wszystko im wolno - powiedziała. - W ogóle nie powinnam tu przychodzić. Luiza mnie namówiła, a i papa ją poparł. Oboje uważają, że powinnam częściej bywać.



- Nie widziałem jeszcze kuzynki. Jak się miewa? - zapytał Randolph.

- Och, nie mogła się doczekać, kiedy pozna księcia - stwierdziła sucho Anna. - Wygląda na to, że doskonale przygotowałeś grunt, Randolphie.

Poklepał ją po ręce.

- Możesz mi wierzyć, to naprawdę wspaniały człowiek. I powinnaś okazywać mu więcej szacunku, Anno. Nie każda dziewczyna ma szansę zostać wybawiona przez księcia najczystszej krwi.

- Już dawno przestałam wierzyć w bajki - odparła Anna. - Teraz jestem dorosłą kobietą, a w dodatku utwierdziłam się w moich przekonaniach feministycznych.

Usta pułkownika zadrżały.

- Na to wygląda - stwierdził i dodał po chwili: - Musisz jednak przyznać, że Luiza nie będzie rozczarowana księciem. Jest w stanie zaspokoić nawet najbardziej wybredny gust.

- Pozostawmy to jej ocenie - odparła Anna. - Choć rzeczywiście, dość przystojny z niego mężczyzna - dodała wspaniałomyślnie. - Och, Randolphie, po cóż ja tu dziś przyszedłam? Wpierw napastował mnie ten dekadenski książę, a potem uraziłam przyszłego konkurenta Luizy. Czy nie sądzisz, że w tej sytuacji powinnam dostać migreny i poprosić, abyś mnie odwiózł do domu?

- Żaden wieczór towarzyski nie może się skończyć, póki nie

dopełni go spotkanie z patronką Almacka. Należy ją przywitać po to tylko, aby dać sobie utrzyć nosa i zostać skarconym jak nastolatek.

- Jeszcze to trzeba będzie przeżyć - westchnęła Anna. - Córka londyńskiego kupca zawsze zasługuje na kolejne pouczenie. Najgorsze jest jednak to, że wcale nie zależy mi na bywaniu w Almacku. I nie dbam też o jego patronkę.

- A więc niech dadzą nam obojgu burę i zaoszczędzą niepotrzebny kłopot. Wcale nie zależy mi na obniżaniu ich podniebnych lotów.

Anna zaśmiała się, nieco podniesiona na duchu.

- Właściwie to nie mam nic przeciwko nim, lecz czasem męczy mnie takie życie.

- Wierz mi, Anno, że nie masz powodów, by wstydzić się swego pochodzenia czy manier - zapewnił ją pułkownik Rodney.

- Zaś to, że jesteś młodszym synem, pozbawionym tytułu i fortuny, nie czyni z ciebie nieodpowiedniego konkurenta - dodała.

- Strzał w dziesiątkę - przyznał ze śmiechem Randolph.

Przyjaźń tych dwojga opierała się na przekonaniu, że nie należą do sfery, w której się obracają. Z przyjaźni czerpali siły i pocieszenie. Anna z trudem powstrzymała się, by nie wyjawić Randolphowi, że Luiza go kocha. Po chwili namysłu stwierdziła jednak, iż dość już nawarzyła piwa jak na jeden wieczór.

- Och, mój niewyparzony język. Dlaczego zawsze najpierw mówię,

a potem myślę?

- Nie byłąbys wówczas sobą. Przestałąbys być Anną, którą tak dobrze znam i kocham - zaśmiał się Randolph. - Lecz dość tego. Wejdz do środka, łyknij sobie szklaneczkę szampana i wysoko trzymaj głowę.

- Och, jak się cieszę, że nareszcie wróciłeś. Myślałam, że na zawsze zostaniesz w obcych krajach. Co też zatrzymywało cię w Europie przez te wszystkie długie miesiące?

- Sprawy wagi państwowej, ściśle tajne, nie przeznaczone dla uszu ciekawskich pańienek, które dopiero co opuściły ławę szkolną - odparł lekkim tonem Randolph. - Muszę jakoś zarabiać na chleb. Oficer żyjący na swoje nieszczęście w czasach pokoju, otrzymujący tylko połowę żołdu, musi jakoś sobie radzić. Młodszy syn ma jedynie dwie drogi do wyboru: przywdziać mundur albo sutannę. Wybrałem tę pierwszą drogę, ponieważ nikt, nawet ty, nie byłby w stanie wyobrazić sobie takiego huncwota jak ja na ambonie.

Anna zaniósła się perlistym śmiechem. Poczucie humoru pułkownika ożywiało jej własne.

- Przykro mi, że uraziłam twojego księcia - przyznała.

- To naprawdę zacny druh i dobry człowiek, kiedy się go lepiej pozna - zapewnił ją. - Jak większość koronowanych głów Theo z początku wydaje się nieco sztywny i wyniosły, chociaż ma powody do dumy. Był wspaniałym żołnierzem. Niejedno przeszedł walcząc przeciwko Francuzom. Spójrz, czy to nie moja krewna, baronowa

Hertzwig? A z nią i Luiza. Doskonale. Patrz i ucz się, jak należy postępować.

Baronowa Hertzwig majestatycznym krokiem sunęła w ich kierunku. Wyraz twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości: nie miała zamiaru pozwolić na to, by umknął jej główny gość wieczoru. Choć dobre wychowanie nie pozwalało jej otwarcie zbesztać swego króla za umknięcie jej sprzed nosa, to ukłon, jaki mu złożyła, sprawił, że Theo poczuł się jak niesforny uczeń.

- Jeśli Wasza Wysokość pozwoli - zwróciła się do niego lodowatym tonem - chciałabym przedstawić kilka ważnych osobistości.

- Proszę wybaczyć, droga baronowo - odparł skruszony Theo. - Jestem do pani dyspozycji.

Pióropusz na głowie damy zachwiał się triumfalnie. Wsunęła rękę pod ramię księcia i skinęła w stronę księżnej Coldstone.

- Niech wolno mi będzie przedstawić księżną Coldstone i jej córkę, lady Luizę Coldstone - przemówiła drżącym z przejęcia głosem.

Przez krótką chwilę książę Theo i Luiza mierzyli się wzrokiem. Jednak tylko Anna to zauważyła. Bardzo pragnęła, by to spotkanie okazało się dla przyjaciółki najważniejszym wydarzeniem w jej życiu, by była to miłość od pierwszego wejrzenia, aby zagrały fanfary i rozbłysły fajerwerki. Jednak nic takiego się nie stało.

Księżna Coldstone, zdobna w słynne rodowe szmaragdy, dygnęła, a Luiza, otulona w różowe pastele, doskonale pasujące do jej panieńskiej

niewinności, poszła za przykładem matki. Maniery księcia były równie doskonałe: nisko się skłonił, musnął ustami dłoń matrony, Luizie zaś kiwnął głową, na co dziewczyna odpowiedziała tym samym. Jeśli coś na kształt sympatii zrodziło się podczas tego powitania, umknęło to uwagi obu stron. Na żadnej z twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- To wielki zaszczyt poznać panią, Księżno - odparł Theo.

- To my jesteśmy zaszczycone, Wasza Wysokość - odparła księżna.

- Mam nadzieję, że wolno mi będzie odwiedzić panie podczas mojego pobytu w Londynie - powiedział książę.

- Z niecierpliwością będziemy oczekiwać wizyty Waszej Wysokości - księżna dystyngowanie skinęła głową.

Theo skłonił się damom i baronowa, zgodnie z etykietą, odprowadziła je w głąb sali. Nim odeszły, Luiza rzuciła wymowne spojrzenie Randolphowi. I choć trwało to krótko, nie uszło uwagi Anny. A więc nawet sztywne zasady nie zdołały zdusić jej uczuć.

Książę westchnął i podążył za paniami, choć widać było, że chciałby być o tysiące kilometrów stąd. Pułkownik Rodney zdawał się tego nie dostrzegać, pochłonięty strzepywaniem niewidzialnego pyłku z kłapy surduta. Czyżby Randolph czuł coś do Luizy? Jeśli tak, to dlaczego rzucał ukochaną w ramiona innego mężczyzny?

Nim Anna zdołała się nad tym zastanowić, podszedł do niej jakiś dżentelmen i uśmiechnął się czarująco. Ubrany był w strój typowy dla kręgów dyplomatycznych. Czarny wizytowy surdut zdobiła czerwona

szarfa, a ciemne włosy ufryzowane miał w stylu *a la brute*. W jego fizjonomii uderzała pewność siebie i zepsucie, co w połączeniu z niezwykle urodą czyniło go bardzo atrakcyjnym. Anna pomyślała, że jest wręcz diabolicznie kuszący. Ale przecież taki zapewne był diabeł: przystojny i kuszący. Jedyne, co ją dziwiło, to ten czarujący uśmiech.

- Czy zechce mnie pan przedstawić, pułkowniku? Randolph rzucił mu spojrzenie pełne skrywanej nienawiści.

- Oczywiście - odparł. - Hrabia Johannes von Hazloe, panna Ingersoll.

Uśmiech na ustach Johannesesa stał się jeszcze szerszy. Ujął dłoń Anny i nisko się skłonił.

- Jestem zachwycony, *mademoiselle* - szepnął, patrząc na nią, jakby chciał oszacować, jakie robi na niej wrażenie. Potrzymał jej dłoń w swojej odrobinę dłużej, niż wymagała tego etykieta.

- Ja również - odparła szczerze Anna.

- Hrabia von Hazloe jest kuzynem księcia Theodorika - wyjaśnił Randolph bez entuzjazmu.

- Należę do świty księcia - powiedział lekkim tonem Johannes. - To moja pierwsza wizyta w Anglii.

Mówił po angielsku nieco słabiej niż księżę, podnosząc intonację przy końcu każdego zdania.

- Czy zadowolony jest pan z pobytu? - zapytała Anna, z trudem łapiąc oddech.

- Teraz tak - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Pułkownik Rodney odchrząknął.

- Panna Ingersoll narzekała przed chwilą na ból głowy. Właśnie miałem ją odwiedzić do domu.

- *Tant pis!* - westchnął Johannes.

- Och, już mi lepiej - zapewniła.

- Znam te twoje migreny. Ból może zaatakować w każdej chwili - upierał się pułkownik.

Johannes rzucił Rodneyowi rozbawione spojrzenie.

- Może więc spotkamy się kiedyś, gdy będzie pani mniej... zobligowana. Bardzo bym tego pragnął.

- Ja również, sir - wyszeptała Anna.

- Więc nie jest to pożegnanie, *mais adieu* - westchnął hrabia.

Randolph pociągnął Annę w stronę drzwi.

- Co ci się stało?! - zawołała oburzona. - Nawet nie podziękowaliśmy gospodyni.

- Wyślesz jej jutro liścik! - odburknął Randolph. - Idź do szatni po okrycie.

- A co z księżną i Luizą? Wiesz przecież, że przyszedłam tu z nimi. Randolph, masz się natychmiast wytłumaczyć!

- Wyjaśnię ci wszystko w powozie. Wychodząc przeproszę też Luizę. Spotkamy się w foyer.

Uznała, że dość już miała kłopotów tego wieczora, zrobiła więc, o

co prosił. Stojąc w foyer, spostrzegła Luizę, siedzącą z księciem na sofie. Być może to obecność księżnej Coldstone sprawiała, że rozmowa się nie kleiła. Anna całym sercem współczuła przyjaciółce. Zdawała sobie doskonale sprawę, że wszystkie te zabiegi, mające na celu skojarzenie małżeństwa, są częścią formalnością. Nikt nie martwił się o to, czy młodzi znajdą wspólny język i czy poczują do siebie sympatię. Na szczęście ona nie musi wychodzić za mąż i nikt nie oczekiwał od niej, by wyszła za księcia, ale...

- Och, znów się spotykamy. Tak mi przykro z powodu migreny, panno Ingersoll - powiedział hrabia, zjawiając się nagle u jej boku. Spojrzał w stronę, w którą patrzyła.

- Ach więc to jest lady Luiza. *C'est tres belle, ne c'est-ce pas?* - Już dawno przekonał się, że wtrącanie do rozmowy francuskich słówek daje wspaniałe rezultaty.

- Tak, rzeczywiście jest piękna - przyznała Anna. - Mam szczęście być jej przyjaciółką - dodała z subtelną pogrózką w głosie.

- To ona ma szczęście - odparł Johannes, patrząc, jak kuzyn rozmawia z Luizą. Uśmiechał się przy tym łagodnie, co czyniło go podobnym do Thea.

Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Mam wrażenie, iż stara się mi pan schlebić, hrabio.

- Mówię samą prawdę. Proszę mi powiedzieć, panno Ingersoll, czy mógłbym...



- Jesteś gotowa, Anno? - rozległ się nagle zirytowany głos Randolpha.

- Tak - odparła niepewnie.

Johannes skłonił się z uśmiechem.

Zupełnie go ignorując, Randolph chwycił Annę za ramię i poprowadził w ciemność.

- O co tu chodzi?! - zawołała rozgniewana, gdy tylko znaleźli się w powozie.

- Hrabia von Hazloe to niebezpieczny człowiek. Wolałbym uchronić każdego z moich przyjaciół od znajomości z tym osobnikiem - wyjaśnił Randolph, cofając się w głąb powozu i kryjąc twarz w cieniu.

- Mnie się spodobał - stwierdziła Anna. - Poza tym jestem już na tyle dojrzałą osobą, że sama mam prawo decydować, kogo wolno mi lubić, a kogo nie. Hrabia jest oszałamiająco piękny.

- Oszołomiony to może on jest. Powinnaś wiedzieć, że jest on bezpośrednim po księciu następcą tronu Batawii. Jeśli cokolwiek przytrafiłoby się Theodorikowi... Książę wziął go z sobą w tę podróż tylko dlatego, że woli go mieć na oku.

Do Anny zaczęło wreszcie coś docierać. Pochyliła się, by spojrzeć na Randolpha.

- Ach, teraz rozumiem, to wszystko nie ma nic wspólnego ze mną. Ależ wymyśliłaś historyjkę. Po prostu chciałaś czym prędzej stamtąd uciec, a ja posłużyłam ci za pretekst. - Milczał. Nie zniechęcona tym,

mówiła dalej: - Kochasz się w Luizie, prawda? I nie mogłeś już dłużej przyglądać się zalotom księcia! Byłam więc pretekstem, byś mógł stamtąd uciec. - Zdumiona opadła na poduszki.

- Nie bądź niemądra, Anno - westchnął Randolph. - Ona nawet o mnie nie myśli.

- Ależ myśli, naprawdę! - wykrzyknęła bez zastanowienia. - Luiza od dawna cię kocha. Sądzi tylko, że ty wcale o nią nie dbasz.

Randolph zwrócił ku niej twarz. W jego oczach malował się ból.

- W jednej sekundzie uczyniłaś mnie najszcześniejszym i najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem w Londynie - powiedział wolno. - Mam nadzieję, że nikt nigdy nie dowie się o naszej rozmowie.

- Nie, oczywiście - zapewniła go pośpiesznie.

- Chyba rozumiesz, że nigdy, przenigdy nie będę mógł... nie będzie mi wolno starać się o względy Luizy. Moja przyszłość jest mglista, mówiąc łagodnie. Luiza należy do rodu Coldstone'ów, a nikt lepiej ode mnie nie wie, co to znaczy. Od urodzenia ćwiczono ją w obowiązkach wobec rodziny. A oznacza to, że musi poślubić kogoś równego Coldstone'om. Luiza może mierzyć wysoko. Jest córką księcia, przedstawicielką szacownego rodu, którego ja jestem marnym odgałęzieniem. Jest piękna i bogata. A ja... Oboje doskonale znamy moją sytuację. Poza tym ona jest jeszcze taka młoda - dodał przygnębiony. - Nawet jeśli o mnie myśli, to tylko dziewczęca fantazja.

- Luiza nie należy do kobiet, które mają dziewczęce fantazje -

odparła zdecydowanym tonem Anna.

Randolph jednak jej nie słuchał.

- Kiedy wróciłem z wojny, okazało się, że z niezgrabnego kaczątka wykluł się przepiękny łabędź. Od pierwszego wejrzenia wiedziałem... - przerwał. - Ale co to ma za znaczenie?

- Skoro kochasz Luizę, dlaczego przedstawiłeś ją księciu Theodorikowi? - zapytała Anna.

- Ludzie pokroju i pozycji Luizy i Thea nie pobierają się z miłości. Powinnaś o tym wiedzieć. - Westchnął ciężko i skrzyżował ramiona na piersi. - Pomyślałem, że jeśli Luiza musi wyjść za mąż, niech wyjdzie za przyzwoitego człowieka. A nikt odpowiedniejszy nie przychodził mi do głowy. Razem walczyliśmy. Wojna dziesiątkuje słabych i niegodnych. Jestem pewny, że Theo będzie traktował Luizę z szacunkiem, na jaki ona zasługuje. Szacunek to jedyne, co gra jakąś rolę tam, gdzie nie ma miłości. Luiza to urodzona księżna. A to jest najlepsze, co mogę jej zapewnić.

- To szlachetne z twojej strony - powiedziała Anna. - Ale co z jej miłością, co z twoimi uczuciami?

- Uczucia nie grają tu żadnej roli. Dla takich ludzi jak Coldstone'owie słowo „miłość” brzmi wulgarnie. Zdaję sobie z tego sprawę równie dobrze jak Luiza. Wierz mi, to jedyne wyjście.

Pokręciła bez przekonania głową.

- Chciałabym mieć równie dobre mniemanie o tym twoim księciu

jak ty. Lecz księżę czy nie, jego maniery pozostawiają wiele do życzenia.

- Nie znasz go.

- Ani nie pragnę poznać. Mam już dość tych wszystkich arystokratów! Nie dla mnie królowie i księżęta.

4

Najtrudniejszą rzeczą w przestrzeganiu zasad jest to, że trzeba pozostać im wiernym. Nie potrafię pisać, więc ta droga jest przede mną zamknięta, nie umiem uczyć, toteż kariera nauczycielki nie wchodzi w rachubę. Nie jestem intelektualistką, więc filozofowanie salonowe mnie nie bawi. Zresztą i tak nikt nawet nie wie, o czym inni mówią. Udają tylko zainteresowanie.

Tydzień później Anna Ingersoll i Luiza Coldstone znów siedziały w pokoju dziennym londyńskiej rezydencji Coldstone'ów. By wspomóc towarzystwo charytatywne, założone przez księżnę Coldstone, dziewczęta dziergały na szydełkach ubranka dla sierot. Choć żadna z nich nie mogła zaliczyć się do mistrzyń szydełkowania, bo dziedzinę tę pominięto w programie nauczania opracowanym przez pannę Ridgely, księżna wiedziała, że może polegać na dobrej woli pańienek i prostych umiejętnościach.

- Uważam, że prowadzimy próżniacze życie - kontynuowała Anna.

- To wspaniała rzecz mieć feministyczne zasady, lecz całkiem inną sprawą jest wprowadzać je w życie. Oczywiście, dobre uczynki są niesłychanie ważne, ale przestałyby być potrzebne, gdyby kobiety miały więcej praw i wolności. Tymczasem żyjemy pod kuratelą rodziców, a kiedy wychodzimy za mąż, automatycznie przechodzimy pod opiekę męża. Gdybyśmy chociaż były biedne, mogłybyśmy pracować jako guwernantki albo wychowawczynie. Niestety, w naszej sytuacji jesteśmy na zawsze skazane na prowadzenie pustego, nikomu niepotrzebnego życia.

- Tak uważasz? - spytała Luiza. Liczyła właśnie wydziergane rządki, pochylając nad nimi jasną główkę. Choć bardzo kochała przyjaciółkę, czasem zdarzało jej się odpywać daleko myślami. Rozważania Anny często przybierały zbyt emocjonalną barwę.

Anna wyczuła to i roześmiała się wesoło.

- Ależ się rozgadałam! Pamiętasz, Luizo, jak kiedyś planowałyśmy, że uciekniemy do Walii i zamieszkamy w małym domku, gdzie będziemy żyć otoczone kotami i książkami?

- Och, byłyśmy wtedy młode i głupie - odparła Luiza. - Przynajmniej ja. - Miała cienie pod oczami, które odcinały się na tle jasnej, alabastrowej cery.

Annie serce ścisnęło się na widok tych udęczonych oczu, z których teraz potoczyły się dwie łzy.

- Och, jakaż jestem głupia! - wykrzyknęła Luiza, rzucając robótkę

w ką. - Powinnam być najszcześniejszą panną w całym Londynie. - Wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju, tracąc na chwilę spokój i opanowanie. - Przecież każda wysoko urodzona panna, nie wspominając mężatek, oddałaby wszystko, by być adorowana przez księcia.

Anna wstała i objęła czule przyjaciółkę.

- Co cię dręczy? - zapytała, choć znała odpowiedź.

Luiza oparła złotowłosą główkę na ramieniu przyjaciółki.

- Och, wszystko jest w jak najlepszym porządku - odparła drżącym głosem. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się swym zwykłym, nieco chłodnym uśmiechem. - To wszystko tylko trochę mnie przygniata. Wydaje mi się, że nie będę miała nic do powiedzenia względem własnej przyszłości.

- Chodzi o księcia, prawda? - W głosie Anny zabrzmiała niechęć.

- Och nie, nie chodzi o księcia Theodorika - zaprzeczyła Luiza. - To niezwykle rozumny mężczyzna, o doskonałych manierach. Przynajmniej na takiego wygląda - dodała niepewnie. - Jeszcze ani razu nie mieliśmy okazji być sami. Zawsze ktoś nam towarzyszy, mama albo jakaś przyzwoitka. On świetnie tańczy. Wczoraj wieczorem, na balu w Almacku, tańczyliśmy razem walca. Ale to wszystko jest takie wymuszone. Oboje wiemy, że powinniśmy się zaręczyć, że tego się od nas oczekuje, a tymczasem nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Mnie on wcale nie wydał się taki wspaniały - wtrąciła Anna. - Tak naprawdę, wygląda na pyszałka.

- W końcu to książę. A mama wciąż mi powtarza, że jestem stworzona do roli księżnej.

- To ona jest stworzona do tej roli. Luizo, jeśli nie chcesz wychodzić za niego za mąż, nie rób tego. Czy panna Ridgely niczego cię nie nauczyła?

- Panna Ridgely nie jest panną Coldstone - odparła Luiza.

Na ten argument Anna nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Wciąż nie mogła zapomnieć rozmowy z pułkownikiem Rodneyem, lecz wierna danemu mu słowu, lojalnie milczała. Jednak choć rozsądek nakazywał milczeć, wrażliwość i kobieca intuicja mówiły co innego. Choć nie miała natury romantycznej, uważała za wielką niesprawiedliwość i głupotę, że Luiza i Randolph nie mogą być razem. Może gdyby Luiza dowiedziała się, że Randolph odwzajemnia jej uczucie, to... Ale w świecie Coldstone'ów nie istniało słowo „gdyby”. Świadomość, że Randolph ją kocha, jeszcze trudniejszym czyniłaby wypełnienie obowiązku wobec rodziny. Anna poczuła, że wbrew logice i rozsądkowi jej niechęć do księcia Theodorika rośnie. Gdyby tu nie przyjeżdżał, wszystko pozostałoby jak dawniej.

- Och, spójrz, Anno! - zawołała naraz Luiza, wskazując na okno.

Przed dom Coldstone'ów zajechał powóz księcia Batawii.

- Czy to już czwarta? - zapytała Luiza, spoglądając na zegar na kominku. - Nie, dopiero druga i mama jeszcze nie wróciła. Co mu strzeliło do głowy, by przychodzić o tej porze i to w dodatku bez

uprzedzenia? Anno, musisz ze mną zostać, nie mogę przyjąć go sama.

- Za to ja chętnie spotkałabym się z nim w cztery oczy - mruknęła Anna, zaś głośno powiedziała: - Tak, oczywiście, moja droga.

Wysiadłszy z powozu, książę Theo niespokojnie spojrzał w górę na wyniosłą fasadę Coldstone House. Zapowiedział się z wizytą na czwartą, przyjechał jednak wcześniej, licząc na to, że uda mu się spędzić z Luizą choć chwilę sam na sam, bez paralizującego towarzystwa osób trzecich. Przez cały tydzień pilnie dopełniał wszelkich formalności związanych z oficjalnym staraniem się o rękę panny. Spotykali się z Luizą w miejscach publicznych, pod bacznym wzrokiem rodziców i ciekawskich obserwatorów. Spożyli wspólnie obiad u lady Jersey, obserwowali lot balonu w towarzystwie księżnej Coldstone i księżniczki Lieven, byli w teatrze wraz z ciotką Luizy, lady Dempster, i wujem, generałem Hardcastle, grali w wista u księżnej Avon, tańczyli też walca w Almacku. Jak dotąd książę utwierdzał się w przekonaniu, że poza niezwykłą urodą, nic niezwykłego w Luizie nie ma. Jeśli miała jakąś osobowość, to skrzętnie ukrywała ją za fasadą nieskazitelných manier. Postanowił więc dołożyć starań, by czegoś więcej się o niej dowiedzieć. Oboje zdawali sobie sprawę, iż znaleźli się w centrum zainteresowania całej londyńskiej socjety i trudno im było poruszać tematy, które wychodziły poza zwykłą towarzyską rozmowę. Nie udało mu się nawet dowiedzieć, co ona lubi, a czego nie. Zresztą ze swej strony panna nie przejawiała najmniejszego zainteresowania jego osobą.



Kiedy więc udało mu się dzisiejszego popołudnia wymknąć wcześniej ze straszliwie nudnego spotkania, kazał stangretowi zawieźć się na Upper Mount Street z nadzieją, że będzie mógł zamienić z Luizą parę słów na osobności. Wydawało mu się bezwzględnie konieczne, by choć trochę lepiej się poznali, skoro wszyscy pchali ich do tego małżeństwa. Nawet w najskrytszych marzeniach nie liczył na to, że połączy go z Luizą wielka namiętność. Pragnął jednak, by łączyło ich chociaż zrozumienie, a może nawet przyjaźń, która raz zadzierzgnięta, może rozwinie się w coś głębszego.

Tak rozmyślając wstąpił na schodki prowadzące do drzwi i zastukał energicznie kołatką. Miał nadzieję, że prezentuje się jak na dżentelmena przystało. Ubrany był w doskonale skrojony surdut barwy orzechowej, spodnie w beżowym kolorze i elegancką kamizelkę w srebrzyste pasy. Stroju dopełniał fular, zawiązany w wymyślny węzeł. Nigdy nie przywiązywał wagi do strojów, więc cierpiał teraz katusze.

Drzwi otworzył lokaj, który pod maską oficjalnego chłodu skrywał romantyczne usposobienie.

- Sądzę, że jaśnie pan zastanie lady Luizę w pokoju dziennym - poinformował Thea z figlarnym błyskiem w oku, prowadząc go po szerokich schodach. - Jego książęca mość jest o tej porze w klubie, zaś jej książęca mość pojechała z wizytą do siostry.

Lady Luiza wyglądała prześlicznie w jasnobłękitnej sukni, podkreślającej kolor jej oczu. Kiedy lokaj zaanonsował księcia,

dziewczyna pośpiesznie wstała i wdzięcznie dygnęła.

Lokaj zamknął za księciem drzwi i czym prędzej pobiegł na dół, by obwieścić kamerdynerowi, że jak zna życie, to księżę na pewno się dziś zdeklaruje.

Księżę uśmiechnął się i głęboko skłonił, po czym wręczył Luizie pęk rozkwitłych, białych róż. Nareszcie, pomyślał i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że nie są sami. Wszystkie jego nadzieje przysły, kiedy zobaczył pannę Ingersoll, siedzącą przy stole na środku pokoju.

- Wasza Wysokość - powiedziała z kpiącym uśmiechem na twarzy.

- Wasza Wysokość zna pannę Ingersoll - odezwała się Luiza, wskazując ruchem ręki krzesło. - Jak Wasza Wysokość widzi, jesteśmy zajęte szydełkowaniem ubranek dla sierot. To dla jednej z organizacji charytatywnych założonych przez mamę.

- Szydełkujemy bez końca - westchnęła melancholijnie Anna, unosząc bezkształtną wełnianą masę.

Theo miał ochotę powiedzieć, że nie chciałby być w skórze biednej sieroty, zmuszonej przywdziać coś tak szkaradnego, lecz tylko uśmiechnął się żartobliwie.

- Godne podziwu zajęcie.

Zdać się mogło, że Anna odczytała jego myśli, bo odpowiedziała tym samym błyskiem w oku i złośliwym uśmiechem, dając mu tym do zrozumienia, że nie ma o nim pochlebnej opinii.

Lady Luiza usiadła i zajęła się swoją robótką. Zapadła długa, niezręczna cisza, podczas której książe kilkakrotnie rzucił Annie wymowne spojrzenie, na co zdawała się nie reagować.

- A więc, co sprowadza Waszą Wysokość na Grosvenor Square? - zapytała w końcu Anna.

- Konferencja, która skończyła się wcześniej niż przewidywano. Ponieważ miałem wolną chwilę, postanowiłem przyjechać i zaproponować pannie Luizie przejażdżkę po parku, gdyby nie miała innych planów.

- Dziękuję bardzo, ale może innym razem - odparła Luiza. - Jak Wasza Wysokość widzi, mam dzisiaj gościa.

- Poza tym wszyscy wiedzą, że odpowiednią porą na przejażdżki po parku jest godzina piąta - wtrąciła Anna, odcinając nożyczkami kawałek wełny. - Właśnie o tej porze jeżdżę moim faetonem.

- Swoim faetonem? - powtórzył Theo, zapominając o wyniosłej obojętności.

- Oczywiście. Mam faeton i parę doskonale dobranych siwków - wyjaśniła Anna.

- To bardzo wytworny powozik, z wysokim kozłem - dodała Luiza, całą uwagę koncentrując na wyjątkowo trudnym ściegu.

Theo uniósł brew. Odchylił się na oparcie krzesła i przyjrzał Annie spod półprzymkniętych powiek. Na jego wargach igrał groźny uśmieszek.

- Doprawdy? Czyż faeton z wysokim kozłem jest odpowiednim pojazdem dla młodej damy?

Anna szeroko otworzyła oczy nie posiadając się z radości, że tak świetnie zadziałał jej fortel.

- Och, wszyscy mi to mówią, dopóki nie zobaczą moich koni. Są wspaniałe, sama je wybrałam.

- Sama pani wybrała? - powtórzył ksiązę z niedowierzaniem. - To doprawdy niefortunne, że nie ma pani pod ręką mężczyzny, któremu mogłaby zaufać w wyborze koni.

- Och, ojciec twierdzi, że mam do koni lepsze oko niż on - odparła Anna.

- Kobiety nie potrafią utrzymać nawet lejców - wycedził ksiązę przez zaciśnięte zęby. - Czy pani powozi, panno Luizo? - zapytał.

- Na wsi mam swój własny mały kabriolet - odpowiedziała Luiza. - Nie lubię powozić w mieście. Zazwyczaj jest taki duży ruch.

- Ach tak... A czy jeździ pani konno?

- W mieście nigdy. Tak właściwie to nie przepadam za końmi.

- A co pani lubi? - zapytał nieco rozczarowany, bo sam lubił konie.

Spojrzała na niego nieco zaskoczona.

- Pracę w ogrodzie - odparła po chwili namysłu. Dotychczas nikt nigdy nie pytał jej o to. Zawsze robiła to, co jej polecono.

- W moim kraju jest wiele pięknych ogrodów. Moja matka kochała róże - pospieszył jej z pomocą ksiązę.

- Och, doprawdy? A jakie lubiła odmiany? - zapytała z nagłym zainteresowaniem Luiza.

Niestety, na ten temat książkę miał niewiele do powiedzenia.

- Hmm... różowe, czerwone i... białe. Bardzo lubiła białe róże. Myślę, że ogród należy do tych niewielu dziedzin, w których kobiety przewyższają mężczyzn.

Z ust Anny dobył się dziwny dźwięk. Poczowała, jak Luiza kopie ją w kostkę pod stołem i z trudem przełknęła ślinę.

- To interesujący punkt widzenia - powiedziała pośpiesznie Luiza. - Jeśli się nie mylę, głównym produktem eksportowym Batawii jest szampan?

- O tak. Znani jesteśmy w świecie z jakości naszych winiarskich wyrobów. Czy lubi pani szampana?

- Niestety, kicham po nim - odparła szczerze.

- W Batawii jest wymarzony klimat do uprawy winorośli - wtrąciła Anna. - Nachylenie wzgórz i ilość opadów są wręcz doskonałe, szczególnie dla sherry.

Theo wlepił w nią okrągłe ze zdumienia oczy. Cała jego postawa wyrażała podziw. Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież nie znosi tej aroganckiej pannicy, i usta na powrót wykrzywił złośliwy uśmiezek.

- Zdać by się mogło, że zna się pani na szampanie. Ja jednak uważam, że mężczyźni są lepszymi znawcami win. Kobiety zazwyczaj lubią wszystko co słodkie.

- Jednakże ta bezradna kobieta wie prawie wszystko, na temat wina. Można powiedzieć, że wyssałam je z mlekiem matki - odparła uprzejmie Anna. - Zresztą równie dobrze znam się na koniach - dodała. Pod jej pozornym spokojem płonął wulkan wściekłości. Zdawała sobie doskonale sprawę, że księżę robi wszystko, by zostawiła go sam na sam z Luizą. W końcu jednak zrozumiał, że nie ruszy się z miejsca.

Jak ona śmie? - pomyślał. Jeszcze nikt nigdy nie kwestionował jego woli. Przecież jest księciem.

Zapadła pełna napięcia cisza. Słyszeć było tylko tykanie zegara i trzask palących się w kominku polan. Theo spojrzął za okno i zapragnął nagle znaleźć się w Batawii. Anna zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Luiza zaś całą uwagę skupiła na robótce.

- Piękna pogoda jak na tę porę roku - odezwał się księżę, próbując nowej taktyki. - Nieprawdaż, panno Luizo?

- Tak, mamy szczęście. Na ogół o tej porze jest już dosyć chłodno.

- Dlatego właśnie Anglia nie należy do krajów, w których można uprawiać winorośl. Brakuje jej łagodnego klimatu, słońca i ciepła, które są niezbędne przy uprawie - powiedziała Anna.

- Mówi pani jak profesjonalny winiarz, panno Ingersoll. Dużo pani wie na ten temat.

- A pan powinien być teraz w Tattersall, skoro zna się pan na koniach - odparowała z jadowitym uśmiechem.

- Ja przynajmniej wypowiadam się na tematy, na których się znam

- odpowiedział nerwowo Theo.

- A więc uważa się pan za znawcę koni? - zapytała Anna, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek.

Już od dawna nikt nie ośmielił się kwestionować zdania księcia i to w sposób tak bezpośredni. Publicznie zraniono jego książęcą dumę.

- A pani, co pani wie o koniach? - zapytał, pochylając się do przodu.

- Na tyle dużo, by zauważyć, że jeden z koni z pańskiego zaprzęgu ochwacił się - odparła lodowatym tonem.

- Czyżby, młoda damo? Pozwoli pani, że sprostuję te... kobiece fantazje. Sam wybieram konie, odkąd nauczyłem się jeździć i nikt nie ośmielił się kwestionować mojego wyboru.

- Naprawdę, uważam... - zaczęła Luiza, przerażona takim obrotem spraw.

- Zwyczajna kobyła - przerwała jej Anna. Dlaczego ten książę tak ją denerwuje? - Powinien pan zobaczyć moje konie.

- W rzeczy samej - rzucił Theo. - A więc jeździ pani o piątej? W takim razie spotkajmy się w parku i przekonajmy, czyje konie są lepsze.

- Jak sobie Wasza Wysokość życzy - odrzekła chłodno Anna. - Powiedzmy któregoś popołudnia o piątej trzydzieści przy Bramie Zachodniej?

- Doskonale.

Luiza patrzyła na swych gości przerażona.

- Anno, uważam, że nie jest to najlepszy pomysł - ostrzegła przyjaciółkę.

- Bzdura! Co może być złego w zwykłej rywalizacji? Pamiętaj, Luizo, że mnie nie obowiązują te same ograniczenia co ciebie. Mnie nie grozi nic, ponieważ nie można mnie ukarać, na przykład zakazem wstępu do Almacka - zaśmiała się Anna.

- Anno! - zawołała przerażona nie na żarty Luiza. - Proszę, nie mów tak.

- Pozwolą panie, że je opuszczę - wtrącił Theo. Postanowił wycofać się z tej niezręcznej sytuacji. Zraniono jego osobistą i książęcą dumę. Zapragnął dać ostrą odprawę tej impertynenckiej panie Ingersoll. Jedynie obecność lady Luizy powstrzymała go przed otwartą krytyką. - A więc o piątej trzydzieści w czwartek - syknął przez zaciśnięte zęby i skłoniwszy się pani domu, ruszył do drzwi.

- Zgoda! - krzyknęła za nim Anna. - Wasza Wysokość - dodała po namyśle.

Kiedy drzwi zamknęły się za księciem, Luiza popatrzyła na przyjaciółkę zdumiona.

- Co ci strzeliło do głowy?!

- Pokazuję tylko temu zarozumialcowi, gdzie jest jego miejsce! - rzuciła zuchwale Anna.

- Ależ, na Boga, to książę!

- A niech sobie będzie nawet królem. To nie znaczy, że wolno mu



być takim napuszonym głupcem przekonanym o własnej nieomyślności. Już czas pokazać mu, gdzie naprawdę jest jego miejsce.

- O, mój Boże - jęknęła Luiza.

5

Podczas gdy księcia Thea całkowicie pochłaniały oficjalne bankiety, przyjęcia, konferencje i spotkania, Johannes brał udział we wszystkich dobrodziejstwach londyńskiego sezonu, korzystając z licznych zaproszeń, którymi go wprost zasypywano. Jego wdzięk, cynizm, uroda i nienaganne maniere przysparzały mu wielu przyjaciół. Zresztą Johannesowi nie zależało na niczym więcej niż powierzchownych znajomościach, gdyż głębsze uczucia miał zarezerwowane wyłącznie dla siebie. Dzięki temu unikał kłopotów i spokojnie mógł oddawać się licznym miłostkom i hazardowi, mając pewność, że kiedy opuści Londyn, zostawi za sobą zdradzonych mężów i nie spłacone długi. Jak Theo wcześniej zauważył, Johannesowi obce były wątpliwości i skrupuły, które przystoją tylko plebsowi.

Z natury będąc flegmatykiem, nie działał na szczęście zbyt energicznie i nie sprawił kuzynowi większych problemów. Jedynym jego celem było zapewnienie sobie jak największych przyjemności. Korzystał z każdej okazji, lecz nic poza tym.

Gustował w damach, jak słusznie zauważyła Anna Ingersoll, i lubił,

kiedy panie odwzajemniały jego zainteresowanie. Hrabia nie był wybredny: lubił zarówno kobiety z towarzystwa, jak i ich pokojówki. Najważniejsze było to, by we wzajemnych stosunkach obowiązywała zasada doraźnej przyjemności, bez jakichkolwiek zobowiązań i oczekiwań. Dlatego też jak ognia unikał młodych, niewinnych panien, których rozgniewani ojcowie i bracia mogli narazić go na kłopoty i odebrać przyjemność.

Wysokie pochodzenie dawało Johannesowi nieprzebrane towarzyskie możliwości. Tak jak do wielu kobiecych serc, miał też dostęp do wszystkich klubów i kasyn gry w mieście, poczynawszy od najbardziej wyszukanych, a skończywszy na zwykłych szulerniach. Znany był już u White'a i Watiersa. Z lubością grywał w ruletkę, pokera i zastawiał wszystko, co się dało, najczęściej zaś pożyczął pod zastaw, by móc kontynuować grę. Wierzytiele nie żądali od niego zwrotu należności, wystarczyły im weksle. W końcu był dżentelmenem, a dżentelmen zawsze spłaca długi. Niestety, nie wiedzieli, że gdy tylko zaczną upominać się o zwrot pieniędzy, on będzie już daleko.

Tak go pochłaniało życie towarzyskie i hazard, że zapomniał, co go sprowadziło do Londynu.

- Och, jak ten czas leci - wzdychał pewnego dnia przy śniadaniu, popijając poranną czekoladę. - Doba jest stanowczo zbyt krótka.

Południowe słońce zaglądało do pokoju przez szpary między kotarami. Hrabia nie dbał o to, że jego nocne zwyczaje przeszkadzają w

obowiązkach służby baronowej Hertzwig. Przeciągnął się leniwie i przejrzał stos zaproszeń leżących na tacy. Szykuje się bal kostiumowy u hrabiny Redmond, cóż to będzie za rozkoszne wydarzenie. Trzeba się zastanowić nad jakimś wspaniałym kostiumem na tę okazję.

Muszę wreszcie wymyślić jakiś sposób na pozbycie się Thea, postanowił. Ale jeszcze nie teraz, doszedł do wniosku, patrząc na niedyskretny liścik od lady Redmond. Dotyczył on najnowszych ploteczek z wielkiego świata, włącznie z wieściami o planowanym przez księcia Theodorika i pannę Ingersoll wyścigu powozów dzisiejszego popołudnia w parku, o piątej trzydzieści. Lady Redmond chciała wiedzieć, czy to prawda. Jej lokaj czekał na odpowiedź.

- Co takiego? Chyba ten Theo oszalał - powiedział na głos.

Przetarł oczy i ponownie przeczytał notatkę. Zbeształ się w duchu za to, że tak mało wie o poczynaniach kuzyna. Nagle przyszła mu do głowy doskonała myśl. Redmond poszła w zapomnienie.

- Dlaczegoż wcześniej o tym nie pomyślałem? Jakiż jestem sprytny!

Gdyby Anna znała myśli Johannesesa, z pewnością z wieloma by się zgodziła.

- Wstrętny, nadęty bufon - oznajmiła koniuszemu, kiedy wychodzili z domu przy Berkeley Square w czwartkowe popołudnie. - Powinien się smażyć w piekle!

Józef Potter, który nauczył ją dosiadać kucyka, gdy była małą dziewczynką, a potem brać trudniejsze przeszkody i prowadzić powóz, nawet jej nie słuchał.

- Tylko niech się panienka nie denerwuje - napominał. - Trzeba się skupić na koniach. Dawno nie jeździły.

Wyjechali z wozowni i powolutku ruszyli ulicą. Anna mogła być pewna, że jej mały zaprzęg przedstawia przemiły widok dla oka. Ona sama miała na sobie specjalną na tę okazję suknię w gołęsim kolorze, który podkreślał szarość jej oczu, ozdobioną żółtą wstążką, zaś ciemną główkę przykrywał toczek ze szkarłatnymi piórami, które łaskotały ją w policzek. Stroju dopełniały buciki z czarnej, kozłej skóry i także rękawiczki.

Szykowny faeton był prezentem od ojca z okazji ukończenia pensji. Miał delikatną konstrukcję, wysokie zawieszenie i żółte koła. Siedzenia obite były miękką skórą, a metalowe dodatki lśniły jak gwiazdy. Tylko jakiś męski szowinista mógłby zarzucić Annie, że nie jest to właściwy pojazd dla kobiety, natomiast nie miałby zastrzeżeń do pary siwków.

Szlachetnej krwi koniki szły stępa, posłuszne każdemu ruchowi ręki swej pani. Koniuszy z rękami skrzyżowanymi na piersiach raz po raz kiwał głową zadowolony. Rozpierała go prawdziwa duma, choć ukrywał ją pod pozornie srogą twarzą.

- I niech się panienka pilnuje - powiedział surowym tonem - bo tatuś gotów mi zmyć głowę.

- O niczym się nie dowie - zapewniła go Anna. - Chyba że ty mu powiesz.

- Nie jestem donosicielem - odparł Józef Potter. - Ale o ile wiem, ten książę ma niezły zaprzęg.

- Co ma być, to będzie - stwierdziła, zbyt ostro biorąc zakręt.

Józef z dezaprobatą pokręcił głową.

- Niech panienka zwolni! Lepiej być o dwadzieścia minut dłużej na tym świecie niż o dwadzieścia lat za wcześnie na tamtym!

Anna wzięła się w garść. Spokojnie jechali przez zatłoczony Londyn w kierunku Hyde Parku. Koniuszy z zadowoleniem pokiwał głową, kiedy jak wytrawny woźnica wyminęła z jednej strony wielki, wyładowany po brzegi furgon, a z drugiej szerokie eleganckie lando.

- Niech panienka pamięta, że ma do koni niezłą rękę, ale nie tak dobrą, jak panienka myśli, to wszystko będzie w porządku - poradził. - Dobry woźnica zna swoje braki i dzięki temu nigdy nie wystawia ich na próbę.

- Tak, Józefie - odpowiedziała posłusznie.

Pod bramą w cieniu wiązów czekał na nich książę Theodorik w towarzystwie pułkownika Rodneya.

- Nie mogę uwierzyć, że zgodziłem się na ten zakład - mruknął. - Nie wiem, jak ona to robi, ale za każdym razem, kiedy ją spotykam, udaje jej się wyprowadzić mnie z równowagi. Nie podoba mi się to. Ani trochę.

Pułkownik Rodney roześmiał się.

- Powinienem być cię uprzedzić co do drogiej Anny... panny Ingersoll. W niektórych ludziach wzbudza emocje. Może dlatego, że mówi dokładnie to, co myśli. Stać ją na to, bo jej ojciec jest straszliwie bogaty, a ona sama feministką.

- Tak mi się wydawało, słysząc te nonsensy z jej ust. - Theo pociągnął za lejce, a gniadosze, wrażliwe na każdy jego ruch, parsknęły nerwowo. - To wykluczone, żeby jej zaprzęg mógł okazać się lepszy od mojego. Sam wybierałem konie w Tattersall.

- To piękne konie - zapewnił go pułkownik Rodney. Cała ta sprawa go bawiła. Jak to możliwe, by dwoje tak mu bliskich ludzi mogło aż tak się nie znosić? – Spójrz - powiedział nagle. - Siwki panny Ingersoll.

W tej chwili zza rogu wyłonił się faeton Anny. Księżę przyjrzał się zaprzęgowi z podziwem. W przeciwieństwie do jego właścicielki nie mógł mu nic zarzucić.

- Rzeczywiście wspaniałe - stwierdził.

Anna uśmiechnęła się na powitanie. Postanowiła być dziś uprzejma. Przyjrzała się dwójce koni z miną eksperta.

- Teraz, kiedy mam okazję obejrzeć je z bliska, przypominam sobie, że należały niegdyś do Fortenhamów. Wdowa po sir Fortenhamie wystawiła je na sprzedaż. Muszę przyznać, że nieźle się prezentują - dodała niechętnie. - Dobrze dobrana para, ładnie chodzą. - W zamyśleniu przechyliła główkę, końcem bata dotykając policzka. - Ciekawe, jak się

sprawią przy moich siwkach.

Usłyszała, że Józef chrząknął znacząco.

Anna zamrugała oczami. Theo zapominając, że nie przystoi to księciu, zrobił do niej oko. Po chwili jednak, jak prawdziwi znawcy, poczęli rozprawiać na swój ulubiony temat.

- To konie pełnej krwi - stwierdził raczej, niż spytał księżę, pochylając się na kozła, by lepiej im się przyjrzeć. - Jak się prowadzą?

- Doskonale. To ich pierwsza przejażdżka, ale chodzą bez zarzutu - odparła Anna. - Wiele razy widziałam pańskie gniade i zawsze marzyłam o tym, by móc je kiedyś poprowadzić - przyznała.

- Obawiam się, że mogą być trochę ciężkie do prowadzenia dla kobiety - odparł księżę. Ponieważ jednak był człowiekiem niezwykle uczciwym, natychmiast dodał: - Ale skoro ma pani na tyle sił, by prowadzić swoje siwki, moje gniadosze nie powinny sprawić pani kłopotu.

- Moje wymagają specjalnego uderzenia batem - odparła. - Lekkiej ręki i delikatnego...

- Potrzymaj lejce, Randolph - przerwał księżę, zeskakując z kozła.

- Józefie, poczekaj na mnie tutaj - powiedziała Anna.

Koniuszy zeskoczył na ziemię.

- Niech panienka pamięta, że ani w połowie nie jest tak dobra, jak myśli - szepnął. - I proszę mocno trzymać lejce.

Theo wskoczył na miejsce zwolnione przez Józefa. Anna oddała

mu lejce.

- Proszę trochę popuścić lejce - powiedziała. - Och! - krzyknęła, przytrzymując ręką toczek, gdy konie ruszyły galopem i zniknęły za zakrętem.

- Przecież sama pani mówiła, żeby popuścić lejce - rozległ się głos księcia.

- Przejadę się powozem księcia, Józefie - oznajmił Randolph.

- Czy mam panu towarzyszyć?

- Nie, panna Ingersoll może cię potrzebować, zanim wrócę. Zrobię tylko jedną rundę i wracam - odparł Rodney niecierpliwie. Strzelił lejcami i ruszył.

Robiło się coraz chłodniej. Nad dachami londyńskich kamienic zaczęły się kłębić deszczowe chmury, a ostry wiatr począł rozwiewać liście w parkowych alejkach. Pułkownik skręcił w wąską drogę, szukając samotności. Puścił konie wolno i zamyślił się. Po kilku minutach wjechał w główną aleję. Spojrzał w niebo. Zanosiło się na typową angielską mżawkę. Pogoda szła w parze z jego ponurym nastrojem. Humor mogłoby poprawić mu jedynie spotkanie z Luizą. Przed oczami stanęła mu jej urocza twarzyczka, otoczona kapeluszem ozdobionym bladoporóżowymi wstążkami.

- Randolph - powiedziałaaby spoglądając na niego błękitnymi jak lazur oczami. - Nie sądziłam, że cię tu spotkam.

- Witaj, Luizo - odparłby, starając się, by głos nie zdradził jego



uczuc. - Wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza?

- Nie. Przyszłam błagać cię, byś położył kres tej nieznośnej grze! Już nie mam sił udawać! Kocham cię, Randolphie, i nie dbam o to, co powie na to świat.

- Może przedyskutujemy to podczas przejażdżki. - zaproponowałaby.

- Chyba nie powinnam. Mama... - szepnęłaby z wahaniem Luiza.

- Chodź, Kopciuszk. Zaczarowana karoca czeka - powiedziała by unosząc ją do powozu. - Zabiorę cię stąd. Będziemy żyli w małej chatce, żywiąc się miłością.

Uśmiechnęłaby się tym swoim nieśmiałym uśmiechem...

- Pułkowniku! Niech pan zwolni! *Au succors!*

Rodney poczuł na twarzy pierwszy podmuch wiatru zwiastującego nadchodzącą zimę i spojrzał w szare niebo. Wówczas zobaczył znajomą postać nadchodzącą z przeciwka. Poczuł się tak, jakby ktoś wyrwał go z cudownego snu.

- Johannes! - wykrzyknął zaskoczony, po czym dodał z kpiną w głosie: - Wyszliśmy na spacerek?

Hrabia powachlował się chusteczką i stanął przed powozem.

- Och, drogi pułkowniku, cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności. Jestem wykończony. Ten angielski zwyczaj spacerowania *pour le sport* to nieludzka rzecz. Zabierz mnie stąd. Jestem wykończony. Bolać mnie stopy i nie mogę złapać tchu.

Widok zawsze nieskazitelnie wyglądającego hrabiego von Hazloe teraz zlanego potem i z trudem łapiącego oddech tak rozbawił pułkownika, że nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Dobrze, już dobrze, wskakuj.

- Och, będę ci dogonnie wdzięczny - wyjąkał Johannes, wdrapując się na kozioł. - Mojemu kuzynowi nieskoro zrobić mi tę małą przysługę i wynająć powóz do mojej własnej dyspozycji.

- Twój kuzyn doskonale sobie zdaje sprawę z tego, że ogołociłbyś do cna skarbiec państwowy, gdyby przystał na twoje kaprysy - odrzekł Randolph.

- Może i jestem kosztowny, ale też jestem tego wart - odparł najspokojniej w świecie Johannes. Koniuszkami palców dotknął kapelusza, składając głęboki ukłon damom w powoziku. Skinęły w odpowiedzi głowami. - Poza tym to zupełnie *comme il faut* być widzianym w parku o tej porze, a ja zawsze przestrzegam zasad.

- O tak - przyznał obojętnie Randolph.

- Ale, ale, przecież prowadzisz powóz mojego kuzyna. Jak to się stało?

- Księżę jeździ z panną Ingersoll.

Zrobiło się tłoczno i pułkownik musiał skupić się na prowadzeniu. Zdać by się mogło, że cały londyński świat wybrał się na przejażdżkę. Sezon towarzyski zbliżał się ku końcowi i korzystano z ostatnich chwil przed udaniem się na wieś na okres zimowy. Rozmawiając, Johannes

rozdawał ukłony na lewo i prawo, unosił kapelusz, uśmiechał się i płał w chwale. Najbardziej jednak cieszył go fakt, że jego kuzyn jeździ z damą.

- Z panną Ingersoll? - powtórzył unosząc lekko brwi. - Sądziłem, że będzie jeździł z piękną panną Luizą.

- Nie - odparł pułkownik. Nie podobało mu się, że hrabia wymawia jej imię.

- Ach, więc jeździ z tą czarującą panną Ingersoll? Nie podejrzewałbym księcia o to, że gustuje w takich kobietach. Oto wspaniała księżniczka Lieven. Dzień dobry. Szkoda, że ma taką karnację - dodał zniżając głos. - Przypomina poźółkły ze starości muślin.

- Nie wiem, prawie nie znam tej kobiety - odpowiedział Randolph.  
- Jaką ty grę prowadzisz, Johannesie?

Na twarzy hrabiego malował się tak niewinny wyraz, że pułkownik od razu się domyślił, że ten coś knuje.

Galopem przez park?! - wykrzyknęła z udanym przerażeniem Anna. Oboje wiedzieli, że cała śmietanka towarzyska wybrała się tego popołudnia do parku na przejażdżkę. - A co powiedzą na to ludzie?

- Jestem władcą Batawii - odparł Theo. - Co mnie może obchodzić zdanie ludzi?

- Jeśli jednak pragnie pan uchodzić za człowieka światowego, lepiej nie galopować. Można jechać stępą albo kłusem, ale nigdy

galopować. To nie jest w dobrym tonie.

- Ach tak! - roześmiał się książę. - W takim razie muszę galopować.

Pognali wąskimi alejkami parku. Kiedy zbliżyli się do jednej z kamiennych arkad, Anna wstrzymała oddech, lecz książę z powodzeniem minął łuk bramy. Zaledwie kilka cali dzieliło powóz od krawędzi.

- Nadzwyczajne! - wykrzyknęła Anna ze szczerym podziwem.

Droga wiła się wśród gęstwiny drzew. Książę prowadził faeton pewną ręką, gładko mijając wszelkie przeszkody i biorąc ostre zakręty. Czasami Anna myślała, że wezmą zakręt na dwóch kołach. Książę uśmiechał się, bardziej do siebie niż do swej towarzyszki, szczęśliwy, że choć na krótką chwilę może zapomnieć o obowiązkach i ciężarach związanych ze swoją pozycją.

W końcu zwolnił bieg koni, zapewne uznając, że udowodnił Annie swoje talenty. Jechali teraz wąską, zwirowaną ścieżką wysadzaną platanami o gęstym złocistym listowiu i niskim żywopłotem. Byli całkiem sami. Słysząc było jedynie rytmiczne uderzenia kopyt końskich o żwir.

- Niezły zaprzęg - odezwał się książę. - Konie nieco nadwrażliwe, ale nie pogardziłbym taką parą.

- Będę o tym pamiętała - odparła Anna. - Myślałam już o parze karych...

Cichy świst, niby ostrze noża, przeciął powietrze. Anna kątem oka dostrzegła, jak coś przemknęło tuż obok jej policzka. Jęknęła, kiedy Theo przycisnął ją do siedzenia.

- Nie ruszaj się! - krzyknął, osłaniając ją swoim ciałem.

Konie poczuły wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo, zarżały przestraszone i ruszyły galopem. Theo zaklął pod nosem w ojczystym języku, usiłując je poskromić.

- Co to, na Boga... - wyjąkała zaskoczona Anna.

- Nie ruszaj się! - powtórzył Theo, prostując się. Mocno ściągnął lejce, lecz konie nadal pędziły na oślep jak oszalałe. Faeton niebezpiecznie przechylał się to na jedną, to na drugą stronę.

Jeszcze dwie minuty mocował się z końmi, nim zdołał je uspokoić. Annie wydawało się, że trwa to całe godziny. Wreszcie siwki zwolniły, zmęczone szalonym pędem.

- Czy wszystko w porządku? Proszę przytrzymać lejce - polecił książę, zeskoczył na ziemię i podbiegł do koni. Zaczął do nich łagodnie przemawiać. Jeszcze przez chwilę się szarpały i Anna ściągnęła lejce. Theo doskonale dawał sobie radę z końmi. Uspokoily się, czego nie można było powiedzieć o niej. Wciąż drżała, kiedy książę podszedł do niej i pomógł zeskoczyć z kozła.

- Co to było? - zapytała, wygładzając fałdy sukni. - Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby wpadły w taką panikę.

Theo chwycił jedną z klaczy za uzdę i poprowadził powóz z

powrotem na ścieżkę, rozglądając się na boki.

- To była kula. Z pistoletu. Nie słyszałem tego dźwięku od lat. Ale kiedy raz się go pozna, nie można go zapomnieć.

Prawie musiała biec, by za nim nadążyć. Chwyła brzegi sukni i rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś zaraz wyskoczy zza krzaków.

- A więc ktoś do nas strzelał? - zapytała z niedowierzaniem. - W samym środku Londynu? W Hyde Parku?

Theo kiwnął głową.

- Proszę przytrzymać konie - nakazał.

Szybkim krokiem podszedł do krzaków po drugiej stronie alei, rozsunał gałęzie i zniknął w gęstwinie.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Anna, trzymając konie za uzdę. - Strzelanie z pistoletu w miejscach publicznych jest zabronione. Strażnikom by się to nie podobało. - Jako mieszczuch z krwi i kości nie mogła pojąć, że coś takiego zdarzyło się w Londynie.

- Ulicznicy, kieszonkowcy, tak... ale, żeby ktoś strzelał z pistoletu?

- Oto dowód - rzekł Theo, pokazując jej czarną kulkę. - To kula z pistoletu - wyjaśnił. - Tkwiła w tamtym drzewie. Ktoś do nas strzelał.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Anna. - Powinniśmy donieść o tym strażom. Ktoś mógłby zostać zraniony.

- Już dawno uciekli. Nigdy ich nie znajdziemy - odparł Theo rozglądając się wokół. - To, że konie poniosły, dało tym bandziorom czas na ucieczkę. Już nie zdołamy ich złapać.

- Ale kto mógł do nas strzelać? Czy to jakiś rabuś? Ale dlaczego w parku? O Boże, chyba nie sądzi Wasza Wysokość, że ktoś do niego strzelał?

- Wielu ludzi strzelało do mnie w czasie wojny - powiedział Theo, obracając kulę w palcach. - Wyznaczono nawet nagrodę za moją głowę. - Znow zniknął za krzakami. - Ktoś ukrył się wśród tych krzewów! - zawołał. - Wyraźnie widać odcisnięte w trawie ślady stóp. Zdaje się, że ktoś czatował tu na nas.

- Ale dlaczego? - spytała z niedowierzaniem Anna. Czuła, że wraca jej jasność myślenia. - Po co w ogóle ktoś miałby na nas czatować? Gdyby chcieli nas obrabować, wystarczyłoby to zrobić. Czy naprawdę wierzy księżę, że ktoś chciał pana zabić? Dlaczego?

- Bez powodu, z wielu powodów - z roztargnieniem odparł Theo. Znow zerknął na krzaki, po czym odwrócił się. - Możliwe, że kiedy ktoś był ścigany przez wiele lat, już zawsze będzie się czuł ścigany. Może jakieś dziecko strzeliło z pistoletu ojca. Albo był to jakiś rzezimieszek. Albo coś poważniejszego. Niestety, ktokolwiek to był, uciekł, więc nie ma to już znaczenia. - Spojrzał na Annę. - Nic się pani nie stało?

- Wciąż jestem nieco oszołomiona, ale co z pańską twarzą?

Theo dotknął policzka i spojrzał na rękę.

- Krew - powiedział bezbarwnym tonem.

- Na to wygląda. - Wyjęła z kieszonki sukni chusteczkę i przyłożyła mu do policzka. - Miał pan szczęście. - Sięgnęła do torebki i

podąa mu małe lusterko. - Wygląda jak zadrapanie, ale kilka cali dalej i...

- Kula musnęła policzek... Au! - Skrzywił się. - Ostrożnie, panno Ingersoll.

- Przepraszam. Nie chciałam pana urazić. Powinien pan nałożyć na policzek opatrunek z bazylii. Przystało krwawić. Ale, na miły Bóg, mógłby pan zginąć.

- O to właśnie chodziło - przyznał niechętnie. - Panno Ingersoll, muszę panią prosić o zachowanie milczenia. Mam pewne powody, dla których wolałbym zachować to w tajemnicy.

Już chyba na zawsze zostanę strażniczką cudzych sekretów, pomyślała.

- Och, to tylko niegroźne zadraśnięcie. Może Księżę bez wzbudzania podejrzeń powiedzieć, że zaczepił o gałąź drzewa w czasie jazdy.

- Dziękuję. Żywię nadzieję, że przejażdżki z panią nie zawsze dostarczają aż tylu wrażeń - odparł sucho.

- Jednak gdyby to do mnie ktoś strzelał, z pewnością ogłosiłabym to całemu światu. Zmniejsza to prawdopodobieństwo kolejnej próby morderstwa, kiedy potencjalny zabójca wie, że jego ofiara jest na atak przygotowana - zauważyła.

- Jest pani nadzwyczajną kobietą - stwierdził z podziwem. - Większość dam albo wpadałaby w histerię, albo zemdlałaby na samą myśl



o krwi.

- Mój ojciec twierdzi, że moją największą wadą jest brak kobiecej wrażliwości - westchnęła nieco zmartwiona. Jeszcze raz dotknęła chusteczką policzka księcia. - Nie wiem, jak to się dzieje, ale przestałam się trząść.

- Dzielna dziewczyna - powiedział książę. - Proszę pozwolić, że pomogę pani z powrotem wsiąść na kozioł. Sądzę, że winniśmy już wracać.

- Książę, jeśli rzeczywiście ktoś do pana strzelał, uważam, iż rozsądnie by było kogoś o tym poinformować. Jesteśmy w Anglii, kraju prawa...

- W Batawii też obowiązuje prawo. Wszędzie jednak znajdują się tacy, którzy będą je łamać. To nie jest zabawa dla kobiety. Błagam panią, niech się pani trzyma od tego z daleka. Nie chciałbym, by dama była w tę sprawę zamieszana.

- Ta kula równie dobrze mogła trafić mnie, Wasza Wysokość. Teraz rozumiem, dlaczego ktoś mógłby chcieć Waszą Wysokość zamordować. Jest Książę okropny. - Popatrzyła przed siebie i mocniej chwyciła lejce. - I proszę przypomnieć mi, bym więcej z panem nie jeździła! Nazbyt cenię sobie życie, by je wystawiać na niebezpieczeństwo.

- Jak sobie pani życzy - odparł chmurnie.

Resztę drogi odbyli w całkowitym milczeniu.

Kiedy dojechali na umówione miejsce, księżę z niechęcią zauważył Johanna, rozpartego wygodnie w powozie i wielce z siebie zadowolonego.

Johannes wystrojony był w kamizelkę w kolorze butelkowym, płowe bryczesy i wysoki bobrowy cylinder. Hrabia prezentował się tak szykownie, że nawet pułkownik nie mógł powstrzymać się od ironicznego uśmiechu.

- Spójrz, kogo spotkałem w parku - przywitał Thea. - Błagał, bym go zabrał.

- Ach, oto mój kuzyn w towarzystwie panny Ingersoll! - zawołał Johannes dźwięcznym głosem. - Cóżżeś przeszkrobał, kuzynie? Panna Ingersoll wygląda tak, jakby musiała się bronić.

Księżę mimowolnie dotknął dłonią policzka.

- Otarłem się o gałąź drzewa - wycedził. - Wiesz, jak powożą kobiety. Panna Ingersoll powoziła i konie poniosły.

Anna rzuciła mu nienawistne spojrzenie, w porę jednak przypomniała sobie, że przyrzekła dochować tajemnicy. Zagryzła więc tylko wargę, nie mówiąc ani słowa.

- Czułbym się zaszczycony, mogąc towarzyszyć panie Ingersoll w przejażdżce - odezwał się Johannes przymilnie, przykładając do oka monokl, by dokładniej przyjrzeć się Annie. - Cóż za wspaniały zaprzęg!

- Co cię sprowadza do parku, Johannesie? - zapytał Theo. - Zdawało mi się, że nie znosisz świeżego powietrza?

- Och, poczułem dziś nieodpartą chęć na spacer - odparł beztrąsko Johannes. - Poza tym pragnąłem pochwalić się swoją nową kamizelką. Śliczna, nieprawdaż?

Theo spojrział na nią obojętnym wzrokiem.

- Gdzie spotkałeś mojego kuzyna? - zwrócił się do Randolpha.

- W pobliżu Rose Walk, tuż przy Rotten Row. Rzucał zalotne spojrzenia wszystkim paniom.

- My jeździliśmy po drugiej stronie głównej alei. - Theo znacząco zawiesił głos. - Gdybyśmy chcieli, bez trudu mogliśmy trafić w ciebie kamieniem.

Johannes uniósł brew.

- A po cóż mielibyście to robić, drogi kuzynie? - zapytał obojętnie. Nawet jeśli zrozumiał aluzję Thea, nie okazał tego.

Anna rzuciła księciu pytające spojrzenie. Theo zmarszczył czoło.

- Przykro mi przerywać tę rozmowę, ale dziś wieczorem jem obiad w ambasadzie rosyjskiej. Czy wolno mi będzie odzyskać mój powóz? Panno Ingersoll, dziękuję za interesującą przejażdżkę.

- Proszę o mnie nie zapomnieć, panno Ingersoll - wtrącił pośpiesznie Johannes. - Jadę w tę samą stronę, co pani.

- Ależ pan nawet nie wie, w którą stronę zamierzam się udać - stwierdziła.

- To nie ma znaczenia. Wszystko jest lepsze od spaceru. Nie rozumiem, co Anglicy w tym widzą - westchnął. - Do widzenia,

pułkownika Rodney.

- Lepiej będzie, jeśli pojedziesz ze mną, kuzynie - zaproponował Theo.

W jednej chwili Johannes z czarującego zalotnika zmienił się w rozkapryszone, rozzłoszczone dziecko. Trwało to sekundę, lecz wystarczyło Annie, by zrozumieć, jakie uczucie żywił hrabia w stosunku do kuzyna.

- Ależ, drogi Theodoriku, wszystko inne może poczekać - odparł miękko, odzyskawszy równowagę i uśmiechnął się przymilnie do Anny.

- Nie mogę rozczarować damy. Poza tym bardzo chciałbym zobaczyć pannę Ingersoll w roli woźnicy. - Z tymi słowy wyskoczył z powozu księcia i przesiadł się do faetonu Anny.

- Z przyjemnością podwoję pana, gdzie tylko pan zechce - powiedziała Anna czując, że nie ma wyboru. Józef zajął miejsce z tyłu za nią.

- Nie pozwólmy koniom czekać - rzekł hrabia.

Wymieniono słowa pożegnania i Anna ruszyła w stronę ulicy.

Johannes poprawił kapelusz.

- Oto lady Jersey - oznajmił, kiedy mijali mały powozik.

Siedząca w nim dama pomachała im i uśmiechnęła się do Johanna, po czym zlustrowała Annę wzrokiem.

- Zapewne zna pani lady Jersey? - zapytał Johannes.

- Znam i ona mnie zna - odparła Anna.

- Ale nie jest to pani dobra znajoma?

- Nie.

- To patronka Almacka. Sądziłem, że chciałyby pani poznać taką znakomitość.

Anna rzuciła mu ukośne spojrzenie.

- Bynajmniej - odparła spokojnie. - Wcale nie pragnę bywać w Almacku, a nawet gdybym o tym marzyła, i tak nie dostałabym zaproszenia.

- Ach tak?

- Mój ojciec jest kupcem. Fakt ten przekreśla wszelkie szanse na to, bym mogła bywać w pewnych kręgach.

- Rozumiem - powiedział, po czym rozparł się wygodniej w pozie człowieka, który czuje się najzupełniej szczęśliwy. - Proszę wybaczyć, panno Ingersoll, jeśli wydam się arogancki, lecz jestem obcokrajowcem i obyczaje angielskie wydają mi się nieco dziwaczne.

- Moja najdroższa wychowawczyni, panna Ridgely, zwykła mawiać, że kto pyta, nie błądzi.

- A więc mówi pani, że arystokracja i burżuazja nie bywają w tych samych kręgach. A jednak pani i lady Luiza jesteście przyjaciółkami.

- Tak, chodziłyśmy razem do szkoły.

- A księżna i książę Coldstone pozwalają na tę przyjaźń?

- Ich książęce moście zawsze byli dla mnie niezwykle życzliwi. Ja również bardzo ich lubię. Książę zaprzyjaźnił się też z moim ojcem.

- Nie pojmuję.

- Tu nie ma nic do pojmowania, hrabio - powiedziała trochę zbyt ostro Anna. - Jestem zadowolona ze swojego życia. Nie zależy mi na bywaniu w towarzystwie. Zgadza się z ojcem, że wyższe sfery są dekadentkie i rozpustne.

- Ach tak - mruknął hrabia. - Chyba rozumiem. Uważa pani, z czym zgadzam się w zupełności, że człowiek powinien pozycję społeczną i towarzyską zawdzięczać wyłącznie własnym zasługom.

- Tak sędzę - odparła. - Dobrze pan to ujął.

Johannes zamyślił się. Jego następne pytanie zaskoczyło Annę.

- A co sądzi pani o ewentualnym małżeństwie lady Luizy z moim kuzynem?

- A co tu jest do sądzenia? To wyłącznie ich sprawa. Mogę powiedzieć tylko tyle, że Luiza byłaby wspaniałą księżną. Od dziecka wychowywano ją do takiej właśnie roli.

- Panna Luiza i pułkownik Rodney są *les cousins*, nieprawdaż? |

- Dalekimi krewnymi.

- Zdaje mi się, że są ze sobą związani.

- Znają się od urodzenia.

- Jednak nie wydaje mi się, że łączą ich tylko więzy krwi - powiedział Johannes w zamyśleniu.

Anna wzruszyła ramionami.

- Być może w innych, okolicznościach wszystko potoczyłoby się

inaczej.

- Och, panno Ingersoll, widzę, że ma pani romantyczną duszę.

- Myli się pan, hrabio, moje serce ani trochę nie jest stworzone do romansów. Jestem feministką i wierzę w równouprawnienie kobiet.

- Ach, feministka. Nadzwyczajne. Zawsze uważałem kobiety za płęć silniejszą. Ale idee feministyczne nie wykluczają miłości.

- Dla mnie tak - stwierdziła stanowczo Anna.

- Wielka szkoda - westchnął Johannes. - Moja matka była niezwykle inteligentną kobietą, silną, energiczną, o wspaniałej intuicji. A mimo to poślubiła mojego ojca z miłości i żyli oboje szczęśliwie, przekonani, że byłiby lepszymi władcami Batawii niż mój świętej pamięci wuj.

- Ach! - wykrzyknęła Anna, zadowolona z tej krótkiej informacji na temat stosunków panujących w klanie von Hazloe. - Niestety, w przeciwieństwie do pańskiej matki, nie spotkałam dotąd dżentelmena, z którym mogłabym żyć równie szczęśliwie.

- Jestem przekonany, że jeszcze go pani spotka - odparł Johannes. - Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy. Musi mi pani ofiarować choć jeden taniec. Jeśli nie w Almacku, to na balu u księżnej Coldstone. - Obdarował Annę czarującym uśmiechem. - Zechce mnie pani tu wysadzić? Mam stąd do domu parę kroków. Nawet dla mnie to niezbyt długi spacer.

Z tymi słowy pożegnał się i odszedł, zostawiając Annę

jednocześnie zaintrygowaną, rozdrażnioną i... zupełnie oczarowaną.

Wcale mi się to nie podoba, panno Anno - oznajmił Jeremy Briggs płaczliwym tonem. - Jeśli pani ojciec zamierza przyjmować w domu jakichś panów w interesach, winien postarać się dla pani o jakąś szacowną damę do towarzystwa.

Anna poczuła, że budzą się w niej mordercze instynkty. Bardziej złościła ją sama osoba Briggsa niż wiadomości, jakie przynosił. Z właściwym sobie brakiem wyczucia pan Briggs powiedział dokładnie to, co mogło ją najbardziej rozgniewać.

- Czy sugeruje pan, że powinna tu mieszkać moja ciotka, pani Wigglesworth? - zapytała z nie skrywaną irytacją. - Wie pan przecież, że to jedyna krewna, która mogłaby spełniać rolę przyzwoitki. Wszystkie inne mają mężów i rodziny. Poza tym mój ojciec nie jest z nią w najlepszych stosunkach, nie sądzę więc, by był to dobry pomysł. Jestem też pewna, że nie zostawiłaby Bath i czeredy swoich ukochanych pekińczyków. Dziękuję za troskę, panie Briggs, ale wie pan doskonale, iż od kiedy upięłam włosy i zaczęłam nosić długie suknie, z powodzeniem pełnię rolę gospodyni domu.

Po raz kolejny spojrzała na notatkę, pośpiesznie skreśloną ręką ojca. Gdyby tylko ojciec pisał wyraźniej, pomyślała. Z notatki wynikało,



że ojciec zaprosił dziś kogoś na kolację, ale za żadne skarby nie mogła odczytać nazwiska zaproszonej osoby.

- Niemniej jednak, panno Anno, mając na względzie pani dobro, nie mogę milczeć i muszę coś powiedzieć.

Anna uniosła brwi.

- O czym to chce pan mi powiedzieć, panie Briggs? - zapytała tonem, który nie wróżył nic dobrego.

Niestety, pan Briggs nie wyczuwał takich niuansów. Może znał się na prowadzeniu interesów, lecz obca mu była sztuka obcowania z ludźmi. Korzystając ze sposobności, postanowił przedstawić swoją opinię.

- Mam pewne obawy, że te kontakty z wyższymi sferami mogą wzbudzić w pani fałszywe nadzieje - stwierdził.

- Nadzieje na co? - spytała, myślami będąc zupełnie gdzie indziej. Wiadomość o przybyciu gościa na kolację wcale jej nie zaniepokoiła. Ojciec często zapraszał gości w interesach. Jej rola polegała na dopilnowaniu, by zostali należycie obsłużeni. Przy deserze wycofywała się dyskretnie, pozwalając panom swobodnie dyskutować o interesach. Lecz kim miał być ów dzisiejszy gość? Jakiś pan Książ, Ksinge, Kszong? W miejscu nazwiska widniał straszny kulfon. - Och, gdyby ojciec pisał odrobinę wyraźniej!

- Nadzieje na wyższy status społeczny. Rozumiem, że mogłaby pani łączyć się marzeniami o poślubieniu księcia. Proszę jednak

wysłuchać kogoś, kto ma więcej doświadczenia w sprawach tego świata.

- Co takiego? - ocknęła się Anna. Wreszcie udało się Briggsowi przyciągnąć jej uwagę. - Księcia? Czy mój ojciec zaprosił dziś na kolację księcia? Ależ po co miałyby to robić?!

- Kieruję się oczywiście tylko i wyłącznie pani dobrem - ciągnął Briggs, nie zważając na to, co mówi Anna. Nie należał do uważnych słuchaczy. - Takie rzeczy się nie zdarzają i nie mają prawa się zdarzyć. Takie ambicje to mrzonki, prowadzą tylko do nieszczęścia. W dodatku te panky z wielkiego świata to banda niemoralnych rozpustników, których jedynym celem jest wykorzystać takie niewinne kobiety jak pani.

Anna aż pokręciła głową ze zdziwienia. Przez chwilę walczyły w niej rosnąca niechęć do Briggsa i rozbawienie. W końcu górę wzięło to drugie.

- Czy usiłuje mi pan coś powiedzieć, panie Briggs? - zapytała.

- Proszę tylko, by raczyła pani rozważyć rady człowieka, który dobrze pani życzy! - wykrzyknął. - Nic dobrego nie wyjdzie z tego zadawania się ze śmietanką towarzyską.

Anna już miała poinformować go, że nie ma w zwyczaju zadawać się ze śmietanką towarzyską, nie mówiąc już o zamiarze poślubienia księcia. Zrezygnowała jednak z tego uznając, że łatwiej pozbędzie się natręta, jeśli go wysłucha.

- Och, panie Briggs - powiedziała, kryjąc uśmiech. - Jestem niezmiernie wdzięczna za te przyjacielskie rady. Dopiero teraz pojęłam,

że nie powinnam, a wręcz nie wolno mi, marzyć o poślubieniu księcia. Proszę mi tylko powiedzieć, kim jest ten książę, którego ojciec zaprosił na dzisiejszą kolację, a przyrzekam, że zrobię, jak pan radzi.

Pan Briggs wypiął dumnie chudą pierś.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na pani rozsądek - stwierdził, bardzo z siebie zadowolony. - Jak trudno jest uchronić kobietę przed chęcią wejścia w to kłębowisko żmij. Moja matka słusznie mawia, że na próżno szukać szczęścia w za wysokich dla nas progach.

Anna westchnęła ciężko na samą myśl o tej smutnej, pobożnej kobiecie, która oddawała się modlitwie i studiowaniu Biblii po to tylko, by znaleźć w nich usprawiedliwienie dla swojego egoizmu i móc straszyć piekłem wszystkich tych, którzy mieli odmienne od niej poglądy. Nie po raz pierwszy żal jej się zrobiło sióstr Briggsa. Całe życie poświęciły matce i jej wyimaginowanym chorobom, gnieźdząc się w ciasnym, śmierdzącym kotami i lekarstwami domu w Camden Town. Krótka wizyta przed laty była dla niej pierwszą i ostatnią.

- Tak, tak, naturalnie - przytaknęła machinalnie, pewna, że nie uda jej się wydobyć z pana Briggsa dodatkowej informacji na temat oczekiwanego gościa. Czowała, że znów wzbiera w niej nieopanowana wściekłość. - Dziękuję, że zechciał mi pan przynieść wiadomość od ojca. A teraz proszę wybaczyć, muszę jednak uzgodnić z kucharzem pewne zmiany w menu.

- Panno Anno! - wykrzyknął Briggs. - Muszę coś pani wyznać,

korzystając z tego, że jesteśmy sami.

Rozejrzała się po salonie, jakby liczyła na to, że ktoś przybędzie jej z pomocą.

- Proszę, nie. Przez pana znajdziemy się tylko w kłopotliwej sytuacji.

- Ale ja muszę to wreszcie wyznać! Nie mogę milczeć. - Mówiąc to, chwycił ją za rękę. Miał skórę suchą niczym papier.

- Panie Briggs, to doprawdy żenujące - powiedziała coraz bardziej zniecierpliwiona, usiłując wyrwać dłoń. Zegar na kominku wybił godzinę siódmą, przypominając, że niewiele zostało już czasu.

- Panno Anno, proszę pozwolić mi pomówić z pani ojcem - błagał Briggs. - Musiała pani domyślać się, że od dawna liczyłem na to... pokładałem nadzieję... marzyłem, że zgodzi się pani...

- Błagam, panie Briggs, niechże się pan powstrzyma przed wypowiedzeniem czegoś, czego będzie pan żałował - powiedziała, usiłując wyswobodzić rękę.

- Ale ja muszę koniecznie z nim pomówić! Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że jej ojciec nie będzie żył wiecznie i ktoś musi pokierować jego firmą...

- Panie Briggs, proszę się opamiętać! - zaprotestowała. - Mój ojciec cieszy się jak najlepszym zdrowiem, a ja nigdy za pana nie wyjdę.

- Panno Anno, proszę... pomyśleć o firmie...

- Tego już za wiele! Teraz wszystko jasne. Pan kocha firmę, a nie

mnie. Panie Briggs, jeśli w tej chwili mnie pan nie puści, zrobię panu krzywdę. Zachowuje się pan skandalicznie!

Naraz rozległo się głośnie chrząknięcie i w drzwiach stanął majordomus Addle, z profesjonalnie obojętnym wyrazem twarzy.

- Jego wysokość księżę Batawii - zaanonsował z chłodnym spokojem i usunął się na bok, wpuszczając gościa do salonu.

- Księżę! - jęknęła Anna.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony. Panna Ingersoll stała jak przymurowana, wpatrując się w przybysza z pąsowym rumieńcem na twarzy. Odsunęła się pośpiesznie od Briggsa, a w oczach błysnęło jej zdumienie, zażenowanie i wściekłość.

Theo natomiast lekko uniósł brwi na widok tej interesującej sceny. Przez oblicze przemknął mu nikły uśmiech, który jednak szybko ustąpił miejsca wyrazowi obojętności.

- Pan Briggs właśnie wychodził, Addle - odezwała się wyniośle Anna, z trudem odzyskując równowagę.

- Oczywiście, panienko - odparł służący przytrzymując drzwi zaskoczonemu urzędnikowi, który wyglądał, jakby miał zamiar udusić księcia.

Nie mając wyboru, Briggs poprawił okulary i sztywnym krokiem wyszedł z salonu, rzuciwszy księciu mordercze spojrzenie. Addle spokojnie zamknął drzwi, zostawiając Annę z gościem. Zapadła pełna napięcia cisza.

- A więc pani jest córką Dawida Ingersolla?! - zapytał w końcu Theo. Mógł się tego domyślić, choć w wirze spraw nie był w stanie nad czymkolwiek się zastanowić.

- Tak, to ja. Firma Ingersoll. A pan jest... - Tu rzuciła okiem na kartkę papieru, wymiętą po niedawnych przejściach z Briggsem. - Nie żadnym Ksinge, lecz księciem. Teraz wszystko jasne. Ojciec napisał: księżę Theodorik. Och, mój Boże, pismo ojca pozostawia wiele do życzenia. Pisze równie szybko, jak myśli - mówiła pośpiesznie Anna. - Nie spodziewałam się... to znaczy nie sądziłam, że to pan jest tym zaproszonym gościem.

Ten jakże zaskakujący widok skrępowanej i onieśmiałonej panny Ingersoll, która nagle okazała ludzkie odruchy - nie był niemiły. Policzki dziewczyny zdobiły rumieńce, błyszczące oczy płonęły, a piersi unosiły się i opadały. To było do niej niepodobne.

Ku swemu zaskoczeniu księżę powstrzymał się od sarkastycznej uwagi i pod wpływem impulsu wsunął dziewczynie za ucho niesforny kosmyk włosów.

- Wygląda na to, że skazani już jesteśmy na spotkania w dość dziwnych okolicznościach - powiedziała miękko.

Oczekiwał, że Anna odpowie mu kpiarskim śmiechem i złośliwą uwagą, tymczasem skryła tylko rozpaloną twarz w dłoniach.

- Muszę pomówić ze służbą. Nie mieliśmy czasu przygotować... Doprawdy, ojciec powinien był powiadomić mnie wcześniej... Proszę z

łaski swojej się rozgościć, a ja każę przynieść maderę i zaraz wracam.

I z tymi słowy wybiegła z salonu zostawiając go z marsem na czole. Kątem oka spostrzegł swoje odbicie w lustrze nad kominkiem i pokręcił głową.

- A więc ten człowiek zdobył serce tej czarownicy - powiedział. - Wygląda na nudziarza, ale może ona w takich gustuje?

Anna zaś wydała rozporządzenia majordomusowi i pomknęła na górę do pokoju. Dlaczego ojciec musiał zaprosić dziś na kolację akurat księcia Theodorika, myślała, pośpiesznie wyjmując szpilki z potarganych włosów. Ależ tak, oczywiście, to logiczne: firma Ingersoll była przecież największym importerem szampana w całej Anglii i koloniach. Księżę Batawii przybył do Anglii, by nawiązać kontakty z importerami win w sprawie sprzedaży najważniejszego produktu Batawii. Dlaczego księżę znów musiał zobaczyć ją w tak kompromitującym położeniu?! Po raz kolejny był świadkiem, jak usiłuje odeprzeć czyjeś nachalne zaloty. Mogła z powodzeniem uchodzić w oczach księcia za jakąś pustą pannicę, która zachęca mężczyzn, co przecież nie miało nic wspólnego z prawdą. Że też akurat jej musiało się to przytrafić, a w obu tych niefortunnych wypadkach świadkiem musiał być ten pewny siebie księżę Theodorik.

Układając włosy, z trudem hamowała kipiący w niej gniew. Ten przeklęty głupiec Jeremy Briggs akurat dziś musiał wywołać tak zawstydzającą scenę. W dodatku dowiedziała się, że nie kocha jej, lecz

firmę. Przejechała szczotką po włosach i zaczęła upinać je w kok. Oczywiście tylko Jeremy Briggs potrafił wybrać najbardziej nieodpowiednią porę i miejsce na swoje oświadczenia. Będzie musiała porozmawiać o tym z ojcem. A on uważa, że byłby z niego idealny zięć. W dodatku zdarzyło się to w obecności księcia. Dlaczego ojciec wcześniej nie zawiadomił jej o tej wizycie? W domu były jedynie kapłony i rostbef. Wszystkiego starczy na jakieś cztery, pięć dań. Księżę gotów pomyśleć, że są biedni. A wina? Oczywiście całą uwagę skoncentruje na winach. Wina to jego zajęcie, jeśli w ogóle książęta mogą mieć jakieś zajęcie. Zaraz pośle służącego do piwnicy po butelkę porto rocznik 1791 i jeszcze lepszego klaretu.

Nagle przerwała czesanie i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. Dlaczegoż tak śmiertelnie poważnie traktuje mężczyznę, którego nawet nie lubi? Jednak księżę udowodnił dzisiaj, że potrafi zachować się jak człowiek. Zresztą to taki sam interesant jak inni. Nie musi przecież robić na nim wrażenia. Chociaż może trochę. Dobrze by było pokazać mu, że choć rodzina Ingersoll zajmuje się handlem, to wcale nie jest pośledniejsza od Coldstone'ów. Ale dlaczego tak jej na tym zależy? Przecież to księżę bardziej potrzebuje firmy Ingersoll niż firma księcia. Musiała jednak przyznać sama przed sobą, że nie bardzo pojmuje przyczyny tej burzy uczuć, która w niej szaleje. Lecz nie czas się nad tym zastanawiać. Księżę czy nie, Theo był ich gościem i należało go przyjąć z należnymi honorami. Powoli wracało jej wrodzone poczucie



humoru. Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nedorzeczność - powiedziała myśląc o tym, jak będą się śmiały z Luizą, kiedy jej o wszystkim opowie.

Nie musiała kłaść rózu na policzki, bo wciąż były mocno zarumienione. Obróciła się przed lustrem, krytycznie przyglądając się swojej sylwetce. Jej jedwabna suknia barwy irysów miała srebrną falbankę wokół dekoltu i krótkie bufiaste rękawy. Na szczęście nie ucierpiała w czasie walki z panem Briggsem. Długie rękawiczki z kozłej skórki i naszyjnik z pereł i brylantów dopełniały toalety. Otuliła ramiona jedwabnym szalem, wzięła głęboki oddech i wybiegła z pokoju. Tuż za drzwiami natknęła się na pokojówkę.

- Och, panienko, czy to prawda, że jaśnie pan zaprosił dziś na kolację prawdziwego księcia? - zapytała, automatycznie wygładzając fałdy sukni Anny i układając jej szal na ramionach. - Nie powinna się panienska sama ubierać - dodała. - Po to tu jestem. Gdybym wiedziała, że będzie dziś panienska przyjmować księcia, przygotowałabym tę błękitną jedwabną suknię z koronkową obwódką.

- Nie, nie, ta w zupełności wystarczy - powiedziała szybko Anna. - To książę malutkiego państewka, więc to wcale się nie liczy. Alderman Wellborne, który jada z nami regularnie, to większa od niego znakomitość.

Domyślała się jednak, że cała służba będzie chciała chociaż rzucić na księcia okiem, i co tchu zbiegła po schodach.

- Pozwoliłem sobie podać Jego Wysokości maderę, rocznik 1804 - oznajmił Addle. - Kazałem też kucharzowi przygotować homara na przystawkę i zupę żółwiową na pierwsze danie. Otworzyłem butelkę porto, rocznik 1791 i butelkę klaretu rocznik 1811 i wino reńskie rocznik 1809 do drugiego i trzeciego dania. - Odchrząknął. - Pomyślałem też, że dobrze będzie schłodzić butelkę batawiańskiego szampana, rocznik 1815 do deseru z tortem malinowym, owocami i serami.

- Och, Addle, jesteś geniuszem! - wykrzyknęła Anna, szczerze wdzięczna. Służący skłonił głowę ze skromnym uśmiechem.

- Proszę o nic się nie martwić, panienko. Dopatrzymy, by książę zjadł kolację nie gorszą niż u siebie w domu, a może nawet lepszą.

Anna zastała księcia siedzącego przy kominku, z kieliszkiem madery w dłoni. Wpatrywał się w portret jej matki, zawieszony nad kominkiem. Na widok Anny wstał. Dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie doskonale skrojony surdut. W lewą klapę miał wpiętą miniaturkę orderu, jedyny znak wysokiej pozycji.

- Ta dama to pani matka? - spytał, wskazując na obraz Romneya.

- Tak, moja nieżyjąca matka - odpowiedziała. - Zmarła, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Wszyscy twierdzą, że była bardzo piękna. Niestety, wdałam się w ojca.

- Niezupełnie. Ma pani oczy matki. Czy pozwoli pani nalać sobie kieliszek tej doskonałej madery?

- Poproszę. Mój ojciec powinien się zjawić za kilka minut. Czasem,

kiedy jest duży ruch w City, spóźnia się na kolację. Przepraszam w jego imieniu.

- O nie, to ja winienem przeprosiny - powiedział, podając Annie kieliszek. - W moim kraju, kiedy zaprasza się kogoś na godzinę siódmą, to znaczy, że gość ma przybyć o siódmej. W Anglii natomiast siódma na zaproszeniu znaczy, że należy pojawić się o ósmej. Chodziłem tu do szkoły i powinienem o tym wiedzieć. Ale, jak pani widzi, nie mam tu swojej sekretarki. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Piękny dom, elegancki, a jednocześnie przytulny. Właśnie taki efekt chciałbym uzyskać w moich apartamentach w pałacu - dodał z lekkim smutkiem w głosie. - Poprzedni lokatorzy zabrali lwią część pałacowych mebli.

Uniósł kieliszek i oboje wznieśli toast. Anna zastanawiała się nad tym, co powiedział książę. Co by zrobiła, gdyby zostali wyrzuceni z ojcem z domu, a dom ogołociono ze wszystkich drogich im sprzętów?

- Mam nadzieję, że nikt więcej do pana nie strzelał? - zapytała zmieniając temat.

Pokręcił głową.

- Nie. Sądzę, że to był przypadek. Ale proszę już o tym nie myśleć. Ja przestałem. Czy to Fragonard? - zapytał. - Widzę tu wiele wybitnych dzieł. Szczególne wrażenie zrobił na mnie pejzaż w hallu.

- Och, ojciec będzie uszczęśliwiony, gdy dowie się, że zwrócił pan uwagę na jego obrazy. Interesuje się sztuką. Chyba rozczarowałam go brakiem jakichkolwiek uzdolnień w tej dziedzinie. Ale przynajmniej

potrafię docenić talent innych. Czy chciałby pan obejrzeć inne obrazy?

- Bardzo chętnie.

- Księżę Coldstone twierdzi, że papa ma doskonałe oko do mistrzów, o wiele lepsze niż on sam - powiedziała, oprowadzając księcia po pokojach. - Nasze zbiory są skromniejsze od tych, którymi może się poszczycić zamek Coldstone, ale ojciec uwielbia włoskich prymitywistów, których dzieła widział pan w zielonym salonie. Luiza zupełnie nieźle maluje akwarele. Ja, niestety, nie mogę pochwalić się żadnym malarskim talentem. Wszystkie moje próby kończą się fiaskiem. Oto obraz pędzla...

W ten oto sposób udało się księciu odciągnąć uwagę Anny od pistoletów, zamachów i rodziny Coldstone, o których nie miał ochoty dyskutować. Kiedy pan Ingersoll wkroczył do salonu, zastał córkę wychwalającą angielskiego malarza, Turnera.

- Proszę tylko spojrzeć na to niebo - mówiła z zapałem.

- Widzę, że córka dotrzymuje Waszej Wysokości towarzystwa. Proszę wybaczyć moje spóźnienie. Miasto staje się z roku na rok coraz bardziej tłoczne, tyle w nim powozów, koni, pieszych. - Wyciągnął na powitanie rękę, którą księżę mocno uściskał. - Anno, czy podano naszemu gościowi... O, widzę, że tak. Wasza Wysokość pozwoli, że przedstawię moją córkę.

- Mam zaszczyt znać pańską córkę od prawie dwóch tygodni, panie Ingersoll - pośpieszył z wyjaśnieniem księżę, uśmiechając się

porozumiewawczo do Anny. - Księżna Coldstone nas sobie przedstawiła.

- Ach tak. Moja córka bywa w wyższych kręgach, w przeciwieństwie do mnie. Księżna Coldstone jest dla niej niezwykle uprzejma. - Uśmiechnął się czule do Anny. - Ona wszędzie bywa.

- Nie wszędzie - lekko odparła Anna.

Inna dziewczyna mogłaby czuć się nieco zakłopotana bezpośredniością ojca. Anna jednak ujęła go pod ramię i z wyzwaniem spojrzała na księcia, w razie gdyby ten ośmielił się potraktować go z wyższością tylko dlatego, że jest kupcem.

Nie musiała się jednak niczego obawiać. Tego popołudnia, podczas długiego spotkania z panem Ingersoll, Theo zdążył go polubić i podziwiać za bogatą wiedzę na temat win. Po nieznośnie sztywnych spotkaniach z członkami wyższych sfer z ulgą i radością przyjął zdrowy rozsądek i prostotę w kontaktach, jakie cechowały tego kupca. W kręgach arystokracji zza każdego rogu czyhało niebezpieczeństwo, tu zaś czuł się bezpiecznie i pewnie. Ktoś inny na jego miejscu mógłby wysłać delegatów, którzy w jego imieniu załatwiliby wszystkie sprawy handlowe. Jednak Batawii nie stać było na pośredników. Poza tym nikt tak jak on nie znał się na szampanie. Pod tym względem był takim samym człowiekiem interesu jak Dawid Ingersoll. Przez chwilę zastanawiał się, czy Anna nie wstydzi się trochę swego pochodzenia. Skoro tak, to umniejsza jedynie swoją wartość, nie ojca.

Wkrótce obaj panowie pograżyli się w dyskusji na temat taryf

celnych, podatków i kredytów bankowych. Annie pozostawało jedynie kiwać głową i udawać zainteresowanie kosztami transportu szampana batawiańskiego do Anglii, zaletami niemieckich i hiszpańskich win i koniecznością dostarczenia społeczeństwu angielskiemu, spragnionemu towarów luksusowych po wieloletniej wojnie, produktów najwyższej klasy.

- Krótko mówiąc, sądzę, że w ciągu pierwszego roku możemy sprzedać ponad siedem i pół tysiąca galonów wina w samym tylko Londynie. Na prowincji pewnie trochę mniej, ale jeśli uda nam się przekonać kupców z północy i z centralnych regionów o wyższości szampana batawiańskiego nad francuskim, to za jakieś cztery lata rynek będzie nasz. Pozostają jeszcze rynki kolonialne.

- To prawda. Nie mówiliśmy jeszcze o imporcie alkoholi do Batawii. Myślę, że może być u nas niewielki popyt na rum zachodnioindyjski, lecz nieco większy na piwa angielskie, które według mnie należą do najlepszych na świecie. Jak pan wie, importujemy kukurydzę i jęczmień z Francji i niektórych niemieckich landów, więc produkcja piwa nie jest dla nas opłacalna. Dotąd sprowadzaliśmy piwo z Westfalii i z Hesji, sądzę jednak, że korzystniej byłoby...

- Podpisać kontrakt handlowy. Całkiem słusznie. Mam znajomego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który pomoże pańskim ludziom dopracować szczegóły. Jeśli nie będzie kolejnej wojny, wszystko pójdzie po naszej myśli.

I tak toczyła się rozmowa przez niemal cały wieczór. Anna oddała się rozmyślaniom, podczas gdy panowie dyskutowali na temat konkurencyjnych firm winiarskich. Nie uszło jej uwagi, że służba robiła wszystko, by chociaż rzucić okiem na dostojnego gościa. Ten jednak zbyt był pogrążony w rozmowie, by na cokolwiek zwracać uwagę. Poczowała wielką ulgę, kiedy Addle podał porto i cygara.

- Zostawię panów samych - powiedziała z nutą ironii w głosie, lecz oni nawet nie zauważyli jej odejścia.

Kto by pomyślał, że arystokrata może tyle wiedzieć na temat produkcji wina? - myślała. Usiadła na kanapie w salonie, by wypić filiżankę kawy i przejrzeć nową powieść, którą właśnie wypożyczyła z biblioteki. Trudno nawet wyobrazić sobie, by księżę regent lub jego bracia mogli dyskutować na temat przemysłu brytyjskiego. Biedna Luiza, jakież nudne życie ją czeka. Jeśli księżę sądzi, że zainteresuje ją produkcją wina, to niech się nie łudzi, że mu się to uda. Właśnie zamierzała nalać sobie kawy, gdy do salonu wszedł Addle.

- Przyszła lady Luiza, panienko. Wydawała się nieco poruszona, kiedy powiedziałem, że Jego Wysokość spożywa dziś u nas kolację. - Odchrząknął. - Pozwoliłem sobie wprowadzić ją bocznymi schodami do pokoju panienki. Wszyscy byli zajęci obsługiwaniem jadalni.

Anna wstała zaskoczona.

- Lady Luiza tutaj? O tej porze? Ale...

- Przywiózł ją pułkownik Rodney. Czeka w powozie. Pozwoliłem

mu to zasugerować, by nie robić niepotrzebnego zamieszania.

- Już do niej idę. Czy możesz zatrzymać ojca i naszego gościa jeszcze przez jakiś czas?

- Pozwoliłem sobie otworzyć butelkę porto Viejallo, rocznik 1803, i uzupełnić cygara - odparł Addle nieco urażonym tonem. Anna zrozumiała, że nie musi mu przypominać o tak podstawowych rzeczach.

- Addle, jesteś geniuszem - powtórzyła.

Skinął głową i dostojnym krokiem oddalił się w kierunku jadalni, z której buchnęły kłęby dymu, gdy otworzono drzwi. Przepędził dwie pokojówki zaglądale do środka przez szparę w drzwiach, sam zaś wszedł do sali.

Anna zastała Luizę nerwowo przemierzającą pokój. Przyjaciółka była ubrana w suknię wyjściową.

- Och, nareszcie jesteś! - zawołała na widok Anny. - Jestem w strasznych tarapatach i zupełnie nie wiem, co robić. Mama myśli, że jestem u Torringtonsów.

- Więc co tu robisz i dlaczego Randolph Rodney czeka w powozie przed domem? - zapytała Anna. - Nie wiesz, że księżę jest u nas?

Luiza zatrzymała się i popatrzyła na Annę.

- Więc co zrobimy?

- Och, obaj zanudzili mnie rozmową na temat szampana. Wiem teraz więcej niż chciałabym wiedzieć, o kontraktach, winnicach i winoroślach.



- Tak, tak, rozumiem - powiedziała Luiza i pokręciła głową. - Och, Anno, ja w ogóle nie mam szczęścia w życiu! I co my teraz zrobimy? Nie mogę się z nim teraz spotkać. - Chwyciła rękę przyjaciółki. - Posłuchaj. Wczoraj wieczorem byliśmy u Ombersleyów, poszłam z Randolphem na kolację i przy deserze wszystko mu wyznałam, a on przyznał, że czuje to samo.

- Och! To wspaniale! - wykrzyknęła Anna, lecz naraz ogarnął ją smutek. - Lecz co na to powiedzą twoi rodzice? A co z księciem?

Luiza opadła na fotel.

- W tym cały problem - westchnęła. - Rodzice nigdy, przenigdy nie zgodzą się na moje małżeństwo z Randolphem. Szczególnie teraz, kiedy czekają, że książę się zdeklaruje. A Randolph mówi, że nie może zdradzić księcia. To jego najlepszy przyjaciel. Według niego jedyne co możemy w tej sytuacji zrobić, to nauczyć się bez siebie żyć.

- Choć można zrozumieć jego punkt widzenia, to dosyć irytująca postawa - westchnęła Anna. - Przecież to Randolph zapoznał was ze sobą. Teraz mogę ci już powiedzieć, że kocha cię, odkąd wrócił z wojny, a ty z niezdarnej kuzynki zmieniłaś się w piękną kobietę. To irytująca, lecz godna podziwu postawa. Nie sądzisz, że mógłby przełamać się i pomówić o tym z księciem?

- Nie, on uważa, że to byłoby niehonorowe.

- Ależ to absurd! Przecież to jasne jak słońce, że książę nie darzy cię żadnym uczuciem, podobnie jak ty jego. Cieszę się, że nie pochodzę

z rodziny, której zależy bardziej na kontrakcie małżeńskim niż na związku opartym na miłości.

- Księżę Theodorik to bardzo miły człowiek i gdyby nie Randolph, wyszłabym za niego. Ale...

- Rozumiem doskonale. Jednak musisz pamiętać, że księciu chodzi tylko i wyłącznie o poślubienie kobiety, która da mu potomka. Dlaczego więc miałoby go dotknąć, gdybyś otwarcie odrzuciła jego oświadczyny?

- Mama i papa - odparła Luiza z prostotą.

- Tak, to jest przeszkoda - przyznała Anna. - I to nie byle jaka.

- Wiesz, myślę, że gdyby nie księżę, rodzice w końcu zgodziliby się na moje małżeństwo z Randolphem. On należy do rodziny, jego babka pochodziła z Coldstone'ów. Dla nich wszystkich rodzina to coś o wiele ważniejszego niż pochodzenie królewskie. Postanowiliśmy pojechać do Coldstone, gdzie księżę ma się ponoć oświadczyć o moją rękę. - Luiza dumnie zadarła bródkę. - Nie wyjdę za niego. To znaczy za księcia. Wyjdę za Randolpha.

Najwyraźniej miłość dodała Luizie sił.

- Ale skoro uważasz, że rodzice nie zezwolą na to, jak zamierzasz do tego doprowadzić? - spytała Anna. - Czy pomyślałaś, w jaki sposób ich przekonasz?

- Nigdy ich nie przekonam. Posłuchaj, Anno – Luiza położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. - Zamierzam uciec.

- Uciec?! - wykrzyknęła przerażona Anna. - Luizo, nie możesz tego

zrobić!

Luiza jeszcze wyżej uniosła głowę.

- Właśnie że mogę. I zrobię. Przekonasz się. Przez całe życie słuchałam poleceń rodziców, lecz dłużej tego nie zniosę. Chcę spędzić resztę życia u boku człowieka, którego kocham i któremu ufam.

- A co na to Randolph? - spytała Anna.

Luiza rzuciła jej ukośne spojrzenie.

- On twierdzi, że to się nie uda. Według niego to niehonorowe nawet marzyć o kimś takim jak ja, będąc słabo opłacanym oficerem, wysyłanym na różne misje przez rząd. Ale ja jeszcze go przekonam, wiem, że tak. Uwiodę go i będzie musiał ze mną uciec.

- Nawet o tym nie myśl. Pomyśl o skandalu. To załamałoby twoich rodziców, Luizo. Co ci się stało? Mówisz jak zupełnie obca osoba.

Luiza spojrzała na nią płonącymi oczyma i uśmiechnęła się.

- Jestem zakochana i on mnie kocha. Będę go kochać do końca życia. Och, doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że ucieczka to skandaliczny pomysł, ale całe życie zachowywałam się jak posłuszny manekin i dokąd to mnie zawiodło? Nie pragnę żyć w pałacach. Wolę mieszkać w małej chatce z Randolphem. Mamy kilka uroczych, krytych strzechą chatek w naszych posiadłościach. Mogłabym hodować kury i doić krowę, i uprawiać ogródek...

- Idę o zakład, że znieawidziłabyś całą tę wieś w godzinę po tym, jak Randolph przeniósłby cię przez próg tej waszej chatki. W strzechach

gnieźdzą się szczury, a kurczaki to najgłupsze ze stworzeń. I choć z pewnością wyglądałabyś prześlicznie, dojąc krowę, to nie sądzę, byś to polubiła. A ogrodnictwo to ciężka i brudna robota. A gnój? Chyba słyszałaś, że ziemię nawozi się gnojem?

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? Przecież urodziłaś się i wychowałaś w Londynie.

- Bywałam na wsi, ty gąsko. Luizo, wierz mi, nie zniosłabyś biedy, całym sercem byś ją znienawidziła. Nie do tego cię wychowano i nie sądzę, by Randolph ci na to pozwolił.

- Mówi to samo co ty - przyznała Luiza. - Ale kiedy mama i papa przyzwyczajają się do tej myśli, pójdą na ugodę i wszystko się ułoży. Oni nie potrafią długo się na mnie gniewać. Poza tym lubią Randolpha. Och, czy nie mogłabyś przekonać go, że dziś w nocy musimy ruszyć w stronę granicy?

Anna pokręciła głową.

- Nawet gdybym podzielała twoje zdanie na ten temat, wątpię, czy Randolph zgodziłby się to zrobić. Luizo, to najbardziej szalony pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

- Ale to wszystko, co możemy zrobić! - wykrzyknęła Luiza.

- Musi być jakiś lepszy sposób - powiedziała Anna. - Na razie powinnaś wrócić do domu, zanim twoja mama zauważy, że cię nie ma. Żeby tylko księżę i mój ojciec cię tu nie spotkali.

- Księżę to naprawdę przemiły człowiek, tylko ja nie chcę zostać

księżną. A może ty za niego wyjdiesz?

- Nie pleć głupstw! - warknęła Anna. - W ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż, a zwłaszcza za księcia Theodorika. Nawet go nie lubię.

- Ale ktoś musi go poślubić - powiedziała Luiza. - Och, posłuchaj, czy to nie głos twojego ojca?

- O Boże! Musieli wyjść z jadalni. Jak ja ciebie teraz wyprowadzę?

- Zejdę bocznymi schodami. - Luiza poderwała się z fotela. - Ale co my teraz zrobimy?

- Co to znaczy „my”? Nawet nie próbuj mnie w to wciągać! - zawołała Anna, zdając sobie sprawę, że już została w to wciągnięta.

Luiza uśmiechnęła się.

- Mam pomysł - powiedziała. - Przypuśćmy, że księżę zrobi coś nie licującego z jego pozycją, coś, co uraziłoby moich rodziców. Wiesz, że o to nietrudno, bo są takimi bufonami. Na przykład założylibyście się o ogromną sumę pieniędzy, kto lepiej poprowadzi powóz. Moi rodzice krzywo patrzą na hazard po tym, jak dziadek stracił na nim fortunę. Gdyby dowiedzieli się, że księżę jest zapalonym hazardzistą, z pewnością by go potępili. A wówczas wysłuchaliby Randolpha i przyjęli jego oświadczyzny. A ty, Anno, na pewno potrafiłabyś wyzwać Theodorika. Nikt tak łatwo nie potrafi wyprowadzić go z równowagi jak ty.

- Miałabym założyć się z księciem na pieniądze? Luizo, do czego

ty mnie namawiasz? - Anna nie mogła jednak powstrzymać się od śmiechu. - Jedną rzeczą jest się ścigać, a jeszcze inną robić to dla pieniędzy. Poza tym zbyt sobie cenię przyjaźń twoich rodziców. Zawsze byli dla mnie tacy życzliwi.

- Przecież nie jest z ciebie znowu taka świętoszka, Anno - przekonywała Luiza. - A mama i papa uznają ten wybryk za pomysł księcia i cała wina spadnie na niego. Poza tym nigdy nie dbałaś o to, co powiedzą inni.

- Tak, chyba masz rację. Jednak nie podoba mi się ten pomysł. Za kogo mnie bierzesz?

- Ale tutaj nie ma najmniejszego ryzyka. Przecież zawsze mówiłaś, że kobiety powinny mieć prawo robić dokładnie to samo, co mężczyźni. Sama panna Ridgely uczyła nas, że zawsze należy podejmować wyzwania.

Anna zamrugnęła oczyma.

- Nie sądzę, że będę zdolna to zrobić. Ojciec by mnie zabił. Ale właściwie książę jest mi winien jeden zakład - dodała. Była pewna, że jej siwki bez trudu pokonałyby gniadosze księcia. Jednak... To jest najbardziej szalony pomysł...

Luiza zarzuciła jej ręce na szyję.

- Wiedziałam, że nam pomożesz!

- Anno! Anno! Gdzie się ta dziewczyna podziewa? - dobiegło z dołu wołanie pana Ingersolla. Sądząc po rozanielonym głosie, panowie

byli w doskonałym nastroju po winie i cygarach. Właśnie opuszczali jadalnię.

- Do tylnych schodów! - rozkazała Anna.

Luiza ciaśniej otuliła się peleryną.

- Najdroższa Anno, będę ci wdzięczna do grobowej deski - szepnęła.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam - mruknęła Anna, upewniając się, czy przyjaciółka szczęśliwie dotarła do bocznych schodów, po czym przybrała obojętny wyraz twarzy i zeszła na dół. Wieczór, który zaczął się Jeremym Briggsem, a kończy wyprowadzeniem w pole księcia, z pewnością długo pozostanie jej w pamięci.

Panowie właśnie usadowili się w salonie, kiedy dziewczyna wpadła bez tchu do pokoju.

Po kilku butelkach starego porto na ich policzkach wykwitły rumieńce, a wzajemne stosunki stały się bardziej przyjacielskie.

- Ach, oto i moja córka! - oznajmił jowialnie pan Ingersoll. - Już zaczęliśmy podejrzewać, że zmęczyłaś się nami i poszłaś spać.

- To moja wina - powiedział książę. - Na temat win mógłbym rozmawiać godzinami, a co dopiero w towarzystwie człowieka, który wie o tym wszystko. Proszę wybaczyć, że pozwoliłem pani spędzić wieczór na samotnych rozmyślaniach, panno Ingersoll.

- Nigdy nie sądziłem, że spotkam kogoś, kto potrafi po zapachu

korca odróżnić Jermiada, rocznik 1803, od Heliosa 1798. Cóż to za genialny nos. Książę to po prostu geniusz.

Theo uprzejmie skłonił się panu Ingersollowi.

- To ja winienem panu wdzięczność za możliwość skosztowania tyłu wspaniałych gatunków porto. Jeszcze nigdy nie miałem okazji spróbować San Diego, rocznik 1805. Sądziłem, że to legenda.

- Zdaje mi się, że było to coś więcej niż degustacja - powiedziała ze śmiechem Anna. W środowisku, w którym mężczyźni dzielono na jedno-, dwu-, trzy- czy wręcz pięciobutelkowych, widok wielbicieli wina nie był Annie obcy.

Anna zadzwoniła na lokaja, by przyniósł kawę, po czym usiadła na sofie w pozie, jak sądziła, skromnej i pociągającej. Wcześniej usłyszała jak zamykają się drzwi wejściowe, mogła więc odetchnąć z ulgą i spokojnie zająć się rozmową. Po chwili Addle wniósł kawę a za nim wpadł służący, niosąc stolik do kawy. Ustawił go przed Anną, rzucając zaciekawione spojrzenie na księcia. Addle postawił tacę na stoliku i szepnął Annie na ucho, że lady Luiza bezpiecznie opuściła dom.

- Dziękuję, Addle. To na razie wszystko - odparła Anna.

Popychając przed sobą ciekawskiego służącego, Addle opuścił salon. Anna nalała kawy ze srebrnego dzbanka.

- Ze śmietanką i cukrem? - spytała słodko księcia. - A może woli pan czarną?

- Czarną, jeśli łaska. Jak już wspominałem, panie Ingersoll,



Batawia nie rozczaruje pańskich klientów.

- Czy wybiera się pan do Coldstone z księżną i księciem? - weszła mu w słowo Anna, podając ojcu filiżankę kawy.

- Tak - odpowiedział z lekka zdziwiony Theo.

- A więc będę miała przyjemność spotkać Waszą Wysokość - odparła, uśmiechając się do niego spod rzęs. - Czy smakuje ci kawa, papo?

- Nie wiedziałem, że wybierasz się do Coldstone - powiedział pan Ingersoll. - Kiedy się zdecydowałaś?

- Och, księżna właśnie mnie zaprosiła - odparła szybko. - Zapomniałam ci o tym powiedzieć. To tylko kilka dni, od piątku do poniedziałku. Zdążę wrócić na bankiet Cechu Winiarzy w środę.

- Skoro tak, to nie widzę przeszkód - zgodził się pan Ingersoll. Wziął z patery gruszkę i zabrał się do obierania jej nożykiem z rękojeścią z masy perłowej.

- Czy zamierza pan jechać swoim zaprzęgiem, księżę? - spytała z udaną obojętnością Anna, podając mu paterę z owocami.

- Tak - odparł, wybierając figę. Obrął ją ze skórki, po czym wbił w nią białe, mocne zęby, ani na chwilę nie spuszczał Anny z oczu.

- Zastanawiałam się, czy nie pojechać faetonem - powiedziała, wytrzymując jego wzrok.

- Ach tak. - Wytarł usta serwetką. Mogłaby przysiąc, że dojrzała w jego oczach błysk rozbawienia.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zorganizować wyścig, o którym mówiliśmy - powiedziała. Nalała sobie do filiżanki kawy uzupełniając ją śmietanką. Odczekała chwilę, aż książę zje figę. - Moglibyśmy uczynić naszą zabawę jeszcze bardziej emocjonującą - dodała.

- To brzmi obiecująco - powiedział, poprawiając się w fotelu. - O czym pani myśli?

- To będzie zależało od pana, ale zabawa mogłaby być wspaniała - Anna uniosła filiżankę do ust i spojrzała księciu w oczy.

- W to nie wątpię - odrzekł sucho, włożywszy resztkę figi do ust.

- Ponieważ jestem pewna zwycięstwa, niesprawiedliwością byłoby proponować wysoką stawkę. Odpowiada panu pięćset gwinei?

- Zgoda - powiedział bez zastanowienia, co zapewne było skutkiem wypitego w nadmiarze portu.

Na szczęście pan Ingersoll rozmyślał właśnie, jaką może podyktować cenę za pierwszy transport batawiańskiego szampana na rynku brytyjskim, w przeciwnym razie zabroniłby córce brać udział w zakładzie. Był bowiem zagorzałym przeciwnikiem wszelkiego rodzaju hazardu. Podobnie jak książę Coldstone uważał, że poker na zapałki jest jedyną formą hazardu, na którą może sobie pozwolić człowiek kulturalny. Samo życie dostarczało ciekawszych rozrywek niż jakiegokolwiek gry.

- Pozostaje tylko jedna kwestia, panno Ingersoll - odezwał się

książę.

- Jaka?

- Mam nadzieję, że przygotowana jest pani na przegraną - rzekł, obdarowując ją promiennym uśmiechem.

- Wręcz przeciwnie - odparła lodowato. - Szykuję się na zwycięstwo. Może jeszcze figę, Wasza Wysokość? Musi pan nabrać sił.

- Mam ich dosyć, pani. Aż za wiele, by osiągnąć swój cel.

Z uśmiechem podała mu paterę, myśląc jednocześnie, że jeszcze nigdy nie była równie lekkomyślna. Gdyby książę nie był takim arogantem, zrobiłoby się go jej żal. Z przyjemnością da mu nauczkę.

Rezydencja Coldstone rozpieierała się dostojnie wśród łagodnych wzgórz Devonshire sprawiając wrażenie egzotycznej i obcej na tle skromnego krajobrazu. Wnętrze odpychało chłodem i wilgocią, unoszącym się lekkim odorem pleśni i starzyzny. Jego źródłem były stare gobeliny, wiszące w wielkiej sieni od czasów Hunulfa Nieczystego, przodka, który na nieszczęście dla potomnych nie przepadł we mgle historii. Jego ponura postać została uwieczniona w scenach przedstawiających jego krwawe czyny.

Gobeliny te miały niepoślednią wartość historyczną, toteż opisane były w przewodnikach i przyciągały setki turystów w dni otwarte dla

zwiedzających. Goście, włącznie z księciem Theodorikiem, również zostali zaproszeni do ich obejrzenia, zwiedzili także galerię minstreli, salę ze zbrojami, galerię portretów, apartamenty reprezentacyjne, sypialnię królowej, w której spała królowa Elżbieta podczas swego tygodniowego pobytu wraz z licznym dworem w Coldstone. Pobyt ten omal nie doprowadził ówczesnego pana domu do bankructwa. Następnie goście zwiedzili sale ze zbiorami monet, bibliotekę, salon muzyczny, obejrzel bogate zbiory skał i minerałów, wypchane ptaki i zwierzęta, kolekcję starej i nowej broni, a wreszcie gigantycznych rozmiarów kulę splecioną ze sznurka przez jednego z ekscentrycznych protoplastów rodu, księcia numer osiem, który, z niewiadomych powodów, mieszkał w wieży będącej teraz ulubionym miejscem zabaw dzieci.

Zamek Coldstone od czasów Cromwella przestał być fortecą. Przeszedł wiele rekonstrukcji za panowania Tudorów i zyskał nowy blask dzięki wyprawom do Ameryki Południowej. Jedynymi pozostałościami po czasach tamtejszej świetności były cztery narożne wieże i baszta. Każdy następny gospodarz wprowadzał własne zmiany, mało jednak dbając o wygodę mieszkańców.

O wszystkim tym i wielu innych rzeczach dowiedział się książę Theodorik już podczas pierwszego dnia wizyty w Coldstone. Pędzono go w górę i w dół po wijących się schodach i korytarzach wynosząc pod niebiosa bogactwo, piękno budowli i wszystkich zgromadzonych w niej mebli. Gdyby duma mogła zamienić się w ogień, to miejsce płonąłoby

niczym wulkan, pomyślał Theo.

Kiedy gospodarz otworzył kolejne drzwi rzeźbione przez Luke'a Lightfoota, prowadzące do kolejnych pokoi, książę uśmiechnął się uprzejmie, starając się ignorować dreszcze przebiegające mu po plecach.

Caldstone'owie życzliwie traktowali przeciągi hulające po kamiennych podłogach, natomiast zimno i wilgoć, doskwierające w sypialniach, były niczym wobec znakomitości, które zamieszkiwały te pokoje.

- A w tej komnacie mieszkała królowa Anna - mówił książę, a Theo udawał zainteresowanie. Doskonale rozumiał, że ten obchód to forma wprowadzenia do klanu Coldstone'ów, ale marzył o rozpalonym kominku, miękkim fotelu, grogu i partyjce faraona.

Pradziad obecnego Coldstone'a po powrocie z podróży po Europie postanowił stworzyć włoski ogród ze starożytnymi posągami, ruinami, wodnymi ogrodami i domkiem pustelnika. Mieszkał w nim nawet pustelnik, lecz książę zwolnił go ze względów finansowych. Odtąd ogrodowa samotnia świeciła pustkami, smutno odbijając się w liliowym stawie. Goście mogli podziwiać ogrody różane, labirynt i fontanny, prowadzące ku oczku wodnemu, które było obiektem zazdrości niejednego arystokraty. Księżna z pasją oddawała się ogrodnictwu, a raczej nadzorowała pracę Szkota i małej armii robotników, bo sama nie brudziła wypielęgowanych dłoni ziemią. Niemniej jednak wszystkie projekty były jej, a wśród nich hiszpańskie murki we włoskim ogrodzie

fontann i tulipany Jana van der Voorsta wzdłuż głównej alei.

Książę Theo stwierdził, że wszystkie te cuda są o wiele starsze i bardziej okazałe niż pałac w Batawii. Zdawał sobie sprawę, że zaproszono go tu nie po to, by zrobić na nim wrażenie, lecz przede wszystkim, by przedstawić go rodzinie. Dlatego z całej Anglii zjechali tu wszyscy członkowie klanu, z całą świtą małżonków, dzieci i służby, wszyscy dumni, pewni swej wartości, jaką dawała im przynależność do rodu.

- Dobry Boże, ależ oni wszyscy są do siebie podobni - mruknął Johannes. - Jasnowłosi i bladzi jak duchy.

Wahał się, czy opuścić Londyn dla angielskiej wsi, lecz Theo nawet nie chciał słuchać wykrętów.

- Chcę cię mieć na oku - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Nie pozostawało więc Johannesowi nic innego, jak tylko ciężko westchnąć i kazać swemu kamerdynerowi spakować bagaż. Zresztą westchnienie to zawierało w sobie spory ładunek ulgi: ostatnio damy i wierzyciele zaczęli zbyt na niego naciskać.

- Tylko nie oczekuj, że będę się świetnie bawił - ostrzegł. W głębi duszy zaś miał nadzieję, że uda mu się pokrzyżować kuzynowi plany, lecz tylko jeśli nie będzie to wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Tamten drobny epizod w parku był niezwykle wyczerpujący. Wszystko poszło na marne, o czym musiał poinformować swojego współnika. W dodatku Theo zrobił się diabelnie ostrożny. Johannes zauważył to, choć książę

nigdy z nim o tym nie rozmawiał. Zresztą on nigdy z nim nie dyskutował na żadne tematy.

Można by przypuszczać, że wszystkie cuda rezydencji Coldstone'ów robią na Johannesie wrażenie. Nic bardziej mylnego. Po pałacach Europy ten zamek przerażał go chłodem, nie mówiąc już o jedzeniu i rozrywkach.

Pokój, który mu przydzielono, mieścił się w skrzydle Tudorów. Znajdował się w nim gigantyczny kominek, z którego dobywała się ledwo wyczuwalna smuga ciepła. Wicher uderzał w okiennice i targał zasłony. Prześcieradła były wilgotne, a gorąca woda po przeniesieniu z oddalonej o ćwierć mili kuchni stawała się letnia. Jego kamerdyner, zbyt dobrze wyszkolony, by głośno się skarżyć, chodził z miną męczennika, dając tym do zrozumienia, że panujące tu warunki pozostawiają wiele do życzenia.

W rezultacie kiedy Johannes zszedł tego wieczoru na kolację, prezentował się nie najlepiej. Fular, zwykle po mistrzowsku zawiązany, tym razem nie wyglądał dobrze, a do tego kamerdyner nie wyprasował mu sznurowadeł.

Po daremnej wędrówce po krętych korytarzach trafił w końcu na sympatycznego lokaja, którego zadaniem było wskazywanie gościom drogi do jadalni - olbrzymiej sali ze sklepionym sufitem i ścianami zawieszonymi gobelinami, kominkiem z tłącymi się węglami i długim stołem, przy którym siedział tłum Coldstone'ów obrzydliwie

wystrojonych i wpatrujących się w niego zimnym wzrokiem.

Na środku stołu stała olbrzymia srebrna patera, rozmiarem zbliżona do fontanny ogrodowej, która przypominała wielką rozkraczoną żabę. Był to prezent od Ludwika XIV dla dziewiątego księcia Coldstone, ale nikt nie pamiętał, z jakiej okazji.

Ku przerażeniu Johannesowi posadzono go między starą, wyniosłą i kompletnie głuchą damą w turbanie a bezbarwną młodką w ozdobie z piór na głowie, która na każdą jego uwagę reagowała chichotem. Dla mężczyzny, który uwielbiał konwersację, była to prawdziwa tortura.

Posiłek, jak na gust hrabiego, był nędzny. Na początek podano ciekłą zupę żółtawobrunatnej barwy i nieokreślonego smaku. Następnie wniesiono kolejno siedem dań, przyrządzonych w typowo angielski sposób, to znaczy gotowanych lub spalonych na węgiel, bez smaku, a na koniec podano przejrzałe sery, suszone owoce i sorbet, który wbrew panującemu chładowi był roztopiony.

Porto, mówiąc delikatnie, było bez smaku. Johannes dziwił się, że Theo może je pić. Kuzyn znany był z wybredności, jeśli chodzi o alkohole.

Rozmowa po opuszczeniu przez panie jadalni była tak mdła, że omal nie przyprawiła Johannesowi bólu zębów i wydawała się trwać w nieskończoność. Wreszcie gospodarz wstał od stołu proponując, by ponownie dołączyli do dam. Nadzieja na towarzystwo pięknych pań podniosła Johannesowi ducha. Niestety i tu czekało go rozczarowanie:



damy, tak jak porto, nie stawały się lepsze wraz z upływem czasu. Zgromadziły się wokół maleńkiego ognia w kominku, drżąc z zimna, a ich dekolty i ręce zrobiły się niebieskosine. Powitały panów entuzjastycznie, jako że wraz z nimi miano nareszcie podać gorącą, parującą kawę.

Johannes rozejrzał się po salonie i doszedł do wniosku, że pobyt w Coldstone nie będzie tak straszny, jak z początku sądził. Będzie nawet gorszy. W tych żółtowłosych, bladych Coldstone'ach tkwiło coś, co odbierało mu chęć do życia. Lady Luiza była bezsprzeczną pięknnością, lecz na niej kończyła się lista pięknych kobiet tego rodzaju. Nawet w rodzinach małżonków Coldstone'ów na próżno szukać by interesującej panny, z którą mógłby poflirtować, pograć w karty, jednym słowem znośnie przeżyć tę wizytę.

Sama księżna Coldstone, ze swoimi pobożnymi skłonnościami, które drażniły jego libertyńską duszę, i ogrodniczą pasją śmiertelnie go nudziła. Nie potrafił odróżnić kamelii od żonkila i nie można powiedzieć, by z tego powodu szczególnie cierpiał. Natomiast jedynym zainteresowaniem księcia była wyłącznie historia rodu. Johanna, potomka szlacheckiej rodziny o barwnej historii, śmiertelnie nudziły losy jakiegóż porządnej rodziny angielskiego księcia, który był wiernym mężem, dobrym ojcem, uczciwym panem, członkiem Izby Lordów i potwornym nudziarzem.

Kiedy kilka dam i paru młodzieńców zaczęło prosić Luizę, by

zechciała ich zabawić starymi balladami i grą na harfie, Johannes miał ochotę krzyknąć z przerażenia.

- Nic tak mnie nie usypia, jak łzawe stare ballady - syknął do ucha Theodorikowi, który jak mógł, starał się przyjmować wszystko z entuzjazmem. Siedział sztywno jak manekin na połączonym krzeselczku, zdając sobie sprawę, że wszystkie oczy Coldstone'ów są w niego wpatrzone.

Po krótkim wahaniu Luiza zgodziła się roztoczyć przed gośćmi swe talenty. Dwóch lokajów wniosło olbrzymią złożoną harfę, znacznie przewyższającą rozmiarami mającą grać na niej dziewczynę. Uproszono też żonę dziedzica Coldstone'ów, by akompaniowała Luizie na fortepianie. Jeden z młodzieńców miał przewracać strony i tak mały zespół począł wygrywać angielskie pieśni i ballady. Prawdopodobnie cały ten występ miał udowodnić księciu, jak utalentowaną pannę będzie miał szczęście wziąć za żonę.

Johannes miał dobry słuch i znał się na muzyce. Niestety, lady Luizie, choć obdarzonej ładnym głosem, brakowało pasji, zaś lady Seabright ciągle się myliła. Dlatego Johannes zżymał się w duchu, choć przyłączał się do bezkrytycznego aplauzu na koniec każdego utworu. Już zaczął rozważać, jak tu niepostrzeżenie wyniknąć się z salonu, kiedy jego wzrok padł na pułkownika Rodneya, siedzącego u boku księcia.

Theo słuchał uprzejmie, choć Johannes dostrzegł znużenie ukryte pod maską uprzejmości. On również miał wyśmienity słuch i krzywił się,

kiedy pianistka uderzała w zły klawisz. Natomiast pułkownik z rozchylonymi lekko wargami, rozgorączkowanym wzrokiem i zaróżowionymi policzkami patrzył na Luizę. Johannes przyjrzał się z kolei obiektowi tej jakże namiętnej obserwacji. Lady Luiza szarpała delikatnie struny, śpiewając smutną balladę o nieszczęśliwej miłości i rzucając pułkownikowi wymowne spojrzenie.

Oni są zakochani! Dziedziczka Coldstone'ów i ten młody żołnierz są zakochani, pomyślał Johannes. Interesujące odkrycie. Nie, żeby współczuł nieszczęśliwie zakochanej parze. Obce były mu tkliwe uczucia, a tym bardziej litość. Pomyślał jedynie, że Rodney jest głupcem, pozwalając innemu mężczyźnie odebrać sobie ukochaną kobietę, szczególnie że rywal wcale o nią nie dba.

Johannes odchylił się na oparcie fotela i przymknął oczy. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. To właśnie takie nikomu nie znane fakty, dotyczące bardzo znanych ludzi, nadawały sens jego życiu.

Powoli panowie, jeden po drugim, zaczęli opuszczać salon w poszukiwaniu innej rozrywki, czy to przy stole bilardowym, czy karcianym. Jak pies myśliwski podniecony zapachem zwierzyny, Johannes poczuł jak wraca mu chęć do życia. Wymknął się z salonu i począł krążyć po zamku w poszukiwaniu ofiary.

Księżna czytała zbiór kazań Sydneya Smitha, a pokojówka rozczesywała jej włosy, kiedy do sypialni żony wkroczył książę.

- To wszystko, dziękuję, Adams - powiedziała do służącej, w lot zrozumiałwszy, że mąż pragnie porozmawiać z nią sam na sam.

Gdy kobieta wyszła, księżna usiadła głębiej w fotelu, patrząc jak mąż nerwowo spaceruje po pokoju, przyglądając się kolekcji figurek z porcelany. Przyzwyczajona do dziwactw męża, cierpliwie czekała, aż pozbiera myśli.

- Hm - odchrząknął wreszcie. - Ten nasz książę podróżuje dość skromnie, nie uważasz? Tylko stajenny, kamerdyner i ten kuzyn. Żadnej świty należnej jego pozycji.

- Chyba nie przywiązuje wagi do pozycji. Pamiętasz wizytę regenta...

- Proszę cię, Honorio, nie przypominaj mi o tym - westchnął. - Za każdym razem, kiedy spoglądam na południowy trawnik, ogarnia mnie uczucie bezradności. Każdy inny mężczyzna pośledniejszej klasy zawrzałby gniewem.

- Czyżbyś miał jakieś wątpliwości co do księcia?

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- W rzeczy samej. Martwi mnie, że nasza ukochana Luiza będzie musiała opuścić kraj.

Księżna zamknęła książkę z kazaniami.

- Doskonale cię rozumiem. Kiedy patrzę na naszą rodzinę, serce przeszywa mi ból na myśl, że naszej Luizy wśród niej nie będzie. Ale to bez znaczenia, mój drogi. Luiza wie, co do niej należy.

- To oczywiste, Honorio. Jeżeli księżę oświadczy się w tym tygodniu i Luiza go przyjmie, chyba będziemy musieli pobłogosławić ten związek.

- Ostatnio Luiza dziwnie się zachowuje - mruknęła księżna. - Gdyby nie była tak wysoko urodzona, posądzałabym ją o to, że się zakochała.

- Zakochała?! - wykrzyknął księżę. Miłość była dla niego wulgarnym uczuciem, właściwym niższym klasom, nie licującym z księżęcą córką. - Na Boga!

- Właśnie - stwierdziła księżna.

- Księżę to przystojny mężczyzna, ale chyba daleko mu do Romea.

- Luiza była dobrze pilnowana, ani na chwilę nie zostawiono ich samych.

- Więc przypuszczasz, że zakochała się w kimś innym? - zapytał księżę.

- Ostatni raz zakochała się w drugim lokaju, kiedy miała dwanaście lat. Od tej pory miłość jej nie przystoi.

- Więc może to tylko zdenerwowanie. W każdym razie będziemy oczekiwać, że księżę zdeklaruje się w tym tygodniu.

- A jeśli nie? - zapytała księżna uderzona nagłą myślą. - Pamiętasz księcia Devonshire? Sally Althorp liczył na to, że tamten wreszcie poprosi o rękę Georginy, a tymczasem księżę wyrzucił ich z domu. Tym razem tak nie będzie - dodała po chwili. - Księżę doskonale wie, co do

niego należy. On ma więcej rozumu niż Devonshire. Randolph twierdzi, że to dżentelmen w każdym calu.

- Och, Randolph to wspaniały młodzieniec. Zawsze go lubiłem. Kuzyna Roberta zresztą też, a Randolph wrodził się w ojca. Wie, co to rodzina, zna swoje obowiązki. Kiedy to wszystko się skończy, postaram się dla niego o posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Z pomocą opiekuna może daleko zajść? - Spojrzał na małżonkę. - O czym myślisz?

Księżna pokręciła głową, po czym włożyła nocny czepek i zawiązała go mocno pod brodą. Jej wzrok napotkał oczy męża w lustrze.

- Tak tylko się zastanawiam - powiedziała wolno. - Jak miło by było, gdyby Randolph był lepiej sytuowany. Jest bardzo dalekim kuzynem Luizy, w dodatku Anglikiem, a nie jakimś tam cudzoziemcem, który wywiezie nam córkę z kraju.

- Myślisz o czymś? - zapytał księżę.

- Może - odparła i skrzyżowała ramiona. - Jeśli Luiza rzeczywiście jest zakochana w księciu Theodoriku, to nie ma o czym mówić.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, to już sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Jedyne, czego możemy być pewni, to plotek, które wybuchłyby w mieście, gdyby księżę się nie oświadczył. A ja nie zniosę skandalu.

- Ani ja. - Wstał. - Zobaczymy, jak się sprawy rozwiną. Bardzo jestem zadowolony, że odbyliśmy tę rozmowę. - Pochylił się i musnął wargami jej skroń. - Zobaczymy, co będzie dalej. Jutro przyjeżdża panna

Ingersoll.

Księżna uśmiechnęła się.

- Kochana Anna. Zawsze potrafi ożywić towarzystwo. Dobranoc, kochanie.

8

Grupa myśliwych wyruszyła na polowanie na długo przed tym, jak pozostałym gościom podano do łóżek poranną czekoladę. Księżę Coldstone, księżę Theodorik, lord Seabright, pułkownik Rodney i kilku kuzynów, z niemałym rwetesem opuścili zamek o świcie.

Ich hałaśliwy odjazd wyrwał Johannesesa z głębokiego snu. Trzeba jeszcze tyle rozważyć, a zostało niewiele czasu. Wypadek na polowaniu, choć korzystny, mógłby przyciągnąć zbyt wielu świadków. Johannes ziewnął, poprawił poduszkę i zapadł w sen. Śniło mu się, że wykorzystał to, czego się dowiedział o pułkowniku i Luizie.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Dlatego zjawił się na śniadaniu o dziewiątej. Niestety okazało się, że jest jedyną osobą w jadalni. Nałożył sobie na talerz szczodłą porcję jaj, zimnej wołowiny, szynki, gulaszu z nerek, dodał do tego kilka bułek i usadowił się przy długim stole z „Morning Post” w rękę. Właśnie miał sobie nalać drugą filiżankę kawy, kiedy usłyszał turkot wjeżdżającego na podjazd powozu. Po niecałym kwadransie do jadalni wkroczyła panna Ingersoll, odziana

w strój podróżny. Wyglądała niezwykle pociągająco w ciemnej pelisie koloru wina. Ciemne loki przykrywał toczek *a la russe*, a na nogach miała kozaczki z koziej skóry. Chłodne powietrze zabarwiło jej policzki na różowo, a oczy lśniły ożywieniem. Nietrudno było zgadnąć, że sama powoziła faetonem.

- Cóż to była za jazda! - zawołała wesoło. - Jaki piękny poranek! A droga od Hammersmith prawie pusta. - Proszę mi wybaczyć zakurzony strój - dodała po powitaniu. - Ale wszyscy jeszcze śpią, to jest prócz tych, którzy polują na biedne kaczki i kuropatwy. Umieram z głodu, więc nie będę czekać ze śniadaniem na nikogo. - Mówiąc to nałożyła sobie sporą porcję i usiadła przy stole. - A pan, hrabio, nie poluje? - zapytała.

- Nie gustuję w krwawych sportach - odparł Johannes. - Ale cieszę się, że pani przyjechała, panno Ingersoll.

Anna spojrzała na niego pytająco.

- Szczerze mówiąc, stęskniłem się za inteligentną rozmową i miłym towarzystwem - wyjaśnił, obdarzając Annę promiennym uśmiechem.

- Dziękuję - odparła wesoło.

Ku niewymownej wdzięczności hrabiego zadzwoniła po lokaja i kazała mu podsycić ogień w kominku. Lokaj dosypał węgla, po czym dyskretnie wyszedł.

- Teraz ja dziękuję, panno Ingersoll. Proszę mi powiedzieć, czy wszystkie angielskie domy są takie zimne? - Miał tak zasepioną minę, że



Anna uśmiechnęła się mimowolnie.

- To Coldstone'owie są wyjątkowo zimni - wyznała.

- Kiedy ktoś chowany jest w zimnie, nie czuje chłodu.

- Posmarowała bułeczkę i jadła ją w milczeniu. - Z pewnością w Batawii ma pan podobny pałac - odezwała się po chwili.

- O nie, moje apartamenty zawsze są odpowiednio ogrzewane. Moja rodzina ma delikatniejszą konstrukcję fizyczną. Nie znosimy chłodu. Podobnie jak Mary Stuart. Czy to nie ona tak strasznie narzekała na zimno panujące w Hardwick?

- Doskonale zna pan angielską historię - stwierdziła z uznaniem Anna.

Johannes uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Och, wiem dość dużo. Moja matka, choć jej poglądy brzmiały całkiem obco w jej czasach, była intelektualistką. Nauczyła mnie szacunku dla kobiet o niezwykłej inteligencji, takich jak pani, panno Ingersoll.

Wyraźnie pochlebił jej ten komplement.

- Tak rzadko spotyka się mężczyznę, który rozumie kobiety - odparła. - Większość mężczyzn, w tym niestety pański kuzyn, uważa kobiety za istoty pośledniejszego gatunku. Nawet najgłupszy z nich.

- Tak, to smutna prawda - przyznał Johannes. - Umysł taki jak pani z pewnością nie pozwoliłby, by uszło jej uwagi... Och, za wiele mówię. Proszę wybaczyć mi ten brak dyskrecji.

- Aby co nie uszło mej uwagi? - zapytała zaciekawiona.

- Nie mogę tego powiedzieć. Proszę mi wybaczyć, pozwoliłem sobie na zbyt daleko idącą szczerość. Zmieńmy temat.

Tak jak przewidywał, połknęła przynętę.

- Hrabio von Hazloe, chciał mi pan coś powiedzieć, a potem się wycofał. Nie uda się panu niczego przede mną zataić.

- Nie mogę tego powiedzieć. Popełniłbym niedyskrecję.

Lecz Anna nie poddawała się i po chwili, udając niechęć, Johannes ustąpił.

- Dobrze więc, powiem to pani, lecz tylko dlatego, że mogę polegać na pani dyskrecji - powiedział, nachylając się ku Annie. - Jest pani bliską przyjaciółką lady Luizy, więc zna wszystkie jej sekrety.

- Tak, to znaczy.... - Anna spojrzała na niego podejrzliwie. - Co się stało?

Johannes wyglądał na zmartwionego.

- Och, nic takiego. Po prostu zauważyłem, że pułkownik Rodney i lady Luiza...

- Mój Boże - szepnęła Anna. Odłożyła widelec. - Co ma pan na myśli? - zapytała ostrożnie.

- Droga panno Ingersoll, proszę mi wierzyć, że ma pani we mnie sprzymierzeńca. Jestem po waszej stronie. Serce ścisnęło mi się wczoraj na widok tych dwojga. - Widząc wyraz twarzy Anny, Johannes opowiedział, czego był świadkiem, tylko odrobinę ubarwiając całe

zdarzenie. - Jestem człowiekiem spostrzegawczym, panno Ingersoll. Widzę to, czego inni nie zauważają. Serce mi się krajało, kiedy lady Luiza śpiewała tę smutną balladę. *C'est triste, ca.* A potem ten wzrok pułkownika, dzielnego żołnierza... Jakże smutne jest to, że marzenie jego serca nigdy się nie spełni.

- To doprawdy niezwykle wzruszająca historia, panie hrabio, jednak nie wierzę, że mamy tu do czynienia z wielkim romanssem - powiedziała sucho Anna.

Och, jacy oni są nieostrożni, pomyślała zirytowana. Gdybym tu nie przyjechała, wpadliby w tarapaty.

W normalnych okolicznościach pochlebstwa zapewniłyby Johannesowi zwycięstwo, jednak panna Ingersoll okazała się bardziej ostrożna niż sądził.

- Z pewnością pan się myli - mruknęła.

Johannes pochylił się do przodu.

- Panno Ingersoll, jestem po waszej stronie. Mój kuzyn to godny podziwu człowiek, nie sądzę jednak, by był właściwym kandydatem na męża dla uroczej lady Luizy. - „Uroczą lady Luizę” zabrzmiała tak dźwięcznie, że Johannes zapragnął powtórzyć te słowa, jednak gdy rzucił okiem na Annę, postanowił, że będzie trzymać się faktów. - Nikt tak dobrze nie zna mojego kuzyna, jak ja, panno Ingersoll - wyznał. - Jest arogancki, dumny i uparty. - Widząc, że trafił w dziesiątkę, ciągnął dalej: - Nie jest mężczyzną stworzonym dla lady Luizy. Nigdy nie byłiby

szczęśliwi. Proszę sobie ją wyobrazić, samiuteńką w obcym kraju. I tylko ze mną do towarzystwa. W dodatku wszystkie damy w Batawii byłyby wściekłe, że ksiązę ożenił się z cudzoziemką. Umarłaby tam z tęsknoty. Batawia to taki ciepły, słoneczny kraj. - Johannes przykrył dłonią rękę Anny. - Panno Ingersoll, jeśli istnieje jakiś sposób połączenia lady Luizy i tego wspaniałego pułkownika - dodał nieszczerze, gdyż nie znosił Rodneya tak samo jak swojego kuzyna - to jestem po waszej stronie.

- Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć - mruknęła Anna.

- Proszę to przemyśleć. I proszę pamiętać, że ma pani we mnie, Johannesie von Hazloe, oddanego przyjaciela.

Nie zdążyli już nic więcej powiedzieć, bo do jadalni weszło dwóch kuzynów Coldstone'ów. Hrabia jednak był pewien, że jego podejrzenia nie są bezpodstawne. Postanowił zaczekać na odpowiedni moment i pokierować sprawami tak, by obróciły się na jego korzyść. Niestety, poczuł się naraz tak wycieńczony myśleniem, że udał się do biblioteki, gdzie znalazł spokój, z dala od wszystkich Coldstone'ów.

Właśnie kiedy miał wpaść w objęcia Morfeusza, do biblioteki wbiegli dwaj chłopcy Seabrightów, lord Gerald i Charles, a za nimi czterech czy pięciu kuzynów, którym udało się wymknąć spod opiekuńczych skrzydeł nian, i zaczęli bawić się w Indian. Johanna uznali za jeńca. Związali go sznurami od zasłon i zostawili. Wołania o pomoc usłyszała pokojówka odkurzająca pokoje i zastała go leżącego na

podłodze, kiedy usiłował uwolnić się z więzów. Niestety, wzięła hrabiego za rodzinnego ducha, Arabelle Coldstone, której straszliwe, pozbawione głowy widmo nawiedzało to skrzydło zamku. Narobiła takiego wrzasku, że ściągnęła majordomusa i kilku lokajów.

Rezultatem tego zamieszania były pogłoski, że hrabia von Hazloe należy do tych bezczelnych mężczyzn, którzy pozwalają sobie na zbyt wiele z pokojówkami. Nie zyskał sobie tym popularności wśród służby, która już wcześniej zauważyła, że nie lubi dawać zbyt szczodrych napiwków. Od tego dnia życie hrabiego w Coldstone stało się jeszcze większą udręką.

Kiedy plotka dotarła do uszu księżnej, ta pokręciła głową.

- Cóż za zuchwalec! Moi kochani wnukowie to przecież anioły. To typowe dla cudzoziemców zrzucać całą winę na niewinne dzieci.

Poleciała majordomusowi mieć Johannes na oku.

- W dzisiejszych czasach trudniej jest znaleźć dobrą pokojową niż jakiegoś hrabiego - stwierdziła rozsądnie.

Johannes, który zarzucał sieci na znacznie bogatszą i szlachetniejszą rybkę niż pokojowa, czułby się straszliwie poniżony, gdyby wiedział, o co go posądzają. Jednak nieświadomość nie zawsze bywa błogosławieństwem.

Tymczasem lady Luiza obudziła się i przywitała przyjaciółkę z taką radością, jakby od lat jej nie widziała. Kiedy Luiza wypita gorącą

czekoladę, a Anna zdjęła kapelusz i rękawiczki, oraz odświeżyła się po podróży, dziewczęta usiadły do rozmowy.

- Wyjechaliśmy z Londynu z Józefem przed świtem. Kazałam pokojówce wyruszyć z kuframi pocztowym dyliżansem. Powinna być tu po południu. Nie było sensu brać jeszcze jednego zaprzęgu. W stajniach twojego ojca i tak jest dość koni Coldstone'ów. Cóż to była za wspaniała podróż! Poranek był taki świeży, a na drogach prawie żadnego ruchu. Przemierzyliśmy tę odległość w pięć godzin.

Anna opadła na łóżko Luizy i wzięła z tacy grzanekę.

- Keating oczywiście chciała z nami jechać, bo pannie nie przystoi podróżować z samym tylko służącym, nie mówiąc już o prowadzeniu faetonu. Ale Józef jest jeszcze bardziej wymagający, jeśli chodzi o moje zachowanie niż ojciec.

- Och, jakże się cieszę, Anno, że wreszcie tu jesteś. Nie wyobrażasz sobie, w jakim stanie jest Randolph. Uważa, że cały ten nasz pomysł to czyste szaleństwo i że jego przyjaźń z księciem jest w niebezpieczeństwie. Dobrze, że pojechali dziś na polowanie, więc księżę Theodorik nie będzie miał okazji porozmawiać z papą.

- Ja zaś muszę was oboje ostrzec, byście byli ostrożniejsi. Dziś rano przy śniadaniu hrabia Johannes powiedział mi, że widział jak wymieniacie spojrzenia. Zaproponował swą pomoc. - Ugryzła grzanekę. - Zimna. Podaj mi tego pysznego dżemu truskawkowego - powiedziała, sięgając po łyżeczkę.

- Co?! Hrabia nas widział? A my tak bardzo staraliśmy się być dyskretni.

- Żadnych skradzionych chwil sam na sam w labiryncie? Ani ukradkowych spotkań w galerii obrazów? Co się z wami dzieje? - Anna nałożyła sobie dżemu na grzanekę.

- Kiedy jest się pewnym, że człowiek ma przed sobą wspólne życie, nie potrzeba kraść kilku nędznych chwil. Jesteśmy Coldstone'ami.

- Luiza odrzuciła do tyłu włosy.

- Nie byłabym taka pewna, że nasz spisek się uda - powiedziała Anna, zlizując dżem z palców. - Może jednak powinniście ukraść tych parę momentów, póki macie jeszcze okazję.

Lecz Luiza, która mało знаła świat, nie traciła optymizmu.

- Oczywiście, że się uda. Papa będzie wściekły na księcia.

- Skoro w to wierzysz. Ja jednak nie byłabym taka pewna. Poza tym księżę może wygrać wyścig. Och, co za wstrętna myśl!

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Jakkolwiek wyścig się skończy, papa będzie wściekły. Założyliście się o pięćset gwinei! Już wczoraj fukał na wuja Louisa i kuzyna Ruperta za to, że grali z hrabią na półkoronówki.

- Na mnie też będzie zły.

- Ale on nie potrafi długo się na ciebie gniewać - odparła Luiza. - Oboje z mamą za bardzo cię lubią. - Popijała czekoladę, przyglądając się Annie znad filiżanki.

- Cokolwiek ma się stać, niech się stanie - powiedziała Anna i podeszła do okna. - Chyba będzie padać śnieg.

Chmurzy się - powiedział Theo do Randolpha. Pułkownik spojrział w niebo, na którym kłębiły się czarne chmury.

- Tak, chyba zanoszą się na śnieg.

- Na to wygląda - przytaknął książę, nie patrząc na przyjaciela.

Potał dłonie, chcąc się trochę rozgrzać. Panowie oddalili się nieco od pozostałych myśliwych, jadąc przez brązowe pola ku zamkowi. Polowanie było udane. Gajowi tropili zwierzynę, psy ujadały, ładowacze ładowali fuzje. Zastrzelono kilkadziesiąt kuropatw i zużyto kilka uncji prochu. Myśliwi zjedli obfity lunch zakrapiany szkocką whisky. A co w tym wszystkim było najprzyjemniejsze, to męskie towarzystwo i męskie zajęcie, z dala od kobiet i ich świata pełnego sztywnych konwenansów.

- Książę czy robotnik, każdy musi sobie czasem zapolować - podsumował krótko książę. - Przypominają mi się stare, dobre czasy - dodał - kiedy biegaliśmy po polach. Pamiętasz, że nigdy nie mogliśmy rozpalić ogniska w obawie, by nie wytropili nas Francuzi?

Przez twarz Randolpha przemknął uśmiech.

- Pamiętam. Mój Boże, to były czasy. Ale przeżyliśmy.

- Zziębnięci, mokrzy, głodni, ale żywi. Ten cały luksus ma zupełnie inny smak po tamtych przeżyciach.

- To prawda.



- Wyczuwam, że coś cię niepokoi. Mam takie wrażenie od dwóch tygodni. Czekam, aż wyjawisz mi, co cię dręczy. Ty jednak milczysz. Randolphie, co cię gnębi? Pieniądze? Kobieta? No, przyjacielu, nie ma rzeczy, o których nie mógłbyś mi powiedzieć. Może będę w stanie ci pomóc.

- Wasza Wysokość... Theo - zaczął Randolph stając. - Do diabła, dlaczego tak mi utrudniasz?

Theo zatrzymał się i spojrzał na ściągniętą twarz przyjaciela.

- A więc to aż tak poważne?

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo - przyznał zakłopotany Randolph. - Jestem twoim przyjacielem, a zrobiłem najgorszą rzecz jaką przyjaciel może zrobić przyjacielowi.

Theo zmarszczył brwi.

- Cóż takiego zrobiłeś? Mów, proszę. Na Boga, to chyba nie ty strzelałeś do mnie wtedy w parku?

Randolph spojrzał na niego zaszokowany.

- Ktoś do ciebie strzelał? W parku? O czym ty, u licha, mówisz?

Theo przyjrzał mu się bacznie. Na tyle dobrze znał Randolpha, by wiedzieć, że to zdumienie nie jest udawane. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia nikomu nie ufał od kiedy wstąpił na tron, nawet przyjacielom.

- To zdarzyło się tego dnia w parku, kiedy pojechałem na przejażdżkę z panną Ingersoll - wyjaśnił. - Ktoś do mnie strzelał. To

znaczy, wtedy sądziłem, że to przypadek, ale potem zacząłem się zastanawiać i...

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym? Dlaczego nikomu nie powiedziałeś? A Anna, czemu ona milczała?

- Bo ją o to prosiłem. Przekonałem ją, że to był wypadek, że ktoś bawił się pistoletem, ale kula drasnęła mnie w policzek. Na szczęście niegroźnie. Tylko jej siwki się spłoszyły i poniosły. Moich ludzi w rezydencji przekonałem, że to nic poważnego.

- Czy myślisz, że twoi wrogowie znowu cię ścigają? Sądziłem, że wszystko zostało załatwione, kiedy ponownie zwołano parlament Batawii.

- Najwidoczniej nie. Myślałem, że wszyscy moi wrogowie są na wygnaniu, dzieląc los z kolaborantami Bonapartego. Niestety, okazało się, że wśród moich ludzi kryje się zdrajca opłacany przez moich przeciwników. Ktoś, komu zależy na tym, by pozbyć się mnie tu, na angielskiej ziemi. Byłoby to ze szkodą dla kontraktów handlowych z Anglią. Musielibyśmy wówczas układać się z francuskimi winiarzami. W efekcie Batawia nie miałaby szans na niezależność ekonomiczną.

- A ja myślałem... miałem nadzieję, że kiedy odzyskałeś tron, opozycja pojęła jaką głupotę jest sprzeciwianie się woli narodu - odparł Randolph. - Podejrzewaliśmy zawsze, że wciąż istnieją jednostki, które nie życzą ci dobrze, ale...

- Liczyłem na to, że wejdą do opozycji parlamentarnej i ich

działalność obróci się na korzyść kraju - powiedział Theo. - Miałem nadzieję, że po przywróceniu wolnych wyborów ludzie zrozumieją, że nie mogą rządzić tylko bogaci i silni, lecz wszyscy.

- To sprawka Johannesesa, prawda?

Theo zaśmiał się i klepnął przyjaciela po plecach.

- Kiedy mamy do czynienia ze spiskiem przeciwko mnie, zawsze dopatrujesz się w tym udziału Johannesesa. A jak myślisz, po co go tu przywiozłem? Z pewnością nie z sympatii do tego głupca, lecz by mieć na niego oko. Nie, Randolphie, on jest tylko instrumentem w czyichś, daleko bardziej przebiegłych i silnych rękach. Mam jednak przeczucie, że tylko poprzez niego dotrę do zdrajców. Mam swoich podejrzanych.

- Tu książkę wymienił dwa nazwiska Batawiańczyków, znane Randolphowi. Obaj byli szlachcicami i obaj wzbogacili się pod panowaniem kuzyna Bonapartego.

- Trzymamy ich pod ścisłą kontrolą. Dzięki Bogu, wciąż istnieją ludzie, którym mogę ufać.

Randolph zadrzał.

- Nie zazdroszczę ci. Gdybym był na twoim miejscu, dawno bym to wszystko rzucił.

- Nie mogę - odparł Theo. - To mój obowiązek.

- Więc co teraz zrobimy? Nie zostawię cię samego. Jedna informacja do Ministerstwa Spraw Zagranicznych....

- O nie! Przynajmniej na razie. Wolę sam się z tym uporać. Sądzę,

że póki pozostaję tu, w Coldstone, jestem bezpieczny. Te rzezimieszki wolą publiczne miejsca od prywatnych posesji. Po tej porażce spróbują jeszcze raz. Nie wiedzą jednak, iż jestem czujny i gotowy na spotkanie z nieznanym albo znanym mordercą. - Theo spojrział na przyjaciela. - Nie z takimi rzeczami dawałem sobie radę. - Uśmiechnął się szatańsko i przez krótką chwilę znów był młodym żołnierzem. - Przetrwam i to. A teraz dość tego. Mów, co cię przygnębia, pułkowniku.

Randolph westchnął ciężko, przeczesując ręką jasne włosy.

- Jak mogę po tym, co mi powiedziałaś? - zapytał. - Masz dość własnych zmartwień.

- Może uda mi się odjąć trochę tych cierpień - powiedział wesoło książę. - No już, wyrzuć to wreszcie z siebie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Cokolwiek to jest, z pewnością nie dorówna tamtej nocy, kiedy Francuzi okrążyli nas w tej małej wiosce.

- Czuję się jak wtedy, kiedy napierali na nas ze wszech stron. - Pułkownik wzdrygnął się na tamto wspomnienie.

- A jednak wyszliśmy z tej potyczki bez szwanku i straciliśmy tylko jednego człowieka, co zakrawało na cud.

- To prawda. Och, Theo, gdyby to było takie proste jak wojna. Kiedy w sprawy zamieszane są kobiety, wszystko potwornie się komplikuje. Myślałem, że jeśli ja jej nie mogę poślubić, to przynajmniej ty dasz jej szczęście. Nie miałem pojęcia, że ona odwzajemnia moje uczucia. Do diabła! Dlaczego tak trudno jest mówić o miłości?

- Bo jesteśmy żołnierzami - odparł Theo. Położył rękę na ramieniu przyjaciela. - Mów prosto z mostu. Kochasz lady Luizę?

- Tak! - jęknął Randolph z bólem w głosie.

Ku jego najwyższemu zdumieniu, Theo wybuchnął gromkim śmiechem.

- Nie sędzę, by w tym było coś śmiesznego - burknął Randolph. - Mówimy przecież o damie.

- Tak, tak, o pięknej kobiecie, prawdziwej bogini. Jeśli oczywiście lubisz bladolicie blondynki. Jest wszystkim, o czym może marzyć mężczyzna. Gratuluję ci, przyjacielu!

- Mówimy o kobiecie, którą kocham, o twojej narzeczonej.

- Dzięki Bogu nie. Lady Luiza to prawdziwy ideał, ale, drogi Randolphie, nie pragnę jej poślubić bardziej niż polecieć na księżyc.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ona nie jest dla ciebie dość dobra? - zapytał Randolph. - Ona pochodzi z rodziny Coldstone'ów.

- Och, nie zaperzaj się tak, pułkowniku. Oczywiście, że jest dla mnie dobra. Może nawet za dobra dla mnie. Tak, właśnie tak.

- Może to cię bawi, ale dla mnie to sprawa życia i śmierci - rzekł Rodney oficjalnym tonem.

Theo znów zaczął się śmiać.

- Wybacz, pułkowniku, nie śmieję się z ciebie ani z lady Luizy. Jestem szczęśliwy, że tak się stało. Życzę wam wszystkiego najlepszego. Jestem przekonany, że będzie dla ciebie wspaniałą żoną. Jest dobra,

urocza i piękna. Ale, do diaska, Rodney, czy nie widzisz, że my do siebie nie pasujemy? Najpóźniej pół roku po ślubie nasze drogi całkiem by się rozeszły. Od kiedy tu przybyłem, zastanawiam się, jak się wykręcić z tej sytuacji. Wiem, że pasujemy do siebie jak pięść do brody.

- Jak pięść do nosa - machinalnie poprawił pułkownik. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie zamierzasz poślubić Luizy?

- Nie bardziej niż ona mnie. - Wyciągnął rękę. - Pozwól, że ci pogratuluję. Może będę ojcem chrzestnym twojego pierwszego potomka? - zażartował. Jego śmiech powoli zamienił się w ciepły uśmiech.

- Ależ Theo... Wasza Wysokość...

- Nie ma żadnego „ale”. Skoro się kochacie, bardzo się z tego cieszę. Zresztą cóż to za przyjemność dać się zakuć w małżeńskie okowy? Jeszcze tyle lat wolności przede mną. Muszę się ożenić, lecz nie tak zaraz.

Pułkownik Rodney westchnął głośno. Przyjaciele jechali przez jakiś czas w milczeniu. W końcu Randolph zaczął uśmiechać się, coraz szerzej, potem chichotać, aż wreszcie zaniósł się szczerym śmiechem.

- Och, mój ty stary druhu! - zawołał książę. - Jak to dobrze, że w porę zacząłeś mówić. Być może uchroniłeś nas obu od straszliwej pomyłki.

- Jednak wciąż na mojej drodze piętrzą się przeszkody - odparł Randolph poważniejąc. - Książę i księżna nawet nie będą chcieli o tym

słyszeć. Mieliby oddać swoją córkę biednemu oficerowi, w dodatku pracującemu w wywiadzie? Szpiegostwo to niezbyt szacowny zawód w oczach moich kuzynów. A jak zdołam zapewnić Luizie dostatek? Co mogę jej zaoferować? - Skrzywił się. - Ona myśli, że zamieszkamy w wiejskim domku, że powinniśmy uciec. Żywię do niej zbyt wiele miłości, by na to pozwolić. Ona przecież nie zna życia. Była chowana pod kloszem.

- A ja myślę, że z łatwością przywykłaby do tego, co życie jej przyniesie. Może być naiwna, ale ma silną osobowość. Rodzice nauczyli ją stawiać czoło każdej sytuacji. Gdyby doszło do ucieczki i przymusowego zamieszkania na wsi, Luiza szybko poradziłaby sobie z nowymi obowiązkami, takimi jak zmiatanie podłóg czy gotowanie.

- Pewnie masz rację, ale wciąż pozostaje jeden problem: księcia i księżnej Coldstone.

- A skąd wiesz, że będę się sprzeciwiać? Czy pytałeś ich o zdanie?

- Jak mógłbym to zrobić, kiedy oni czekają, że Luiza poślubi księcia, to znaczy ciebie? - zapytał Randolph. - Gdybyś miał córkę, za kogo pragnąłbyś ją wydać: za mężczyznę w twoim, czy w moim położeniu?

- Mam nadzieję, że byłbym na tyle nowoczesnym ojcem, by widzieć ją u boku mężczyzny, który uczyniłby ją szczęśliwą. Do licha, Randolphie, nie żyjemy w mrokach średniowiecza. Książę i księżna kochają swoją córkę. Gdyby tak postarać się, żeby mnie zniechcieli, ty

mógłbyś zająć moje miejsce.

- Mówisz dokładnie tak jak Anna, to znaczy, panna Ingersoll. Wpadłeś na ten sam pomysł co ona. - Randolph opowiedział księciu o spisku.

Reakcja Thea była dość dziwna. Najpierw zmarszczył brwi, potem zaklął pod nosem, aż w końcu pokręcił głową.

- Ta kobieta to lisica. Od kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że będą kłopoty. Z kogo ona chce zrobić durnia? Kim ona myśli, że jestem, jakimś cymbałem, co spadł z wozu drabiniastego?

- Theo, to tylko dziewczęcy wymysł. Jeśli musisz już kogoś obwiniać, to podziel winę między nie obie. Daję ci jednak słowo, że miały dobre zamiary - przekonywał Randolph.

- Pięćset gwinei! Założyła się o pięćset gwinei, że jej siwki pokonają moje gniadosze! A ja na to przystałem! Chciała wystrychnąć mnie na dudka! Ta pannica to niezły gagatek. Jeszcze dam jej nauczkę.

- Theo, jak się uspokoisz, zobaczysz to w zupełnie innych barwach - uspokajał Randolph. - Nie rozumiesz, że ona miała jak najlepsze intencje? Chciała nam pomóc!

- Tak, ale moim kosztem! Jestem księciem, władcą, głową kraju! I jakaś dzierlatka nie będzie sobie strugała ze mnie głupca!

- Theo, zostaw to, nie miotaj się! To tylko takie żarty, może w nie najlepszym stylu, ale nie tak znów bardzo szkodliwe! Masz inne, poważniejsze problemy na głowie niż jakąś pannę Ingersoll!



- Zepsute dziewczynisko! Bóg mi świadkiem, żal mi jej ojca! A jeszcze bardziej szkoda mi tego urzędnicy, tego chudziaka, z którym ma się związać! O, ona da jeszcze temu biedakowi popalić! Ale nie ze mną takie igraszki! Ten fortel jej się nie uda! - wołał ksiązę, gorączkując się coraz bardziej.

- Theo, ależ ty się biesisz!

- Taak... chyba nieco mnie poniosło.... gniew to niezbyt dobry doradca. - Theo zmusił się do trzymania nerwów na wodzy.

Po chwili mówił spokojniej:

- W rzeczy samej dziewczęta działały w dobrej wierze, dla dobra twojego i Luizy. A jednak, ta mała pannica działa mi na nerwy! Ktoś powinien dać jej lekcję na temat miejsca kobiety w świecie!

- Theo, kiedy robisz się taki, aż drzę ze strachu - powiedział Randolph, tylko częściowo żartując.

- O, nie ma powodu do obaw! Wszystko odbędzie się jak najdyskretniej. Sądzę tylko, że lady Luiza nie powinna się o niczym dowiedzieć, zgoda? Miałem zamiar pozwolić pannie Ingersoll wygrać ten wyścig, ale teraz zmieniłem zdanie. - Ksiązę uśmiechnął się zawadiacko.

- Ponadto każę podnieść stawkę!

Theo ujrzał Annę po raz pierwszy od jej przyjazdu dopiero przy kolacji. Choć ogromna patera zasłaniała mu widok, zdołał zauważyć, że dziewczyna kwitnie. Z niewiadomych powodów rozzłościło to Thea. Wyobrażał sobie, że Anna znajdzie w sobie na tyle godności, by, wyglądając żałośnie, jak przystało na niecnego konspiratora, przytłoczonego poczuciem winy. Tymczasem Anna wyglądała czarująco i pociągająco, a w dodatku najwyraźniej wspaniale się bawiła, otoczona tymi bufonami, Coldstone'ami! Ta niczym nie wyjaśniona irytacja złościła Thea jeszcze bardziej, więc miał kolejny powód, by cały gniew rzucić na Annę. Jak śmiała ta zuchwała dziełatka nawet imaginować sobie, że wolno jej wyzwąć i ośmieszyć jego - księcia Theodorika von Hazloe und Gottfreund, władcę Batawii! Jak śmiała nawet marzyć o tym, że zwykła kobieta, słaba niewiasta, może próbować przewyższyć mężczyznę, i to mężczyznę takiego jak on!

Anna wyglądała ślicznie w błękitnej jedwabnej sukni, okrytej cieniutką tuniką z muślinu. Włosy miała upięte wysoko w gruby węzeł, a na ramiona spadała jej kaskada loków. W jej uszach lśniły diamentowe kolczyki z szafirowymi oczkami, a dekolt zdobił naszyjnik z pięknych szafirów. Kiedy odwróciła głowę, by uśmiechnąć się serdecznie do siadającego obok mężczyzny, Theo poczuł rosnące rozdrażnienie, tym bardziej, że mężczyzną tym okazał się nikt inny, tylko jego kuzyn,

Johannes. Książę nie posiadał się ze złości, kiedy tych dwoje roześmiało się wesoło, przysuwając się bliżej i pochylając ku sobie głowy.

Jego zraniona duma, wsparta odrobiną próżności, nie pozwalała mu zapomnieć tej zniewagi. Och, jakże marzył o zemście! Już on Annie pokaże, z kim ma do czynienia! O nie, on nie będzie się już dłużej bawił w kotka i myszkę!

Dotąd żadna kobieta nie usiłowała przechytrzyć Thea. Właściwie - po chwili zastanowienia przyznał książę - były takie kobiety, które próbowały, ale żadnej się to nie udało. Jakże miło by było dodać pannę Ingersoll do tej listy pokonanych kobiet. Stanowczo to najbardziej irytująca niewiasta, jaką kiedykolwiek miał nieszczęście spotkać! Co najdziwniejsze - zdał sobie sprawę Theo - właściwie to nawet zaczął ją lubić. Niestety sekret, który wyjawiał mu Randolph, wszystko zniweczył i sympatia na powrót obróciła się w niechęć,... ba! w silną antypatię!

Będzie musiał jej dać nauczkę! To postanowione!

- Tak jak wspominałam, Wasza Wysokość, kiedy odwiedziłam wasz kraj w 98 roku, spotkałam barona Threzha,...a może on miał na nazwisko Thesla? - najwyraźniej od dłuższego czasu przemawiała do niego starsza dama, usadowiona po jego prawej stronie. Z apetytem pochłaniała dość dużą porcję ryby. Na jej palcach i nadgarstkach lśniły, a raczej powinny były lśnić, liczne pierścienie i bransolety z brylantów, a jej oczy wwiercały się w księcia jak czarne, błyszczące oczy drapieznika.

- W każdym razie, ów baron doskonale znał moją świętej pamięci

męża. Sądzę, że spotkali się w Paryżu w 86. Mój mąż znał również księcia Metternicha. A czy pan, książę, miał przyjemność poznać księżnę de Dino? Och, to była doprawdy nietuzinkowa niewiasta! Zawsze otaczało ją przynajmniej pół tuzina psów. A może to była księżniczka Esterhazy? W każdym wypadku, to była jedna z tych światowych szlachcianek. A może ona była Węgierką? Czy w rodzie Książęcej Wysokości znaleźli się jacyś Węgrzy? Niegdyś, podczas pobytu w dalekiej Szkocji, poznałam pewnego arcyksięcia. Przynajmniej za takiego się podawał. Chyba był Rosjaninem. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wcześniej poznała kogoś z rodziny von Hazloe und Gottfreunds. W moich czasach jedyne, co trzeba było wiedzieć, to czy ktoś jest Anglikiem, czy nie.

Starsza dama wciągnęła Thea na dłuższą chwilę w swoje rozważania o przeszłości. Wspominała ludzi, którzy żyli dawno, a może nigdy nie istnieli, będąc jedynie wytworem jej starczej wyobraźni. Theo tego nie wiedział, lecz wolał patrzeć w dwa czarne paciorki oczu damy siedzącej obok niego, niż wpatrywać się w tę nieznośną pannę Ingersoll, która nie wiedzieć dlaczego tak perliście się śmiała. Co ją tak bawi? Chyba nie beznadziejne dowcipy Johannesesa?

- Czy ród von Hazloe jest w jakiś sposób spokrewniony z Charlemagnem? Bo, widzi pan, rodziny Coldstone'ów i Blightów są, i to w bardzo wyraźny sposób. Czy pański tytuł jest od wieków dziedziczony, czy też nadany przez papieża? Jak brzmiało panieńskie

nazwisko pańskiej matki, książę? Czy jest pan spokrewniony z rodziną Thrum und Taxis? Dawno temu spotkałam księcia Thrum und Taxis w Londynie. O ile pamiętam, było to podczas uroczystości pokojowych w Almacku. Ach, nie, naonczas spotkałam księcia Haakon z Danii. Ożenił się on wkrótce potem z córką elektora z Hesse. A może to nie był elektor? Nie, chyba pomyliłam go z Landgrafem z Hesse. Albo z Grafem von... jak on się nazywał?... To był mój przyjaciel... miał wąsy...

Theo westchnął ciężko jak skazaniec. Pod naciskiem swojej sąsiadki musiał ulec i przez dość długą chwilę był zmuszony zrelacjonować zawile losy swojej rodziny w Europie i w samej Batawii. Staruszka nie dała mu spokoju, póki nie podał kilkudziesięciu nazwisk, od kilkunastu pokoleń związanych z jego rodem i, póki nie odpowiedział na trzydzieści pytań, których to odpowiedzi dama nie raczyła wysłuchać do końca.

Książę odetchnął z ulgą, kiedy zmieniono nakrycia i podano dziczyznę. Skorzystawszy z zamieszania, zwrócił się do swojej drugiej sąsiadki, lady Seabright.

- Czy pan poluje, książę - zapytała go dama po chwili. Lord i lady Seabright byli szeroko znani ze swej gorącej pasji do polowań. Miłość ta była tak nieokiełznana, że lady Seabright omal nie porodziła swego ostatniego potomka na polowaniu, gdyż do ostatniej chwili nie zamierzała rezygnować ze swej krwawej przyjemności. Na szczęście bardziej roztropny mąż powstrzymał ją od pędzenia na oślep za psami,

kiedy żona zaczęła mieć bóle porodowe i kazał eskortować ją do domu.

- Jak przedstawia się sprawa polowań w Batawii? - pytała.

- To doprawdy dziki naród, zapraszam! - odparł.

Choć konwersacja z lady Seabright ograniczała się do polowań na lisy i do ras angielskich i irlandzkich psów myśliwskich, Theo wolał to niż niekończące się litanie nazwisk arystokratów z pretensjami. Powoli rozluźnił się nieco, słuchając radosnego świergotu swojej sąsiadki na ulubiony temat, jak i jej utyskiwań na tutejsze okolice, nie nadające się do prawdziwie podniecających polowań. Księżę mógł spokojnie się wyłączyć i tylko kiwać ze zrozumieniem głową, oddawszy się całkowicie obserwacji swej rywalki, panny Ingersoll i uczuciu zagniewania, które ta w nim budziła.

W tym czasie po drugiej stronie patery Johannes szeptał do Anny:

- Och, jaki jestem szczęśliwy, że nie posadzono mnie blisko rodziny. Dzięki temu mam przyjemność spożywania posiłku w pani towarzystwie.

Potem opowiedział, jak to lordowie Gerald i Charles pojмали go i w jak haniebny sposób został uwolniony.

- Dzieci i psy powinno się trzymać ode mnie z daleka. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego tak wrogo są do mnie nastawione.

Anna roześmiała się i pokręciła głową.

- Obawiam się, że księżna i księżę są wprost niewyobrażalnie pobłażliwi wobec swoich wnuków. Tak często bywa, kiedy dziadkowie

traktują surowo własne potomstwo. Jak oni mogli zrobić z pana jeńca?

Johannes westchnął.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy mój kuzyn wreszcie poprosi o rękę lady Luizy. Wprost tęsknię za przyjemnościami Londynu. Życie na wsi czyni mnie *depayse* i *bucolic*. - Zrobił zabawną minę. - Jestem mieszczuchem. Nie pojmuję tego waszego upodobania do życia na wsi.

Annie zrobiło się żal hrabiego. Widząc nieszczęśliwą minę Johanna postanowiła go pocieszyć.

- Nie jest wykluczone, że już wkrótce będzie pan mógł wrócić do Londynu, hrabio. Mam przeczucie, że księżę Theodorik niedługo wyjedzie.

- Ach, taak - odparł zaintrygowany. - Droga panno Ingersoll, błagam, proszę nie wahać się przed włączeniem mnie do spisku, znaczy się do planu, który mógłby przyśpieszyć mój powrót do Londynu. Może to pani nazwać gestem humanitarnym. Jestem gotów zrobić wszystko, byle tylko wrócić do ciepła i wygody.

W tym momencie podano dziczyznę i należało odwrócić się do drugiego sąsiada przy stole.

- Później - obiecała i zostawiła Johanna wpatzonego w mało zachęcający, zimny plaster sarniny, który właśnie przed nim postawiono.

Po kolacji postanowiono, że odbędą się tańce. Zwinięto więc wszystkie dywany w sali muzycznej. Lady Seabright zgodziła się grać na fortepianie, a kuzyn Floyd Coldstone na skrzypcach. Goście, którzy nie

tańczyli, rozsiedli się w kątach sali, wachlując energicznie i narzekając na duchotę, a przy tym nie spuszczać z oka tańczących, bacząc na najmniejsze oznaki nieprzyzwoitości. Księżna niczym statek zebrała pod swą banderą tancerzy i ustawiła pary do pierwszego walca.

Księżę skłonił się lady Luizie, rozpoczynając tańce. Przyłączyły się do nich tylko dwie lub trzy pary, jako że walc był tańcem mało znanym w Londynie.

Następnie księżna dała znak synowej, by zagrała coś bardziej znanego.

- Zechce księżę poprowadzić ten taniec? - zwróciła się do Thea, jednocześnie prowadząc go na środek parkietu. - Droga Anno, z pewnością mogę liczyć na ciebie, że przełamiesz pierwsze lody. Zatańcz, moja droga, z księciem Theodorikiem. Znasz wszystkie kroki.

Theo nie zdradził się ze swoimi uczuciami do partnerki. Nikt się nie domyślał, że pod chłodną maską kryje się burza emocji.

Panna Ingersoll wstała, nieświadoma losu, jaki ma zamiar zgotować jej księżę.

- Tak więc znów jesteśmy partnerami - powiedziała. - Czy Wasza Wysokość zna angielskie tańce?

- Tak sędzę, panno Ingersoll - odparł Theo ponurym tonem, po czym okręcił ją kilkakrotnie.

- Widzę, że tak - mruknęła, kiedy udało jej się odzyskać równowagę.



Uśmiechnął się chłodno.

- Kiedy pani przyjechała, panno Ingersoll?

- Och, wyjechaliśmy z Londynu dziś o świcie. Moje siwki są w świetnej formie. A jak miewają się pańskie gniadosze?

- Gotowe pokonać pani siwki - odparł ze śmiertelną powagą.

Zrobili obrót, skłonili się, odeszli w przeciwnie strony i znów wrócili do siebie.

- Ach, więc sądzi pan, że mnie pokona.

- Wiem, że wygram z panią w każdej konkurencji - odparł lekkim tonem. Ukłonili się, rozdzielili i stanęli na wprost drugiej pary, po czym wrócili do poprzedniego układu, jeszcze raz odwrócili się i klasnęli w ręce, kiedy druga para wykonywała podskoki.

- A więc sądzi pan, że pokona mnie w każdej konkurencji? - zapytała Anna z niepewnym uśmiechem.

- Samiec z natury przewyższa samicę, panno Ingersoll.

- Cóż za bzdury - rzuciła wesoło. - Nie rozumie pan, że my tylko pozwalamy wam, gogusiom, tak myśleć?

- Gogusiom?! - wykrzyknął książę, lecz panna Ingersoll już odpłynęła.

- Nie, Wasza Wysokość, mam na imię Georgina - sprostowała nieśmiało młoda panna, która nagle przed nim stanęła. - Georgy Coldstone.

- Och tak, oczywiście - odparł, z trudem się uśmiechając. - Nie

jestem żadnym gogusiem, cokolwiek to słowo znaczy - powiedział, kiedy znowu stanęli na wprost siebie.

- Wcale nie powiedziałam, że nim pan jest. Mężczyźni, ogólnie biorąc, mają tendencje do bycia gogusiami - wyjaśniła ze słodyczą w głosie.

Zrobili obrót, skłonili się i znów rozdzielili. Księżę miał czas na przetrwanie słów Anny.

- Przynajmniej mężczyźni nie są trzpiotami - odparł. - Flirtującymi pożeraczkami serc, które tylko czekają, żeby wykorzystać mężczyzn do swoich niecznych celów. I co pani na to powie?

- To mężczyźni prowokują nas do takich zachowań. Twierdzicie, że jesteśmy gorsze, a w rzeczywistości zmuszacie nas byśmy się poniżały i słuchały waszych rozkazów, bo tak każe obyczaj i prawo. I wasz kaprys.

- Jeśli tak, to może podniesiemy stawkę?

- Nie mam nic przeciwko temu!

- A więc proponuję, że przegrany będzie musiał publicznie ogłosić, iż płeć przeciwna przewyższa jego własną pod każdym względem.

- Zgoda.

Znów się rozdzielili, a kiedy wrócili do siebie, żadne z nich nie miało już nic do powiedzenia. Patrzyli na siebie lodowato i sztywno się skłoniwszy, zakończyli taniec.

Johannes, który tańczył z księżną, obserwował całe zdarzenie. Aż

drżał z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć, co zaszło. Natychmiast więc zaprosił pannę Ingersoll na spacer.

- Sądząc po iskrach w pani ślicznych oczach, zgaduję, że mój kuzyn wyprowadził panią z równowagi? Przepraszam w imieniu wszystkich von Hazloe.

- Pański kuzyn jest okropny. Arogant i impertynent.

- To wiem, ale proszę mi powiedzieć coś więcej.

- Właściwie to dlaczego nie. W końcu mógłby pan mi... nam pomóc - stwierdziła Anna.

- Już zapewniałem panią niejednokrotnie, panno Ingersoll, że jestem do dyspozycji. Zrobię, co będę mógł.

- A więc doskonale. Proszę tylko dać mi słowo honoru, że cokolwiek by się stało, będzie pan milczał jak grób.

- Dam pani słowo dżentelmena - zapewnił Johannes z czarującym uśmiechem. - A teraz proszę tu usiąść i wszystko mi opowiedzieć.

Tego wieczora wieść o mającym jutro nastąpić wyścigu rozprzestrzeniła się jak ogień. Nawet kiedy już wszyscy udali się na spoczynek, o niczym innym nie mówiono. Jeszcze przed północą całe towarzystwo podzieliło się na zwolenników księcia i Anny.

Annę poparły wszystkie damy, kiedy tylko usłyszały stwierdzenie

księcia, że żadna kobieta nie może przewyższać mężczyzny. Z tych samych powodów mężczyźni poparli księcia.

- Panna Ingersoll ma wszelkie szanse, by wygrać - oświadczyła księżna Coldstone do dam zebranych w saloniku. - Ona ma prawdziwy talent do powożenia. Ale czy ktoś kiedyś widział, jak powozi księżę Theodorik?

Kuzynka Kordelia przypomniała sobie, że widziała księcia jeżdżącego po parku, lecz trudno jej ocenić jego umiejętności po tak krótkim czasie.

Lady Seabright, wielka miłośniczka koni, orzekła, że jej wybór również pada na pannę Ingersoll.

- Ma sprawne ręce i jest szybka. O księciu trudno mi cokolwiek powiedzieć. Zdaje mi się jednak, że należy do mężczyzn szafujących brawurą.

Wszystkie panie pokiwały zgodnie głowami. Lady Seabright uchodziła za eksperta w tych sprawach.

- Myślę, Anno, że to ciebie będziemy koronować na zwycięzcę - powiedziała kuzynka Kordelia. - Napij się grogu, byś nie zmarzła.

Panowie zgromadzeni w palarni rozprawiali o waleczności.

- Proszę uważać na swoje ręce, księżę. Jutro będą panu potrzebne - mówił lord Seabright, podkładając poduszkę pod dłonie Thea.

- Pańskie gniadosze to doskonałe rumaki. Pewnie bez trudu wyciągają szesnaście mil na godzinę - stwierdził kuzyn Rupert

Coldstone.

- Ta panna ma dużo wigoru, ale zmęczy się, bo kobiety nie mają dość sił na długi wyścig - orzekł wuj George Coldstone.

- Na to właśnie liczę - powiedział książę. Pozwolił lordowi Seabright zapalić sobie cygaro, a kuzynowi Albertowi Coldstone nalać sobie kolejną szklaneczkę whisky.

Panowie chichotali, pewni swojej męskiej wyższości.

Rano już cały zamek wiedział, że książę Theodorik i panna Ingersoll mają się ścigać powozami. Jedni kibicowali księciu, uważając, że wygra bez najmniejszego trudu, inni, znając świetną rękę panny Ingersoll, trzymali jej stronę.

- Ja stawiam na moją panią - oświadczył Józef kamerdynerowi księcia.

- A ja na mojego pana - odparł Murdo. - To prawdziwy woźnica. Nikt tak doskonale nie prowadzi zaprzęgu jak on.

Rzuciwszy sobie groźne, niechętne spojrzenia, służący poszli do stajni sprawdzić konie i powozy.

Po spokojnie spędzonej nocy Anna zeszła rano na dół w zielonym kostiumie o militarnym kroju, z podwójnym rzędem złotych guzików i epoletami na ramionach. Uroku dodawał jej brązowy, aksamitny kapelusik z piórami. W dłoni niosła parę cienkich skórkowych rękawiczek, a stopy obute były w zgrabne kozaczki. Czuła się wypoczęta

i całkiem pewna siebie i swoich siwków, zwłaszcza po tym, jak Józef zapewnił ją, że wszystko jest gotowe do drogi.

W jadalni Anna zastała księcia spokojnie spożywającego obfite śniadanie w towarzystwie swoich zwolenników. Po krótkiej chwili otoczyły ją panie, po czym obie grupy zaczęły się między sobą przekomarzać. Jeszcze nigdy goście nie bawili się w Coldstone tak doskonale.

- Masz ochotę się założyć? - zapytał generał Coldstone swojego brata, admirała. - Powiedzmy jeden do pięciu na tę młodą damę.

- Bracia, czyżbyście mówili o hazardzie?! - zawołał ksiązę Coldstone zbolalym głosem.

- Och, Binky, to tylko parę gwinei, nic poważnego - tłumaczył admirał, szurając nogami i chowając ręce do kieszeni, jak dawniej, kiedy był małym chłopcem.

Ksiązę zmarszczył brwi.

- Przecież wiesz, jaki mam stosunek do hazardu. Nie mam nic przeciwko różnego rodzaju przyjemnościom, ale w tym wypadku powinien cieszyć nas sam wyścig, a nie zakłady. Przypomnijcie sobie wyczyny ojca.

Generał i admirał doskonale pamiętali swego rozrutnego protoplastę, nie uważali jednak, że to coś zdrożnego założyć się o parę gwinei, i zrobili to, kiedy ich brat nie widział.

Za ich przykładem poszli inni i w sekrecie przed gospodarzem

poczęła krążyć książka zakładów, w której aż roiło się od nazwisk Coldstone'ów. Najwyraźniej nie wszyscy członkowie tego znakomitego rodu pamiętali dziadka hazardzistę.

Po śniadaniu książę, wraz z dwoma uczestnikami wyścigu, udał się do biblioteki. Wyjął mapę swoich ziem i wyznaczył tor wyścigów. Biegł on wielkim podjazdem, potem wzdłuż alejek ogrodowych do drogi łączącej grunty książęce z ziemiami dzierżawców, następnie do starego klasztoru i z powrotem tą samą drogą. W sumie odległość wynosiła około dwudziestu mil.

Anna, która znała te tereny, przyjrzała się mapie i skinęła głową.

- Najtrudniejszą częścią trasy będzie niewątpliwie las na wzgórzu - poinformowała księcia. - To odludne miejsce.

Książę zwiedził te tereny podczas polowania, kiwnął więc głową i pochylił się nad mapą.

- Kazałem przygotować dwie kopie, po jednej dla każdego. Kiedy dotrzecie do ruin klasztoru, będzie tam czekał na każdego z was porzecz. Waszym zadaniem będzie przywieźć go do zamku. Według moich obliczeń wyścig nie powinien trwać dłużej niż trzy, cztery godziny. Mam nadzieję, że będziecie przestrzegać czystych reguł walki, jakie obowiązują między damą i dżentelmenem. - Westchnął i przetarł spocone czoło. Nie przywykł do tak długich przemówień. - Czy wszystko jasne?

- Tak - odparł Theo.

- Tak - powiedziała Anna.

Rywale skrzyżowali spojrzenia.

- Skoro tak, to zaczynajmy - rzekł księżę Coldstone. - Rozumiem, że zaprzęgi są gotowe.

Temperatura na zewnątrz niewiele różniła się od panującej w zamku. Powietrze było chłodne. Anna spojrzała z niepokojem w niebo. Kłębiły się na nim szare chmury. Powietrze jest tu takie czyste, pomyślała. Ani śladu po mgłach, sadzy i dymach unoszących się nad miastem. Przed zmrokiem pewnie spadnie śnieg.

Otoczyła się szczelniej płaszczem. Żałowała, że zignorowała radę Keating i nie wzięła wełnianego szala. Jedyne, na co mogła liczyć, to to, że wyścig szybko się skończy.

Księżę również spojrzał w niebo okiem znawcy nawykłego do życia w lesie. Zmarszczył czoło. Wciągnął na dłonie rękawiczki, zadowolony, że ma ciepłe palto i wełniane skarpety w długich butach. Mocniej wcisnął na czoło kapelusz z futra bobrowego i zacisnął zęby gotowy do bitwy. W pewnym sensie była to bitwa.

Kilka powozów czekało pod wielkim gankiem. Część gości zamierzała śledzić wyścig, jadąc do licznych punktów obserwacyjnych rozmieszczonych wzdłuż trasy. Wszyscy byli podekscytowani.

Lady Seabright, otrzepując rękawiczki z kurzu, właśnie kończyła inspekcję powozu księcia i faetonu Anny. Oba pojazdy czekały już tylko na swoich woźniców.



- Pani siwki wyglądają na zmęczone, panno Ingersoll - wycedził Theo, obchodząc jej zaprzęg. - Musiała je pani zajeździć podczas wczorajszej podróży z Londynu.

- Natomiast pańskie konie, książę, nie były wyprowadzane ze stajni przez ostatnie dwa dni. Wyszły z formy i mogą ponieść - odparła Anna przesuwając dłoń po grzbiecie jednego z gniadoszy.

W zgromadzonym tłumie rozległy się szmery i chichoty. Luiza, usadowiona w bryczce brata, niespokojnie spoglądała na pułkownika Rodneya, który krążył w pobliżu na swoim karym rumaku i starał się nie okazywać niepokoju. Nie mógł się jednak powstrzymać od rzucania ukradkowych spojrzeń na Luizę.

- Gdzie jest Johannes? - spytał nagle. - Czy ktoś widział hrabiego von Hazloe?

Nikt na to nie potrafił odpowiedzieć. Randolph zacisnął zęby i ściągnął wodze.

- Zobaczymy się później - powiedział i odjechał.

Na szczęście nikt z gości nie zwracał uwagi na niefortunnych kochanków. Wszystkie oczy skierowane były na kamienny dziedziniec. Józef pomagał właśnie Annie wspiąć się na kozioł i szeptał jej do ucha ostatnie uwagi, jak trener dżokeja szykującego się do wyścigu.

Theo nie potrzebował pomocy służącego, by wskoczyć na kozioł. Kiedy jednak chwycił lejce, poczuł, że konie są niespokojne. Okiełznanie ich będzie wymagało nie lada umiejętności.

Stojąca na ganku księżna trzymała w dłoni lornetkę operową, a książę patrzył na zegarek. Wyciągnął w górę rękę z pistoletem i zaczął, aż współzawodnicy ustawią się na linii.

- Gotowi?! - krzyknął.

- Gotowa! - odpowiedziała Anna nieco zbyt głośno.

- Tak! - zawołał Theo, ciaśniej otuliwszy szyję szalikiem.

Jeden z siwków zarżał, wyczuwając w powietrzu napięcie.

- Start! - Pistolet wypalił z hukiem, a widzowie wzniesli okrzyki.

Oba powozy ruszyły jednocześnie. Z chrzęstem uprząży potoczyły się po bruku wzdłuż podjazdu, minęły włoskie rzeźby i stare cisy i przejechały przez bramę posiadłości.

Anna nie rozglądała się na boki, utkwivszy wzrok w uszach siwka z prawej i w drodze przed sobą, tak jak uczył ją Józef Potter. Wiatr gwizdał jej w uszach, smagał policzki, wyciskał z oczu łzy. Jednak Anna nic nie czuła, całkowicie skupiona na jeździe. Poddała się kołysaniu faetonu, popuszczając lejce, na tyle jednak, by konie czuły rękę woźnicy. Nie chciała ich zmęczyć, bo wiedziała, że później będą potrzebowały więcej siły.

Za bramą roztaczały się pofalowane pola. Wyczuwała obecność powozu księcia, raz wyprzedzającego ją nieco, raz jadącego tuż za nią. Kiedy mijali punkt obserwacyjny, rozlegały się owacje na ich cześć, dobiegające z kilku czekających na nich powozów. Potem obserwatorzy ruszali ścieżkami biegnącymi wśród pól, by dotrzeć do kolejnego punktu

obserwacyjnego.

Po niecałej godzinie Anna minęła tłumek farmerów, stojących przed stodołami, z ciekawością przyglądających się wyścigowi jaśnie państwa. Kątem oka dostrzegła ich zaciekawione twarze. Ktoś krzyknął, lecz uderzenia kopyt stłumiły słowa. Księżę Coldstone, w przeciwieństwie do większości innych ziemian, nie odgrodził swych włości od ziem dzierżawców.

Faeton chwiał się niebezpiecznie na wielkich żółtych kołach, pokonując zakręty. Niejasno zdała sobie sprawę, że zaczął padać śnieg. Zlizywała ze spierzchniętych warg mokre płatki, wdzięczna za odrobinę wilgoci. W ustach miała kompletnie sucho.

W oddali na wzgórzu spostrzegła zgromadzone powozy Coldstone'ów. Mijając je, pomachała ręką. Przed sobą miała teraz las, gęsty i mroczny. Luiza nazywała go prastarym. Ścieżka stała się węższa i zaczęła się wić między drzewami. Anna zwolniła, by nie zerwać osi albo, co gorsza, by któryś z koni nie złamał nogi na wystających korzeniach drzew.

Nadal padał śnieg. Płatki przedostawały się między gałęziami drzew i spadały na ziemię. Z każdą chwilą przybywało ich coraz więcej.

Obejrzała się do tyłu i zobaczyła Thea jakieś dwadzieścia jardów za sobą. Podniósł bat w geście pozdrowienia. Pomachała mu ręką i odwróciła się, przepelniona jakimś dziwnym uczuciem ulgi. Wjeżdżali coraz głębiej w gąszcz, kierując się ku ruinom klasztoru.

Las zdawał się nieruchomy. Anna miała wrażenie, jakby jakaś niewidzialna dłoń wyciągnęła się po nią i wciągnęła w głuchą ciszę. Zerknęła za siebie, lecz akurat minęła zakręt i nie zobaczyła księcia.

Tych kilka chwil spędzonych w lesie zdało się trwać tydzień, zanim dotarła do polany i ruin klasztoru. Zgodnie z zapowiedzią na dwóch słupkach tkwiły proporce, z wymalowanym herbem Coldstone'ów. Anna nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest przemarznięta i zmęczona. Wyraźnie czuła też zmęczenie koni. Sięgnęła po proporzec. Zsunął się z tyczki. Schowała go do rękawa i obróciła faeton. Śnieg padał już gęstymi płatami, pokrywając ruiny klasztoru. Czym prędzej ruszyła z powrotem, drogą, którą przyjechała.

Wiedziała, że wygrała, i aż chciało jej się krzyczeć z radości, kiedy będzie mijać Thea w drodze do zamku. Wyobrażając sobie tę upojną chwilę, uśmiechnęła się do siebie. Kiedy jednak nie spotkała księcia na ścieżce, poczuła rosnący niepokój.

Niebo pociemniało i zerwał się porywisty wicher, zdmuchując śnieg z gałęzi drzew, które groźnie się kołysały. Siwki nerwowo potrząsały łbami. Para buchała im z nozdrzy. Wyczuwały niepokój pani.

Naigrawa się ze mnie, pomyślała, kiedy zobaczyła powóz księcia przy drodze. Cóż on sobie wyobraża?!

Ściągnęła lejce, zbliżając się do powozu, gotowa natychmiast przyśpieszyć, gdyby okazało się, że to jakiś żart. Ze zdumieniem spostrzegła jednak, że konie pogryzają sobie trawę, a powóz jest pusty.

- Książę! - zawołała. - Wasza Wysokość!

Jej krzyk zanikł w podmuchach wichru. Rozszalała się prawdziwa śnieżycyca. Anna widziała już tylko na odległość pięćdziesięciu stóp przed sobą. Słyszała jedynie zawodzenie wiatru w gałęziach.

- To najgorsza rzecz, jaką książę mógł zrobić! - krzyknęła zdesperowana. Zatrzymała siwki, rozglądając się wkoło. Nawet spojrziała w górę, jakby spodziewała się, że Theo naraz zeskoczy z drzewa, śmiejąc się kpiarsko. - To wcale nie jest zabawne! - dodała niepewnie. - Dość już tego! Proszę natychmiast wyjść!

Jeden z siwków zarżał cicho i zaczął grzebać nogą.

- Spokojnie, Agnes - powiedziała, lecz sama daleka była od spokoju. Arabella zaraziła się lękiem swojej siostry i też poczęła grzebać kopytem. - Uspokójcie się obie! - rozkazała. - I ty też - mruknęła do serca, które waliło jak szalone. - Wasza Wysokość! Jeśli Wasza Wysokość mnie słyszy, proszę się odezwać! - zawołała.

W odpowiedzi usłyszała jedynie szmer zsuwającego się z gałęzi śniegu.

Jako mieszkanka miasta czuła się w lesie niepewnie. Nagle zdała sobie sprawę, że nic, czego nauczyła się na pensji panny Ridgely, nie przygotowało jej na podobne sytuacje. Natomiast wspaniała wychowawczyni zdołała wpoić swoim uczennicom gotowość do odważnego stawiania czoła wszelkim niespodziankom. Toteż Anna przełknęła ślinę i zeskoczyła z faetonu.

- Książę Theodoriku! - zawołała ponownie.

Może książę musiał na chwilę wejść do lasu, a może przytrafiło mu się coś gorszego i leży teraz bez przytomności gdzieś w tym wielkim, ciemnym lesie.

Przerzuciła lejce przez gałąź drzewa i nakazała siwkom czekać spokojnie. Chwyciła brzeg płaszcza i brnąc przez śnieg, przeszła na drugą stronę drogi. Gnidosze księcia zarżały i zaczęły grzebać kopytami. Spozstrzegła, że lejce leżą na siedzeniu powozu. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co takiego mogło skłonić księcia do zostawienia koni tak długo na mrozie. Ostrożnie obeszła powóz i spojrzała w stronę lasu. Naraz zobaczyła na śniegu szkarłatne krople krwi, które powoli przykrywały gęsto padające płatki. Wciągnęła gwałtownie powietrze. W pierwszej chwili miała ochotę uciec stąd jak najdalej, lecz była przecież córką Dawida Ingersolla, więc wyprostowała się, zebrała spódnice i ruszyła śladami krwi. Gałązki wrzośca czepiały się sukni, a jakiś gruby konar przekrzywił jej kapelusz. Zsunęła go w tył, wchodząc coraz głębiej w las.

- Wasza Wysokość!

Wtem usłyszała jakiś słaby dźwięk, dobiegający gdzieś z przodu. Co tchu rzuciła się w tamtą stronę.

Książę leżał skulony pod drzewem, a jego płaszcz był splamiony krwią.

- Książę! - wykrzyknęła przerażona. Padła na kolana i delikatnie

dotknęła jego policzka.

Theo był straszliwie blady, lecz na dźwięk swego imienia z wolna uniósł powieki.

- P... panna Ingersoll - wyszeptał z wysiłkiem. - Co za spotkanie... - Powieki mu opadły i powiedział coś w obcym języku, czego Anna nie rozumiała. - To... miał być dowcip - dodał po angielsku i westchnął.

- Książę! Nie wolno panu zemdleć! - zawołała nie znoszącym sprzeciwu tonem. Potrząsnęła go za ramię. - Cóż to za makabryczny żart! - powiedziała surowo.

Popatrzyła z obrzydzeniem na szeroko rozlaną plamę krwi na piersi Thea i poczęła rozpinąć guziki jego palta. Rozchyliła kamizelkę i zagryzła wargę, widząc czerwoną plamę na białej koszuli.

- To nie jest żart - szepnęła, drżącymi palcami rozpinając mu koszulę. Pierś księcia spazmatycznie unosiła się i opadała.

Wyciągnęła z rękawa płócienny proporzec i przyłożyła go do rany. Pod palcami poczuła zagłębienie, ale chyba żaden z organów nie został uszkodzony. Jednak okropnie to wyglądało i powinna jak najszybciej sprowadzić pomoc. Po chwili zastanowienia podjęła decyzję: choć bardzo nie chciała zostawiać Thea samego, wstała i pobiegła w stronę drogi. Zmarzniętymi palcami wypięła siwki z uprzęży i machając zakrwawionym proporcem krzyknęła:

- Do domu! Sio!

Zmęczonym i głodnym koniom nie trzeba było tego dwa razy

powtarzać. Jak strzała pomknęły w stronę stajni zamkowych. Popatrzyła za nimi z nadzieją, że trafią do domu i nie będą błędzić.

Wróciła do Thea, uniosła jego głowę i położyła ją sobie na kolanach.

- Książę! - zawołała. - Słyszysz mnie pan? Co się stało?

Zatrzepotał czarnymi rzęsami.

- Kolejny strzał - wydyszał, krzywiąc usta w nikłym uśmiechu. - Nie wiem skąd. Straciłem równowagę. Próbowałem się ukryć. Czy oni tu są?

- Jacy oni? Musi mi pan powiedzieć, co się stało - powiedziała Anna, starając się zachować spokój.

- Powinna pani uciekać. Nie miałem zamiaru wciągać pani w tę aferę. To miał być dowcip...

- Nie wolno panu zasnąć. To nie żarty, książę!

- Ależ tak, to żart. Może w niezbyt dobrym tonie, ale jednak - rozległ się czyjś głos.

Anna spojrzała w górę i ujrzała Randolpha Rodneya, wynurzającego się z gęstwiny.

- Randolph! Chodź, musisz mi pomóc. Ktoś strzelał do księcia! - zawołała Anna.

Randolph wzruszył ramionami. Wolno rozsunał pelerynę i oczom Anny ukazała się lśniąca lufa pistoletu. Wycelował nim w Annę.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała.



- Tylko nie ty, Randolphie - odezwał się Theo, starając się usiąść. -  
Każdy, tylko nie ty...

- Przykro mi, Theo - odparł pułkownik miękkim głosem. - Niestety,  
to ja.

- I to ty strzelałeś do mnie w parku?

- Przykro mi. - Randolph skinął głową. Wiatr rozwiewał mu  
pelerynę.

Wygląda, jakby wcale go tu nie było, jakby był tysiące kilometrów  
stąd, pomyślała Anna. Ja też podobnie się czuję. To nie dzieje się  
naprawdę.

Randolph zbliżył się parę kroków.

- Nie mogłem odmówić - powiedział cicho. - Zaproponowali mi  
całkiem pokaźną sumkę. Nawet nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy  
człowiek nie ma pieniędzy, kiedy nie może zdobyć ukochanej kobiety,  
tylko dlatego, że nie jest w stanie jej utrzymać.

- Dobry Boże, Randolph! Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Po  
tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy... - Theo przerwał i jęknął z  
bólu.

- Ty sam zabijałeś kiedyś ludzi. Ludzi, których dobrze znałeś.  
Wiesz, jak to jest. Żałuję tylko, że stałem się takim złym strzelcem. Być  
może jakaś część mnie wciąż się waha. Nie wiedziałem, że zabicie ciebie  
będzie takie cholernie trudne.

- Nie musisz mnie zabijać, Randolphie. Naprawdę nie musisz -

powiedział księżę.

Mój Boże, pomyślała Anna. On ma zamiar zabić księcia. I ją też. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie przeżyła. Nie była przygotowana na taką okoliczność. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Oszalałeś, Randolphie - usłyszała swój własny głos.

- Nie, droga Anno. Jestem świadom tego, co robię. Kiedy wrócę do zamku, powiem im, że znalazłem was martwych. Zastrzelonych. Może zrobił to jakiś kłusownik. To chyba brzmi prawdopodobnie.

- Randolphie, nie mogę uwierzyć, że to ty! - zawołała Anna, czując rosnącą irytację. - Theo jest poważnie ranny. Może wykrwawić się na śmierć, jeśli nie sprowadzimy pomocy.

- O to właśnie mi chodzi, Anno - odparł Randolph ze spokojem.

- Niech cię diabli, Rodney - syknął Theo, starając się usiąść prosto.

- Do zobaczenia w piekle, księżę - powiedział Randolph z nikłym uśmiechem. - A ty cały czas myślałeś, że to ten głupiec Johannes. Czy naprawdę wierzyłeś, że wyślą tego fajtlapę z taką misją? Boże, kiedy mi powiedziałeś o swoich podejrzaniach i o tym niewinnym żarciku, który sobie umyśliłeś dla Anny, omal nie wybuchnąłem śmiechem. Sam pchałeś się w pułapkę. Wielka szkoda, że Anna też musi zginąć, ale... - Wycelował pistolet prosto w serce dziewczyny. - Zabijałem już kobiety. Spróbuję zrobić to szybko. Bezboleśnie. Gdybyście wiedzieli, jak bardzo pragnę Luizy, sami oddalibyście za taką miłość życie.

- Nie zasłużyłeś na Luizę! - warknęła Anna. Pociągnęła nosem. -

Nie chcę umierać! - wybuchnęła płaczem.

- Na litość boską, Anno! Miałem o tobie lepsze mniemanie - powiedział zde gustowany Randolph.

- A ty, jak byś ty się czuł na moim miejscu? Nie zależy mi na księciu, ale ja chcę jeszcze żyć! - Sięgnęła do rękawa płaszcza. - Zobacz, co zrobiłeś. Przez ciebie płaczę i cieknie mi z nosa.

W ciszy lasu rozległ się trzask odbezpieczanego pistoletu.

- Mój Boże, Randolph! - krzyknął Theo. Usiadł, po czym opadł na plecy.

Rozległ się strzał.

Przez twarz Randolpha przemknął dziwny grymas. Osunął się na ziemię. Strumyczek krwi spłynął mu wzdłuż czoła. Pułkownik zaśmiał się chrapliwie i znieruchomiał.

Theo, zaskoczony, odwrócił się w stronę Anny. Malutki pistolet, który wyciągnęła z rękawa, wciąż jeszcze dymił, kiedy wysliznął się z jej dłoni i upadł na śnieg.

- Dobry Boże! - szepnęła. - Kiedy panna Ridgely radziła, abym zawsze w podróż brała z sobą damski pistolet w obronie przed rozbójnikami grasującymi na drogach, nigdy nie przypuszczałam, że... O Boże, chyba zemdleję.

- Proszę tego nie robić - powiedział Theo.

- Ja nigdy nie mdleję - odparła i zemdląła.

To była straszna tragedia - powiedział książę Theo, odwracając się od ognia. Poruszył ramieniem. Mięsień wciąż bolał go przy wilgotnej pogodzie, a właśnie nad górami przetoczyła się wiosenna burza. - Ale przynajmniej mam świadomość, że zginął w obronie panny Ingersoll. Anna, usadowiona nieco dalej od kominka, westchnęła.

- Będzie mi go brakowało. Był taki odważny - powiedziała, utkwivszy wzrok w wachlarzu. To będzie jej tajemnica. Zachowa ją do śmierci.

- Ci zbroje zostali wynajęci przez zdrajców z Batawii, którzy przyjechali do Anglii, by pana zabić - powiedział pan Ingersoll odchylając się w fotelu i marszcząc czoło. - Mój Boże, książę, to mogłoby wywołać konflikt międzynarodowy, nie mówiąc już o tym, że byłaby to tragedia dla Batawii. - Służący dolał panu Ingersollowi wina. Pan Dawid upił łyk i pokiwał głową ukontentowany. - I dla nas. Twierdzi pan, że nigdy nie schwytano tych łajdaków?

- Nie, nigdy. Jak już mówiła pańska córka, byli zamaskowani. To wszystko stało się tak nagle. Napadli na nas znienacka. Panna Ingersoll była bardzo dzielna. Ani na chwilę nie straciła głowy. Gdyby nie ona, byłbym teraz martwy. - Głos księcia brzmiał spokojnie. - Policja złapała kilku kłusowników i rozbójników, żebym im się przyjrzał. Niestety żadnego nie rozpoznałem. Podejrzewam, że tuż po napadzie mordercy

uciekli za granicę.

- Pozbyliście się już zdrajców, tych, którzy za tym wszystkim stali?

- Parlament osądził ich i skazał. Ja się do tego nie mieszałem. Taka była wola ludu. Widział pan dzisiaj, jak nasz rząd pracuje. System jest podobny do angielskiego: każdy ma swojego reprezentanta wybranego w wolnych wyborach.

- Z wyjątkiem kobiet - dodała Anna.

Theo uniósł ręce.

- Proszę dać mi trochę czasu. Wciąż uczymy się zasad demokracji. Nie można wprowadzać wszystkiego naraz. - Nagle uśmiechnął się. Ostatnio częściej się śmiał niż w Londynie. - Poza tym, jeśli sobie pani przypomina, właśnie dzisiaj została pani odznaczona Orderem Batawii pierwszej klasy za bohaterski czyn na rzecz naszego kraju, nie mówiąc o wspaniałej ceremonii.

- To prawda. Jestem zaszczycona - odparła Anna, zerkając na złoty medal inkrustowany perłami, lśniący na jej bluzce. Skinęła głową, jednocześnie uśmiechając się do księcia. - Jedyne medal, który wcześniej dostałam, to odznaka wzorowej uczennicy na pensji panny Ridgely.

Przyjęła kieliszek wina i rozejrzała się po pałacowym salonie. Stwierdziła, że jest miły i przytulny. Jak dotąd podobało jej się niemal wszystko, co zobaczyła w Batawii. Ludzie byli przyjacielscy, a klimat ciepły. Liczne winnice otaczały malownicze wzgórza. Wszystko kwitło,

bo nastąpiła właśnie wiosna. Nic dziwnego, że książę tak kochał swój kraj.

Nie widziała pałacu po tym, jak kuzyni Bonapartego ogołocili go z wszelkich mebli; nie wiedziała zatem, ile wysiłku włożył książę, by doprowadzić go do przyzwoitego stanu na przyjazd angielskich przyjaciół.

Podczas gdy Theo i jej ojciec zagłębili się w rozmowie na temat tamtego nieszczęsnego poranka w Coldstone, Anna pogрузyła się w rozmyślaniach. Wciąż jeszcze miewała koszmary, lecz już coraz rzadziej. Ani przez chwilę nie żałowała tego, co zrobiła. Oboje z Theo naprędce wymyślili historyjkę, która oszczędziła Coldstone'om hańby. Byli tacy dumni ze swego bohaterskiego kuzyna.

- Lepiej, żeby pamiętano go jako wspaniałego żołnierza niż jako ofiarę chciwości i ambicji - powiedział wówczas Theo. - Nigdy pani nie zrozumie, co wojna może zrobić z człowiekiem, jak może zdeformować jego duszę.

Rzeczywiście, nie potrafiła tego pojąć. Rozumiała jednak, jak ambicja może przyćmić w człowieku wszelkie ludzkie uczucia. Dlatego postanowili trzymać się wymyślonej przez siebie wersji. Każda inna zniszczyłaby Luizę, pomyślała, przyglądając się przyjaciółce. Luiza nie miała tej wrodzonej siły charakteru tak naturalnej u Anny. Krew, która płynęła w żyłach panny Ingersoll, być może nie była tak szlachetna, jednak miała moc, która wyniosła jej ojca na szczyty. Świadomość, do czego zdolny był Randolph, by osiągnąć swój cel, zrujnowałaby Luizę.

A tak mogła cierpieć, otulona żałobną suknią, którą włożyła dziś wieczorem.

Anna przyglądała się przyjaciółce stojącej na tarasie i wpatrzony w skąpany w świetle księżycowym krajobraz. Rana w sercu Luizy z czasem się zagoi. Pełni takiej właśnie nadziei, książę i księżna Coldstone zezwolili córce na wyjazd do Batawii w towarzystwie Anny i jej ojca. Czy wciąż liczyli na to, że książę się oświadczy? Chyba nie. Pewnie zdawali sobie sprawę z tego, że dżentelmeni nie proszą o rękę panny, w której majątku omal nie zginęli. Może jednak, kiedy Randolph został usunięty ze sceny, istniała jeszcze jakaś szansa. Z tego, co Anna wiedziała, książę nadal był wolny.

- Lady Luiza pięknie wygląda w czerni - powiedział Johannes, stając u jej boku. Przynajmniej on się nie zmienił. Niepoprawny hrabia Johannes von Hazloe, jak zwykle czarujący.

Popatrzył na stojącą na tarasie Luizę.

- Tak, czerń pasuje do jej jasnych włosów i karnacji - powiedział w zamyśleniu. - Pani oczywiście zawsze wygląda czarująco - dodał. - Chociaż nie wiem, czy w ogóle powinienem z panią rozmawiać. Jak mogła pani odrzucić moje zaloty w Londynie? Teraz już jest za późno. Moje serce należy do lady Luizy. Kiedy tylko zmęczy się tą miłością do ducha, będę na miejscu.

Anna aż otworzyła usta ze zdumienia. Johannes wyglądał na zranionego.

- Ależ ja jestem całkowicie zreformowanym grzesznikiem i najbardziej lojalnym z obywateli. Wzorowym członkiem społeczeństwa. Żadnych kobiet, kart, intryg. Słowo honoru. - Położył rękę na sercu. - Teraz kiedy mam czym się zająć, czemu mogę poświęcić swoje liczne talenty, postanowiłem iść prostą drogą. Może nawet się ożenię. Mój kuzyn mianował mnie ambasadorem w Brazylii. Z pewnością znajdę tam ujście dla swej niespokojnej duszy intryganta. Czy sądzi pani, że lady Luiza zechciałaby pojechać do Brazylii? Muszę natychmiast ją o to zapytać. Żaloba dodaje jej tyle uroku, że nie zdołam się oprzeć.

Z tymi słowy wyszedł na taras i obdarzył Luizę olśniewającym uśmiechem.

Kto wie, może to się dobrze skończy? - pomyślała rozbawiona. Luiza ma silną wolę. Jeśli jakaś kobieta mogłaby poskromić Johanna, to tylko ona.

Luiza uśmiechnęła się do Johanna i oboje zeszli wolno po schodach. Hrabia delikatnie musnął ramię Luizy, wskazując na księżyc, zalewający swym blaskiem wzgórze i doliny. Anna uśmiechnęła się w duchu. Kiedy Johannes zerwał różę z jednej z donic i ofiarował Luizie, a ona ją przyjęła, Anna miała ochotę roześmiać się głośno. Kto wie, pomyślała. Wszystko może się zdarzyć.

Nagle poczuła, że ktoś jej się przygląda. Podniosła oczy i napotkała wzrok księcia. Uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Oddałbym pensja za pani myśli.



Pokręciła głową.

- Wątpię, czy warte są pensa.

Theo zerknął na pana Ingersolla. Zajęty był rozmową z baronową o obfitych kształtach, wdową po kanclerzu.

- Może przeszlibyśmy się po ogrodzie? - zapytał nieśmiało. - Zdaje się, że róże zaczęły właśnie kwitnąć.

Nieco zdziwiona, przystała na tę propozycję. Książę podał jej ramię i poprowadził przez taras i w dół po schodach.

Ogród rozświetlały kamienne latarnie. Po alejkach spacerowali goście, podziwiając przepiękny ogród różany księżnej Theodory, który z powodzeniem mógł konkurować z Malmaison, rezydencją cesarzowej Józefiny.

- Nie znam się na różach i tym podobnych sprawach - powiedział książę - ale ludzie mówią, że ten ogród jest jednym z najpiękniejszych w Europie.

- Pachnie niebiańsko - przyznała Anna. - Rano budzi mnie zapach kwiatów. Jakże miłe są takie przebudzenia.

- Nie mieliśmy dotąd okazji porozmawiać w cztery oczy, panno Ingersoll. Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi w Batawii?

- O tak, Batawia jest dokładnie taka, jak pan mówił. I wszyscy są tacy mili. Czy to dlatego, że pan im kazał? - zapytała żartobliwie.

- Jestem głową państwa, a nie wychowawcą - obruszył się Theo. Spojrzawszy jednak na Annę, zdał sobie sprawę, że to niewinny żart, i

roześmiał się, przesuwał palcem pod ciasnym kołnierzykiem munduru.

- Miałem nadzieję, że spodoba się pani Batawia i że pani spodoba się Batawii.

- Więc pana nadzieje ziściły się w zupełności - odparła. Pochyliła się i pogłaskała aksamitny pączek róży.

- O nie, moje nadzieje jeszcze się nie ziściły. - Nerwowo przełknął ślinę. - Anno - powiedział zdecydowanie.

Podniosła na niego pytający wzrok.

- Pani i ja mamy wspólną tajemnicę - powiedział.

- I im mniej będziemy o tym mówić, tym lepiej. Co się stało, nie odstanie. Proszę się nie martwić, że wypapłę komuś, jak było naprawdę. Może pan polegać na mojej dyskrecji. Przecież zgodziliśmy się, że nie ma najmniejszego sensu komukolwiek mówić, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Randolph. Zapłacił za swój błąd, a ja milczeniem zapłacę za swój czyn. Nawet jeśli nie miałam wyboru, nie jest to najmilsze wspomnienie.

- Była pani niezwykle dzielna. Zawdzięczam pani życie.

- Zrobiłam jedynie to, co każdy uczyniłby na moim miejscu. W szkole panny Ridgely uczyłyśmy się, jak podejmować szybkie decyzje.

Theo skinął głową. Zmarszczył czoło i splótł ręce za plecami, chmurnie spoglądając na wzgórze.

- Anno - zaczął jeszcze raz. - To nie jest dla mnie łatwe. Powinnaś mi pomóc.

- Chętnie to zrobię, jeśli powie mi pan, o co chodzi.

- Przyjaciele mówią mi Theo - powiedział z nadzieją w głosie.

- Dobrze więc, Theo, przynajmniej gdy jesteśmy sami. Więc co chciałeś mi powiedzieć?

- Kiedy to wszystko się zaczęło, naprawdę wierzyłem, że mężczyźni pod każdym względem przewyższają kobiety. - Przełknął ślinę. - Więc... ja... ja - urwał i westchnął ciężko. - Więc myliłem się - wyrzucił wreszcie z siebie.

Anna wybuchnęła śmiechem.

- Ty? Myliłeś się? Niemożliwe! - zawołała rozbawiona, po czym spoważniała. - To znaczy dziękuję. Zdaję sobie sprawę, ile kosztowało cię to wyznanie. - Westchnęła. - Ja też się myliłam. Nie, jeśli chodzi o prawa dla kobiet, ale uważając, że mężczyźni są od nas głupszy i gorsi. Nie wszyscy są tacy.

- To ty, Anno, udowodniłaś mi, że kobiety są równie inteligentne i zdolne do czynu jak mężczyźni - stwierdził Theo. - Zmieniłaś moje .poglądy dzięki swej postawie i czynom.

- A przy okazji ucierpiała moja duma - stwierdziła Anna. - Sądzę, że oboje się myliliśmy. Co do naszych teorii o płci przeciwnej i do siebie nawzajem. Te wszystkie wydarzenia ujawniły w nas to, co najgorsze i najlepsze.

- Mam nadzieję, że pan Briggs cię doceni. Ten szczęściarz będzie miał kobietę o wybitnej inteligencji, rozumie i charakterze.

- Co?! - Anna aż stanęła w miejscu zaskoczona. - A co Jeremy Briggs ma z tym wspólnego?

- No, on jest... Kiedy wszedłem... obejmowaliście się, czyż nie?  
Anna objęła dłońmi policzki.

- Och, nie. To było tak jak z księciem Cumberland. Tylko nie Briggs, ten cherlak. Jemu zależy wyłącznie na firmie mojego ojca. O nie, nigdy. Dwa razy w życiu byłam napastowana przez mężczyzn i w obu przypadkach akurat... akurat ty musiałeś być tego świadkiem. O Boże! Tylko nie Jeremy Briggs.

Theo sprawiał wrażenie lekko oszołomionego.

- A więc nie zamierzasz wyjść za niego za mąż?

- Wyjść za mąż? Ja w ogóle nie mam zamiaru wychodzić za mąż. Prędzej wyszłabym za kogokolwiek, nawet za ciebie, niż za niego - wyrwało się Annie. Kiedy uświadomiła sobie, co powiedziała, zakryła dłonią usta. - Och, mój niewyparzony język. Co ja wygaduję?! - zawołała zmieszana. - Ale wiesz, co miałam na myśli.

- Chodzi ci o to, że prędzej wyszłabyś za mąż za mnie niż za pana Briggsa - odparł z udaną powagą.

- Och! - zawołała zdesperowana. - Tak mi przykro. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Chyba rozumiem, co miałaś na myśli. Nie zamierzasz wychodzić za mąż, ale gdybyś już musiała to zrobić, to wołałabyś wyjść za mnie niż za pana Briggsa.

Pokręciła głową skonfundowana.

- Wiesz, co miałam na myśli. My ciągle się kłócimy. W żadnej, nawet najprostszej sprawie nie możemy się zgodzić. Walczymy ze sobą jak pies z kotem.

- Tak, związek między nami jest całkowicie wykluczony - przyznał z powagą. - Skoro w ogóle nie zamierzasz wychodzić za mąż, a ja, oczywiście, muszę się ożenić.

- Nie mamy żadnej szansy powodzenia. Pomyśl, jaka przepaść społeczna nas dzieli. W tobie płynie królewska krew, ja jestem mieszczką. To byłby straszny mezalians.

- Masz zupełną słuszość. Ale twój ojciec wkrótce ma zostać mianowany radnym Londynu, a co za tym idzie, otrzyma tytuł szlachecki. Będziesz więc córką para, w pewnym sensie.

- W bardzo mglistym sensie. A kiedy papa ma otrzymać tę funkcję?

- Jak to? Za następnej kadencji lorda burmistrza. Ma zostać odznaczony orderem honorowym za zasługi dla Anglii. Między innymi dzięki temu kontraktowi, który niedawno podpisaliśmy. Doprawdy, powinnaś czasem porozmawiać z ojcem, zamiast rozbijać się po mieście w tym swoim faetonie.

- Wcale się nie rozbijam - zaprotestowała. - Wiedziałam, że ojciec spodziewa się jakiegoś awansu, ale nie miałam pojęcia jakiego. W każdym razie i tak byśmy do siebie nie pasowali.

- Tak, to prawda - przytaknął smutno. - Nawet teraz się kłócimy.

Pewnie byłabyś taką wiedźmą, że przy śniadaniu musiałbym chować się za gazetą.

- Ja, wiedźmą?! - zawołała. - Aroganckie z ciebie książątko.

- Książątko?! Książątko? Zupełnie jak w tej bajce, w której książę zamienia się w żabę.

- W sam raz dla ciebie.

Roześmiali się oboje. Theo dotknął jej policzka.

- Podobno kiedy pocałuje się żabę, to zamieni się w przystojnego księcia - zażartował.

- A czy przystojny książę zamieni się w żabę?- zapytała, patrząc mu w oczy.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - odparł Theo, zmieniając słowa w czyn.